

KRZEMIENIEC.

KRZEMIENIEC.

PRZYGODY I WSPOMNIENIA

STUDENTA PIÉRSZÉJ KLASY

PRZEZ

WALENTEGO SPEKTATORA.

KRAKÓW

Nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelní ludowej“
A. Nowoleckiego.

CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“

1879.

8768

KRZEMIENIEC
Zbiory specjalne



259681

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0124835

W/235/01

Przygody i wspomnienia ucznia szkoły krzemienieckiej, uczniom też szkół publicznych poświęcamy — w przekonaniu i nadziei, że one ich zajmą jeśli nie przedstawieniem, to treścią samą, że wpatrując się w to dawne szkolne życie krzemieńczyka postrzegą łatwo, ile dzisiejsze ich wdzięku i właściwego charakteru straciło. Jeżeli zaś widząc takiego życia obraz, zrozumieć stratę jego potrafią, to może mimo wiedzy i postanowienia obudzi się w nich myśl i pragnienie odnowić te czasy, kiedy zabawy studenckie były szczerą i niewinną wesołością, zdrowie i siły odżywiającą, a wytechnienie każde, nową do pracy pobudką; kiedy nie wstrętny przymus ale prawdziwy zapal wiódł do nauki, kiedy szanowano nauczycieli z miłości i wdzięczności dla nich, nie czując ciężaru w spełnianiu tego zacnego obowiązku; kiedy наконец tyle skromności i szlachetności było w obyczajach, że żądza odznaczenia się pilnością, zdolnościami i cnotą wśród towarzyszy, rodziła raczej wierne koleżeństwo i stałe kojarzyła przyjaźni, a rzadko kiedy niechęci i zawziętą niską.

Rozpatrując się więcej w tym drobnym szkicu życia szkolnego, młodzi czytelnicy poznają jednego z największych i najprawdziwszych przyjaciół swoich, bo poznają męża, który poruszył wszystkie zasoby bogatego swego umysłu i najzacieńszego serca, poświęcił wszystkie chwile życia, użył rozległych

wpływów swoich, jakie mu wysokie w społeczności stanowisko nastęrczało, aby uczynić z wychowującej się młodzieży wszelkiego stanu i mienia, w zakładzie ręką jego wzniesionym, obywateli pożytecznych i cnotliwych, miłujących bardziej dobro i szczęście kraju nad dobro i szczęście własne. Poznają natomiast młodzi czytelnicy, że jako fundament, jako źródło wszystkich cnót wyższych, które obowiązek poświęcenia wszczepiają w umysł i serce człowieka, położył i zalecił uroczyste cześć niezmienną i niezachwianą, dla wiary ojców, dla religii.

Gdyby przypadek i starszym czytelnikom książkę tę podał do ręki, zwróca oni zapewne światłą swą uwagę na prawdę z Pamiętnika Pana Antoniego łatwo dającą się wyprowadzić, że szkoła krzemieniecka ucząc, uważała za swój obowiązek od dobrej nauki nieodłączny — wychowywać młodzież — i to podobno największą zasługę jej w obliczu kraju stanowi. Powiedzą może, że za wiele drobiazgów i powtarzania tych samych morałów; ależ życie dziecka z drobiazgów się składa a powtarzanie morałów tych samych przy różnych jednak sprawach i okolicznościach, jest prawie nieuniknione, prawie konieczne; różne bowiem przyczyny rodzą często te same skutki, a nie zawsze skutki podobne są do przyczyn swoich.

Wtrącona do Pamiętnika szkolnego krótka wiadomość o ziemi Wołyńskiej i o Krzemieńcu, jej najznakomitszym grodzie, miała na celu zapoznać czytelników choć pobieżnie z krainą i miastem, które lubo krótko ale takim blaskiem w historii oświaty polskiej zajaśniały.

I.

Był jeszcze dzień choć na schyłku, było słońce choć mocno grubemi chmurami zasłonięte, był gwar i życie, ale gdzieś daleko za stodołami, po za dworem i dworskim dziedzińcem, który niski i równy płotek od szerokich pól, od wsi oddzielał; gdy ruch od rana w rezydencji państwa Janowstwa Stanickich niezwykły, uspokoił się teraz zupełnie. Widać zachody kuchenne około wieczery były tak daleko posunięte, że ani pani domu nie miała już nic do powiedzenia kucharzom, ani kucharze niepotrzebowali nowych jej ze spiżarni zapasów.

Towarzystwo, które wkrótce miało zasiąść do stołu, składało się, prócz osób należących do rodziny, z kilku sąsiadów i sąsiadek zaproszonych, i więcej jak kilku przybylców z Warszawy, którzy jeśli chcą uroczystej i swobodnie obchodzić święta, mianowicie, Bożego Narodzenia, szukają gwiazd i bieluchnego śniegu po za murami miasta, gościnności prawdziwej w szlacheckim obywatelskim domu, rodzimiej kolendowej melodyi, w wiejskim parafialnym kościele.

Po skromnym śniadaniu, które przy wielkim gwarze, granic przyzwoitości w niczem nieprzekraczają-

cym; trwało dłużej jak miejski obfity obiad, goście porozchodzili się do przeznaczonych sobie pokoi, aby trochę złośliwie pogawędzić w ściślejszych kółkach o towarzystwie tylko co opuszczoném, o widokach przyszłych zabaw wspólnych, o domu cokolwiek, który niedawno opuścili, i wreszcie o stosownych zmianach w toalecie do stołu.

W pokoju gospodarza domu, zwykle kancelaryą zwanym, zebrało się grono najliczniejsze i dość różnorodne co do wieku, usposobień i humoru.

Najpoważniejszy z grona i najruchliwszy pan Jan gospodarz, starzec jnż prawie, bo za rewolucyi Listopadowej był kapitanem i adjutantem naczelnego wodza, posiadał jeszcze tyle żywości uczucia w słowie i tyle bystrości umysłu i zdrowego o rzeczy sądu, że obecność jego była w każdym towarzystwie, na każdym obywatelskim zjeździe miłą i pożądaną. Pan Antoni daleki krewny, daleki sąsiad, a bliski bardzo całej rodziny przyjaciel, między młodemi do gdérliwych starców, pamiętał dobrze tylko wypadki od 1824 roku, kiedy wszedł do szkół krzemienickich, jako uczeń pierwszej czy drugiej klasy. Okolica cała i wszyscy znajomi wszelkiej płci i wieku nazywała go wujaszkiem, bo każdego zwykł był przy lada sposobności gościńcem obdarzać. Józio student trzeciej klasy, najmłodszy syn państwa Janowstwa i jedynak, chłopiec z dobrém sercem, swawolny trochę, a w naukach dosyć umiarkowany. Henryk synowiec gospodarza, uczeń warszawskiej szkoły głównej z matematycznego wydziału, młodzian bardzo poważny, który obok ciągłych poszukiwań niewiadomej X, zajęty był równie stale, w czasie mianowicie ogólnej rozmowy, szukaniem czegoś pod kształtnym swoim noskiem, coby się wąsami nazwać mogło, gdyby już

wyraźniejsze było. Należał także do grona w kancelaryi goszczącego, równie przyjaciel domu, powolny wasz sługa, łaskawi czytelnicy, który się podjął ogłoszenia rękopismu historii studenckiej, udzielonej mu uprzejmie od pana Antoniego.

Było tam jeszcze kilka mniej wyraźnych indywidualów, które się często zmieniały, stosownie jak rozmowa przypadała im do smaku, a okoliczności pozwalały wchodzić lub wychodzić niezwracając niczyjój uwagi. Całe to towarzystwo bliższe serca i charakteru pana Jana o zmianie stroju przed wieczorą już nie myślało. Student młodszy czy starszy na Wigilią, na każde wielkie święto i na dzień najpowszedniejszy ubiera się od razu w swoje najdosłojniejsze szaty, to jest: w mundur. Tak też byli ubrani Józio i pan Henryk, któremu ten tytuł pana wszyscy chętnie dodawali, nawet stryjostwo, zapewne dla odróżnienia rzeczywistej powagi jego uniwersyteckiej od pustoty studenta z gimnazjum; tak ubrany strojnie a bez stroju właściwie był sam gospodarz, który już o ósmej rano brał na siebie takie szaty, jakich dzień cały nie zmieniał, jeśli w domu miał pozostać, chyba, że wypadło czasem dla gości przed obiadem zrzucić stary szaraczkowy surdut a włożyć nowszy także szaraczkowy.

Dzień taki, jak wigilia Bożego Narodzenia i godzinny takie, jak przed wieczorą, to najmiłsze, najswobodniejsze chwile w życiu rodzinném, szczególnie u tych nielicznych już wioski mieszkańców, co to i dobrze zjeść ze znajomym i przyjacielem zawsze radzi, co po jednym i drugim kieliszku wszystko, co na sercu ciąży zrzucić gotowi, co o przyszłości kraju rozpaczać nie umieją sami i drugim niepozwalają. Najmiłsze powiadam, bo wszystkie w onczas troski domowe, zabiegi codzienne, roboty około majątku, urzędu i domu na bok się składają i to tak

stanowczo, jakby już nigdy podjęte znowu być nie miały. Wolno w tych dniach uroczystych nic nie robić, nawet nie godzi się robić, wolno nie myśleć o jutrze, nawet potrzeba, inaczej dzień święty, uroczysty stałby się powszednim. Czytanie jakiegobądź obowiązkowe lub nałogowe zawiesza się, gazety choćby najświeższe chowają się na drugi dzień po świętach, lepsze bowiem od nich i ciekawsze, żywe nowinki z ust wiernych podane, honorem poręzione, świadkami stwierdzić się dające, przychodzą. W ogóle wszelki trud głowy ustaje, a praca żółądka na cześć podniebienia szczerze i sumiennie bez przymusu i z przymusem poczyną się. Jemy i pijemy bez przerwy prawie, a jeśli są przerwy niedługie, to je zapelnia myśl o nowej zakąsce, i znowu w czasie zakąski, myśl o zabawie.

Jesteśmy tedy jak wieście i widzicie oddawną czytelnicy łaskawi, na wsi, gdzie dom do domu nie przylega, człowiek o człowieka na szerokim gościńcu nie potraça, gdzie prawdziwie i obficie użyć może wczasu każdy, tylko nie wieśniak i nie sam wsi właściciel.

Dla chorych, jeśli istotnie wody mineralne wyleczyć ich mogą, źródła rodzime i w samej ich ojczyźnie są niewątpliwie zbawieniem; dla nadwątłych moralnie codzienną pracą i codziennymi w niej zawodami, rzetelnych mieszkańców miasta, wieś, ale wieś cudza a zamożna, jedynym prawdziwym wytchnieniem i ożywczym źródłem. U wód, jest ulgą, jest środkiem leczącym oderwanie się od powszednich trosk życia, od powszednich zatrudnień, gdzie nic nie przypomina nieznosnych gospodarza i pana domu obowiązków, gdzie jednostajnej i samą jednostajnością nużącej zbywszy się pracy, obcego towarzystwa, obcych twarzy, obyczajów, obcego gwaru mowy odżywiamy się wdziękiem, nie znosząc i nie czując zwykłych

leczenia się przykrości. Mniej więc podobne skutki wieś zamożna a cudza wywiera na umysł skołatanego, kilkadniowego ję od święta gościa. O rozrywce najstosowniejszej do pory, ktoś za nas myśli, dostarcza ję w najdogodniejszych dla nas warunkach, nie krępując imaginacji naszej, której wolno coś dotworzyć, zmienić i ubarwić. Że bawiąc się ciągle żyjemy, więc ten ktoś z całą gorącością serca karmi ciało nasze obficie, smaczno, zdrowo i z taką wystawą, jakbyśmy codzień imieniny, wesela i chrzciny sprawiali sobie: wszystko to ofiaruje nam szczerze i najszczerzej, że przyjmujemy, dziękujemy. Do tych uczt codziennych przybywa jeszcze jedna najsmaczniejsza, to wolność mowy, wolność doraźna, czasowa ale zupełna. Wolno powiedzieć wszystko, co na sercu ciąży, co umysł na samém dnie chowa, wolno mieć nadzieję, że nieproszonych gości i opiekunów na ziemi naszej kiedyś nie stanie, wolno politykować od rana do wieczora, wolno *pocichu* zaśpiewać: Jeszcze Polska, i przy śpiewie rozplakać się, a żandarm łez niedojrzy, niezdenuncjuje, że w tym domu choć pocichu ale buntowniczo płakać waży się. Jest tedy tyle wolności i rozkoszy z niej, że więcej do szczęścia człowiekowi nie trzeba. I to także doskonała kuracya, choć nieradykalna i nie nadługo wystarczająca dla biędnego, skołatanego na duszy i ciele z miast naszych przybyłca.

W pokoju gospodarza paliło się na kominku, nie żadnym węglem, ani koksem, które swąd dają a mało ożywczego płomienia, równie zdatnego do ogrzania ciała, jak zapalenia fajki, surduta lub szlafroka; paliło się drzewem suchém, dobrze porąbaném, z kory nieobraném — tak, że i jasno było, huczało dobrze, trzaskało i pryskało na środek pokoju iskrami dużemi, ale nieszkodliwemi. Pan Antoni chodził po pokoju i mówił

głośno o świetnym wydatku na swojej gorzelni: chwalił niemczurę gorzelanego, bo człeczysko ciche a pracowite i pilne, że się aż parobcy wstydzili a dziwowali, tak ich dobrze umiał doglądać i lenistwu ich przeszkadzać. Student uniwersytecki przytulony w kąciu przy kominie milczał poważnie a papieros za papierosem palił żwawo — zdawało się, że nieuważał na opowiadanie pana Antoniego. Gospodarz rzadko się odzywał, nie przeczył i nie potwierdzał tego, co słyszał — a widocznie zazdrościł kuzynowi tych czterestu kwart, które pocziwy niemiec za korzec kartofli oddaje. Józio był sam i nie miał sposobności odezwać się z czém bądź, bo starsi strasznie nudną dlań prowadzili rozmowę, a jedyny młody, był uczniem Uniwersytetu, więc z dzieciakiem wdawać mu się nie wypadało. Milczał więc Józio, głowy żadnymi myślami nie trapił, jako w święta: ledziuchny uśmiech szczęścia, rozjaśniał łagodnie twarz studenta, bo mu chwil próżnowania nikt wyrzucać nie miał prawa. Wybiegał niekiedy do pokojów to sióstr, to mamy; niecierpliwił go ten uroczysty spokój w całym domu, który zwykle wielki wypadek poprzedza — *nakrywania stołu* — wybiegał i prędko wracał — a za każdym powrotem dorzucał jedno drewnienko na ogień, czego mu ojciec w tym jednym dniu nie bronił, gdy zwykle sprawę tak ważną sam załatwiał. Ja ośmielałem się czasem przerwać gorzelaną rozmowę pana Antoniego *z gospodarzem*, aby pokazać wieśniakom, że i my mieszcuchy coś w tym przedmiocie rozumiemy, chociaż na wsi nie siedzimy i z rolą nic do czynienia nie mamy. Nie obrażały uwagi moje pana Antoniego i gospodarza, bo znali słabość ludzką popisywania się z tém, co się zna najmniej. Zarzuty moje, udawał pan Antoni, że bierze na serio, tłumaczył się z nich spokojnie i poważnie, nie chcąc

mię widocznie ani upokarzać, ani odbierać odwagi do dalszych uwag i rozmowy. Zwracała się kilka razy rozprawa do przedmiotów politycznych, ale ją zawsze przerywał gospodarz lekkim skinieniem i przejściem w inną materią, bo o tych rzeczach nie rad był mówić w obecności młodzieży szkolnej, która nieostrożnym powtórzeniem wyrazu lub zdania za powrotem do zwykłych swych zajęć, łatwo mogła siebie i dom cały na prześladowanie i ciężkie kary narazić. Tak gwarząc i paląc bez przerwy cygara, fajki, papierosy, co komu do smaku więcej przypadało, spożywaliśmy w najspokojniejszym usposobieniu godziny, które nas od opłatka i wieczerzy oddzielały. Znudzony cokolwiek gospodarczymi rozprawy, próbowałem po raz podobno drugi, czy trzeci zagaic jakąś sprawę natury drażliwej bardzo, którą w tym czasie cała Warszawa była zajęta i oburzoną, gdy nagle pan Antoni, urywając bieg rozmowy, zwrócił się do Józia i zapytał — i jako prawdziwy wujaszek i ojciec chrzestny o cenzurkę szkolną. Jeszcze mi się nie popisał, rzekł pan Antoni biorąc z pieczęcią chłopca za krótko ostrzyżoną czuprynkę, ze swoją cenzurą — a powinna być wyśmienita, bo jak słyszałem, stoisz teraz u profesora, bardzo uczciwego i rozumnego człowieka.

A prawda, odezwał się ojciec — i ja dotąd cenzury jego nie widziałem, przynieś no ją waspan. Tak mi jakoś zeszło te parę dni przy gospodarstwie i ciągłych z akcyznikami¹⁾ naszymi korowodach, żem zapomniał o moim prałacie. A powiadam państwu, że mię w tym roku będzie kosztował jakie sześćset albo i więcej

¹⁾ *Akcyznik* w mowie potocznej znaczy urzędnika do kontroli nad gorzelniami ustanowionego, *Cenzura*, świądectwo szkolne.

rubli. Uważałem tylko, że wczoraj wieczorem, mówił dalej pan Jan, miałeś jakąś tajemną rozprawę z matką, która ci kazała być cicho, jak tylko mnie wchodzącego do pokoju postrzegła. Miałem czém inném głowę zajętą i nie zapytałem, co moja pani synkowi swemu, w uszy kładła.

Józio tak niespodzianie zagadnięty, w porze najmniej stosownej, bo już, już, zdawało się, że lada chwila poproszą do stołu, udał, że wezwania nie rozumie i poprawiając z wielkiem zajęciem ogień na kominku, przypadkiem czy umyślnie tak się sprawił, że rozpalona głównia stoczyła się z ogniska na podłogę. Przestraszony Józio odskoczył na środek pokoju dmuchając w palce, jak po oparzeniu — głównia tymczasem paliła się i dymiała. Dym wielki i ogień płonący wszystkich z miejsca poruszył. Akademik najpierwszy rzucił się do gaszenia pożaru, który mógłby się wszczać łatwo, gdyby nie tylu obecnych — a szczególnie gdyby nie student, który istotnie z odwagą, przytomnością umysłu i narażeniem rąk i katnych porwał głównię i rzucił w komin. W czasie tej operacyi gospodarz już zajął był najważniejsze stanowisko przy otwartej z książkami i papierami szafce, z której przed chwilą właśnie wyjmował rejestra gospodarskie dla zaprodukowania ich w jakimś sporze, na dowód, że miał słusność i dobrze, o czem mówił, pamiętał. — Szafka co prawda, stała w złém miejscu bo blisko komina — a stała tam dla tego, że pan Jan najczęściej siadywał przed kominkiem z fajką i do tajemnic gospodarskich lub skarbów literatury łatwiej i wygodniej mógł sięgać. Wypadek małej wagi a wielkie mogący mieć następstwa, prędko został zapomniany; lekki ślad na podłodze, poruszonych z miejsc swoich kilka sprzętów, które dawno może téj pożądanej chwili

wyglądały, aby się otrząść z pyłu zapomnienia o nich — wreszcie parę uwag zwykłych po większej lub mniejszej katastrofie, o ile zdarzenie mogłoby być zgubniejsze w następstwach, gdyby nie szczęście, które zawsze prawie nieszczęściu towarzyszy nie przyszło w pomoc — i rzecz cała przepadła. Józio dowcipny a może i niewinny w téj sprawie uszedł tymczasem drażliwych badań w obecności obcych ludzi, bo o cenzurze najzupełniej zapomniano. Wprawdzie gospodarz zabierał się na serio do wielkiej perory, której przedmiotem miało być, jak to nigdy z ogniem żartować nie należy, chwila surowego napomnienia, już zdawało się, że była bardzo bliską, gdy nagle lokaj, strojniej jak w dniach powszednich przybrany w liberyą i białe rękawiczki, ukazał się we drzwiach i doniósł, że już dano do stołu.

II.

Józio przemknął się pod ręką lokaja trzymającego jeszcze za klamkę drzwi otwarte, do sali jadalnej — i zajął już skromne wprawdzie, ale korzystne bardzo stanowisko bliżej jabłek i orzechów, gdy towarzystwo nasze, z samych dobrze wychowanych ludzi złożone, wzięło się nie żartem do rozwiązania przede drzwiami najtrudniejszego w liczniejszym gronie, przedobiadowego zadania. Szło właśnie o to, kto pierwszy ma się przez otwarte podwoje przeprowadzić i poprowadzić towarzyszków do wieczerzy. Zadanie to między najpoważniejszymi nawet ludźmi płci obojg, od wieków bywa bardzo sumiennie traktowane i rozwiązywane, a jednak dotąd niewynaleziono zasady, na której wypadek jego oprzeć się powinien. — Wiek i powaga ustępują nieraz pierwszeństwa młodemu chociaż i mniej dostojnemu gościowi, jeśli niespodzianie i z dalekich stron przybywa; gość niespodziany choćby najmilszy, bankierowi; bankier tytułowi hrabiego lub księcia; ci wszyscy zaś razem gotowi chętnie dać krok pierwszy dostojności ośmdziesięcioletniej siwizny. U niewiast najtrudniejszą staje się sprawa, gdy się zejdą razem Prezesowa, Marszałkowa, i Jenerałowa; wiek wten-

czas tylko trudności rostrzyga, gdy między jedną a drugą matroną zachodzi różnica przynajmniej o lat trzydzieści, mniejsze liczby nie wchodzą w rachubę i za równiennice wszystkie panie uważać każą: niewiasty zacne w liczbie nieparzystej nie małym często dla gospodyni bywają kłopotem. Panienki młode radzą sobie lepiej; pobiorą się pod rękę i długim sznurkiem przesuną się tak szybko, że wszelkie rachunki i względy stają się niepotrzebnymi, drażliwsza sprawa, gdzie przy stole usiąść, aby i miléj a przyzwoiciéj było.

Wszystkie jednak względy towarzyskie łatwiej się zachować i zaspokoić dają, jeśli przed wielkim obiadem, wieczerzą, wigilią itp., całe towarzystwo skupioném jest w jednym salonie. Tu — przyczyny ważne inaczej zdziałały; było nas osób przeszło dwadzieścia a kółek różnych, samą naturą rzeczy wskazanych — kilka, które z górnych i dolnych apartamentów spraszać było potrzeba.

Jak się te rzeczy względów etykiety załatwiły między damami, niewiem, a jednak gdy zasiadły do stołu, znalazło się i lat poważnych dosyć i godności niemało: u nas niespodzianie i najniesprawiedliwiej sprawa porządku rostrzygniętą została i dwaj najstarsi panowie, gospodarz i pan Antoni ujęli mię pod rękę i wyprawili naprzód, jako warszawiaka. Gdym zajął wskazane sobie miejsce u stołu, i spokojnie rozejrzałem się w towarzystwie, zdziwiła mię ogólna swoboda fizjonomii i niezwykła w tak różnorodném zebraniu harmonija tonu — trzy tylko osoby wyłączały się z téj zgody wyrazu twarzy i zachowania: dwóch mężów siedzących tuż obok swoich małżonek, którzy widocznie opieki ich potrzebowali i młodzieńca bardzo dorodnego, który nie spuszczał oka ze starszej córki gospodarza.

Niebędę czytelników trudił powtarzaniem wszystkich życzeń, jakie, nimeśmy zaśiedli, dwadzieścia kilka osób składało sobie nawzajem przy uroczystém łamaniu się opłatkiem. Rad byłem szczególnie z jednego, któremu dawno w Warszawie naszej niesłyszał, życzenia *Dosiego roku*. W społeczności warszawskiej tak gęsto przytykaniej izraelskim żywiołem, z dodatkiem niemałym postępowców młodych, którzy się do żadnego obyczaju przyznać nie chcą, dawno już o *Dosi* zapomniano. Starsi ulegają wpływowi synów, którzy, to z Uniwersytetu czasem, to z gimnazjum dzisiejszego, zawsze, przynosząc z urzędu wpojoną wzgardę dla starodawnych zwyczajów i obyczajów Polski.

Życzenia przy łamaniu opłatka między najbliższemi sercem, życzenia między znajomemi dawnemi i nowemi, wreście między nieznanymi zupełnie, dopełniły się z wielką uroczystością i powagą, którą opłatek w ręku chrześcianina katolika nakazywał, i zaśiedliśmy wreście do stołu o piątą, a wstali o siódmą. Jak ten czas przeszedł, niewiem, dosyć, że przeszedł niepostrzeżony prawie, wesoło, gwarno a przyzwocie. W wyższych sferach stołu, gdzie gospodyni wśród prezesowych i sędzin królowała, toczyła się rozmowa półgłosem i przy półuśmiechu; im dalej po obu stronach stołu ku przeciwnemu końcowi, tém wyraźniejsza i z coraz pełniejszym śmiechem, chociaż nie doszła nigdy do tak wyraźnego tonu, na jaki prawa przyzwoitości towarzyskiej nie pozwalają.

Jak przed wieczorą towarzystwo podzielone było na liczne, w sobie niby jednorodne grupy, różne jednak co do usposobień i wieku, tak po wieczorze wszystko zlało się w jedno wielkie grono i parami z początku a beładnie ku końcowi pociągnęło do salonu.

Salon był wielki, gustownie i wygodnie urządzony; wedle nowomodnego a bardzo praktycznego zwyczaju, w umyślnym na pozór nieporządku rozstawione kanapki, kanapy, sofy i kozetki najrozmaitszych kształtów i rozmiarów pozwoliły gościom dobrać się w takich kółkach, jakie najdłużej w nierozrywaniu utrzymać się mogły. Zdawało się nas wiele przy jednym stole, za mało do tak wielkiego salonu, chociaż przybyły pewne postaci dotąd nieznane nam zupełnie a jednak widocznie do domu należące. Znalazły się one razem z nami, tylko w pewnej dali, w załamach drzwi i okien, w cieniu drzewek salonowych poukrywane. Postaci takich bezimiennych dla obcego towarzystwa a dobrze znanych domownikom, ma każdy większy dwór na wsi dosyć: to cienie skromne wielkich niegdyś rezydentów po dworach pańskich; to jakiś zapomniany dzisiaj, a dzielny z pod Ostrołęki lub Olszyny wojak, to daleki kuzyn, który się sam do kuzynostwa przyznać nieważy, jeśli go gospodarz lub gospodyni domu sama za takiego nieprzedstawi. Postaci te zjawiają się zwykle na wielkie rodzinne uroczystości, kiedy równość i braterstwo w duchu chrześciańskim winny dać żywe o sobie świadectwo. Gdy się zjedzie kilka osób, nikt ich w salonie nie widzi, bo byłiby zbyt widoczni, gdy kilkadziesiąt — mało kto widzi, bo giną w tłumie lub w ciemniejszych kątach apartamentów.

Przy stole bliżej siebie siedzący, mieli czas poznać się, jeśli się nie znali, po wieczorze ci tylko w ściślejsze połączyli się kółka, co dawniej już bliżej siebie byli i żyli. Trzeba w tych okolicznościach, gdy się towarzystwo z różnych składa żywiołów, wynaleść środek, siłę łączącą, któraby różność charakterów, stanów i początków w jedność zamienić, całość pewną stworzyć umiała. Przy obiedzie większym tą siłą i

środkiem jest kieliszek; w salonie gdy się zbiorą pod okiem starszych panny i kawalerowie, jest taniec.

Kieliszek rozgrzewa serca i rozwiązuje języki: dobiorą się przy nim zawsze ludzie, co jedno wino wolą więcej jak drugie, co mniej piją i więcej piją, co mniej albo więcej przy okazji łatwo wolę językowi dają: powoli, powoli zbliżenie się obojętnych dokonywać się zaczyna, sympatye się budzą, przekonania zbliżają lub wyraźnie różnią — i rozmowa ustać nie może. Trudnoż przecie z życzliwej ręki gospodarza lub sąsiada przyjmując kieliszek nietrącić i słówka jakiego nie rzucić, trudno na tém jednym słówku przestać i w dalszą nie wdać się rozmowę. Rozmowa też natychmiast staje się gotowa; dobry sąsiad i znajomy ma sposobność, bardzo zresztą pożądaną, coś o swém winie, jakie zwykle na beczki kupuje i butelkuje w domu, powiedzieć, pochwalić jedno, zalecić drugie. Tu sędzia żyda z Wągrowca wychwala, Prezes Pinczowskiego Jankla, gdzie podobno dotąd istotnie najrzetelniejsze a wyborowe wino węgierskie przechowuje się, a inny znowu ani w Wągrowie, ani w Pinczowie wina prawdziwego nie widział jak u Pinkusa z Miechowa, które tylko z przyjaźni i po starłej znajomości pocziwy żydek niektórym swoim panom, po niczemu prawie ustępuje. Tak się wszczyna i wzrasta gawęda, z niej sympatye, stosunki i przyjaźń, a czasem tak daleko zachodzi, że Sędzia będzie gotów natychmiast być pośrednikiem między Prezesem a Pinczowskim żydkiem, Prezes wynurzyć, co ma najskrytszego w sercu.

W salonie taniec kojarzy stosunki, nawet między nietańczącymi: młodzi dobierają się sami i często gesto tak dobrze trafiają, że wybór w mazurku, potwierdza się w szczupłym rodzinnym kole, a w końcu najuroczyściej w kościele: starzy lub średni, ale już z wie-

ku popisowego do tańca wyszli, łatwo się po kąciach dobrać umieją i wśród najzwawszych skoków młodzieży, również żwawą a czynną prowadzą dysputę, nie słysząc ani muzyki ani gorętszych nieraz po za granicami taktu, hołupców.

Na téj krótkiej wzmiance o tańcach w salonie i o życiu jego po wigilijnej wieczerzy, musimy poprzestać, bo przedmiotem naszym ma być historia studencka, do której leniwo zdążamy, a czytelnikami młodzież, która ważności spraw i wrażeń takich jeszcze pojmować i doświadczać nie powinna. Kto łaskaw jednak z panów studentów opowiadaniu naszemu być obecnym, prosimy: będziemy się starali przekonać, kto dobrej woli, że i w pierwszej klasie są wypadki wielkiej wagi i znaczenia w przyszłości niepośledniego, że wrażenia w pierwszej klasie oddniesione przetrwać mogą do ostatniej chwili życia, że się tu często cała prawie przyszłość w zmniejszeniu tylko zarysowuje, że i tak dalej i tak dalej, słowem, że życia pierwszej klasy i studenta jęć lekceważyć nienależy. Jeżeli to opowiadanie nie zajmie, wypadki nie potrafią uderzyć wspaniałością i pięknnością swęj treści, sam student swą prostotą i dobroduszością, które prawdziwemi cechami jego charakteru są i być powinny, to wina nie przedmiotu, nie bohatera, ale opowiadacza; jestem bowiem przekonany, że to rzecz wielce ciekawa nie małowazna, obfitości trudnej do wyczerpania w jednym szkicu, i co dziś niezwykle, bardzo nowa.

Drażliwa sprawa, która przed wieczerzą tyle serc i umysłów poruszyła, na jakiś czas zdawała się być pogrzebaną, ale wypadek dnia następnego inaczej zrządził, sprawa odżywiła się znowu i przybrała nawet poważniejszą formę i większe rozmiary.

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia jest wiel-

ką uroczystością w całym chrześcijańskim świecie; nabożeństwa nikt w tym dniu nieopuszcza, a po nabożeństwie, jak na wsi, nikt swojemu proboszczowi nieśmiałyby uchybić, pomijając dom jego skromny i błogosławiącą jego rękę. Było więc i nasze towarzystwo całe, o ile się po wigilii i po wieczorku bliźsi sąsiedzi i młodzi goście nie porozjeżdżali, w kościele na całych trzech mszach i na kolendzie, a po kościele u proboszcza.

Zapomniałem w swoim miejscu powiedzieć, jakto w każdej porządnej powieści bywa, że opowiadanie i wypadki pochodzą z roku 1865, należało nawet zacząć od tych słów naprzykład: „Słońce miało się już ku zachodowi lub wschodowi“ albo, „pogodny dzień grudniowy, oblicze uspionej natury, wieczór cichy, napawały dusze itd. itd.“ U nas właśnie tak nie było: słońce nie miało się ani ku wschodowi ani ku zachodowi, bo go wcale widać niebyło i nikt o niczem niemyślał: ale było porządnie zimno, a pobożnych parafian zjechało się do kościoła bardzo wielu i wszyscy prawie, prócz włościan, którzy z interesem tylko odwiedzają dobrodzieja, odwiedzili szanownego proboszcza. Towarzystwo nasze było najliczniejsze i najbliższe kościoła, więc zabrało z sobą kanonika, który kanonikiem jeszcze nie był, ale być go dzień oddawna, bo owieczki swoje jako pasterz wiodł i nauczał słowem i przykładem przez lat z górą dwanaście; zabrało także na wózki swoje i do powozów kilku niezależnych od domowego obiadu sąsiadów, a między innymi, pewnego bardzo szanownego wdowca, sąsiadem ogólnie nazywanego, co miało znaczyć tyle, co major Rybowski, z dwoma podrosłymi już studentami. Wróciliśmy tedy do domu w liczнім bardzo towarzystwie, które się nowymi szanownymi nabytkami pomnożyło; sanna była wyborna; mrozu ośmnaście stopni, bez wiatru,

droga równa; wé dwadzieścia więc od wyjazdu minut staliśmy już przed gankiem pałacu, pałacu mówię, bo każdy dom większy murowany i z murowaną oficyną pałacem się na wsi nazywa.

Zastaliśmy naturalnie stół obficie zastawiony, śniadanie przygotowane jak należy, bo obiad miał być dopiero o czwartej i z większą wystawą, gdy i domowników spora uzbierała się gromadka i zaproszonych z kościoła gości tylu, żeby sami wystarczyli do zapełnienia średniej miary po wiejsku mierząc, stołu.

Jak dotąd, żaden większej doniosłości, jak mówią mężowie stanu, nie zaszedł wypadek, w ciągu dwudziestu niemal godzin, z których zdaliśmy już sprawę, tak i kilka pozostałych jeszcze do obiadu i po obiedzie ubiegło spokojnie i w najlepszej zgodzie a serdeczności, jednak nie bez znaczenia i stanowczego wpływu na powiastkę naszą. Mamyż opisywać z jaką nieudaną troskliwością krzątali się koło nas gospodarz i szanowna gospodyni, abyśmy, broń Boże, głodu niezaznali, bo to, jak mówili, obiad nie prędko będzie a skromny; jak tedy ulegając tak uzasadnionym prośbom i szlachetnemu apetytowi, zdołaliśmy sprzątnąć całe najobfitsze śniadanie, jaki przy tej najważniejszej sprawie, w której istotnie o życie chodzi, zachowany był porządek i ceremonia? rzecz to i zwykła i niepotrzebna. Tylu już przed nami opisało doskonale i najprawdziwiej te ustępy drogie życia wiejskiego, że nam niewypada narażać się na próbę powtórzenia tego samego, i wystawiać na niekorzystne porównanie. To tylko, nie kusząc się o nowe kopije znanych obrazków, zaświadczyć możemy, żeśmy jedli tak żwawo i z takim zamachem, jakbyśmy już obiadu tego samego dnia jeść nie mieli; następnie z tém samém usposobieniem serca i apetytu, jedliśmy obiad, jakby



po nim nie było już widoku za kilka godzin spotkania się z kolacją i herbatą; i tak w pracy ciągłej a sumiennej, koniecznymi dla zebrania sił do nowych zapasów, przestankami przerywaną, dożyliśmy szczęśliwie do godziny dziewiątej wieczór. Po tylu pracach czas było spocząć, ale nie w powszednim znaczeniu tego wyrazu, lecz w znaczeniu świątecznym, to jest: starsi powinni już byli zasiąść do wista, młodszy przejść do salonu z pewną dość liczną assekuracją dam poważnych, na nieprzygotowane niby, jednak spodziewane i gorąco wyglądane tańce.

W przerwie między śniadaniem a obiadem zaszły tymczasem okoliczności, któreby z powołania powieściopisarza wypadkami nawet mógł nazwać, tak ważne, pomimo swój powszedniości, że opowiadaniu naszemu dały życie, a dać mogą znaczenie, jeśli dobrze pojęte i skreślone będą.

Jak po śniadaniu podzieliło się całe nasze towarzystwo, mniej czytelnika obchodzić może, ważniejsza, że do pokoju gospodarza, czyli do kancelaryi, zgromadziło się przypadkiem w zupełności wczorajsze kółko, niby już lepszych znajomych, z dodatkiem proboszcza i owego wdowca z dwoma studentami. Rozmowa zawiązała się prędko: o mrozie, że przyszedł w porę i sanę ustalił, o kazaniu, że było piękne, ale na taki mróz, za długie, co proboszcz przyjął bez urazy i bez podziękowania, o prezesie, że po wigilii zasłał trochę, o pani Sędziniej, że zaraz po nowym roku wyjeżdża do Wrocławia po wyprawę dla panny Józefy. Gospodarz tymczasem obdzielając towarzystwo cygarami, przyszedł z kolei do synów majora i przeproszał z uśmiechem, że dla nich cygar zabrakło.

Skorzystał z tego żartu pocziwy ojciec i upe-

wnił pana Jana, że gdyby im nawet kazano palić, toby niepalili.

I wierzysz temu kochany majorze? rzekł pan Jan wpatrując się bystro w oczy chłopcom, których pochwała ojca i podejrzenie gospodarza trochę zmieszały.

Wierzę najzupełniej, szanowny sąsiedzie i dobrodzieju, odpowiedział major spokojnie, bo mi dobre ze szkół przywieźli cenzury.

Święta prawda, poparł blisko stojący wujaszek Antoni, któregośmy już wczoraj poznali. Jak tylko chłopcy dobrze się uczą, dodał, to do głupstw takich i zbytków nieprzyjdzie im ochota.

Ja też ich nie posądzam, że zbytki robią; boćto już przecie słuszni kawalerowie, mają rozum i wiedzę, że czasu i zdrowia marnować się nie godzi, odrzekł pan Jan z powagą, chciałem ich tylko wypróbować i pożartować trochę. Macie zapewne przy sobie cenzury, skoro dobre, ciekawym je widzieć i mam do tego jakieś prawo panie sąsiedzie, jako chrzestny ojciec; nastęczyłem ci tego słynnego łacinnika, emeryta; dobry człowiek, tylko za wiele wymaga od dzieci, chciałby żeby wszyscy na cyceronów powychodzili. No, pokażcież mi, jeśli macie. Pamiętam, mówił dalej pan Jan, będąc w szkołach, kiedym dostał dobrą cenzurę, czy świadectwo, tom z nią i sypiał i wszędzie brał z sobą, czy nie zdarzy się okazać popisania się przed kim; zła, co jednak rzadko bywało, zawsze jakoś pierwszego dnia po przyjeździe ginęła i już nigdy oko ludzkie jęj nie oglądało.

Major widocznie rad był z obrotu rzeczy, tém bardziej, że towarzystwo było liczniejsze i w gronie jego ks. proboszcz, który przed trzema laty najwięcej nalegał, żeby chłopców oddać do szkół co prędzej, a pozbyć się raz owęj domowej nauki, która zawsze jakoś kulawo idzie

a wiele kosztuje, odezwał się więc do synów tonem łagodnym ale stanowczo: no pokażcie, kiedy tak łaskaw wasz ojciec chrzestny i życzy sobie widzieć; zapewne macie przy sobie.

Młodszy dwunastoletni a już trzecioklasista miał jakoś bardzo blisko i prawie rozwiniętą jak do pokazania cenzurę; starszy zwolna i z widoczną niechęcią właściwą godności ucznia klasy piątej, szukał swojej pokieszeniach, aż znalazł mocno pogniecioną i w szesnastkę złożoną i podał gospodarzowi, rozwiniawszy ostrożnie z ukłonem uszanowanie oznaczającym. Bo choć to uczeń piątej klasy, więc zazwyczaj niesformniejszy i butniejszy od wszystkich młodszych i starszych, ale że starrannie wychowywany i dobrze pilnowany w domu i w szkole, prędko się zmiarkował, że okazane w pierwszej chwili na żądanie ojca ociąganie się było nieprzyzwoitem, starał się więc teraz przez uprzejmość zatrzeć przykre wrażenie na ojcu rodzonym i chrzestnym sprawione.

Czytał tedy pan Jan dobitnie i powoli każdy stopień nauk, każdy szczegół w cenzurze trzecioklasisty; za wszystkie celujące brał chłopca z pewnym rodzajem pieszczoty w swoim rodzaju, za czuprynkę, podnosił w górę przy pomocy drugiej ręki, która brodę podpierała i patrząc w oczy mówił z uczuciem: tęgiś chłopiec, chwat jesteś, niechci Bóg da zdrowie i rozum, kiedyś taki; za każdym dobrym (stopniem), a było ich trzy, dodawał: no trzeba się starać, to i tu będzie celujący. W rubryce obyczajów stało wyraźnie: wzorowe, co według dawniejszej metody szykowania stopni mieściło się na samym końcu cenzury. Po przeczytaniu wyrazu: wzorowe, pan Jan dał zupełną folgę najgorętszemu istotnie dla swych chrzestniaków uczuciu i ucałował chłopca tak serdecznie jakby własnego syna; łzy

mu się zakręciły w oczach, o które po siedmdziesięciu latach nie trudno i sciskając za rękę majora, winszując, rzekł z pewnym rodzajem, powściąganego uczucia żalu z radością pomieszanego, że już masz taką pociechę z dziecka, której Bóg nie każdemu ojcu doczekać się pozwala.

A proszę ojczulka, odezwał się żywo rodzony synek pana Jana, ja mam także *wzorowe* obyczaje w cenzurze: przykro było widocznie Józiowi, że ojciec tak bardzo chwali obcego a o nim zapomina.

Poczekajno kochanku, przyjdzie i na ciebie kolej, odpowiedział ojciec nie rad trochę z upomnienia się o sławę swojego syna, bo wiedział, przeczuwał raczej, że przy bliższym egzaminie sława ta może uciec, dodał więc cierpko: nie musi tam tak bardzo wzorowo wyglądać wszystko w twojej cenzurze, kiedyś mi jęj dotąd sam nie pokazał; bądź cierpliwy, weźmiemy się zaraz i do wasana, i czytając dalej ostatnie wyrazy cenzury, zatrzymał się przy uwadze: godzin lekcji opuścił *dziesięć*. Co to znaczy mój chłopcze, zapytał pan Jan, że przy tém dziesięć, nie napisano wyraźnie z jakiej przyczyny: u nas to panie dobrodzieju pisano zawsze i nie raz wielka była bięda za przyjazdem do domu, kiedy tam o tych godzinach coś niejasno się wypisano.

Piszą, proszę pana i u nas, śmiało odpowiedział chłopiec, ale tu nie można jakoś było wszystkiego napisać. Mieliśmy pozwolenie od gospodarza naszej klasy, bo kochany ojczulek przyjechał do nas na dwa dni tylko, pan profesor przecież musiał pozwolić, bo jakże?!

A jaki to profesor taki dobry i posłuszny że *musiał* pozwolić na opuszczenie lekcji, wtrącił się pilnie

uwaję cały bieg sprawy, wspólny wszystkich młodych i starych wujaszek. Czy to na pieszczoty z ojcem potrzebne były całe te dziesięć godzin lekcyi, oprócz ranku, południa i wieczóra po kwadransie lub po pół godziny?

Proszę wujcia, odpowiedział żwawo student, to już taki zwyczaj u nas, i pan dyrektor nawet wie o tém i nie gniewa się.

Bałamucisz kochanku, bałamucisz, rzekł wujaszek: ani dyrektor, ani profesor pewnie na to nie pozwalają każdemu: powiedziałbyś lepiej, że czasem to się zdarza, jeżeli uczeń przez cały rok pilny i obyczajny; że dla takiego bywają względy, aleś ty nie śmiał sam o sobie tak mówić, boś skromny, i tak trzeba; niech kto inny powie, niech się domyśla, wszak prawda?

Na te uwagi nie śmiał już tak śmiało chłopiec odpowiedzieć, tylko schylił się do ramienia pana Antoniego, pocałował go i pocałowanie odebrał.

Szanowny major w czasie téj indagacyi stał na ustroniu i zdawał się trochę zakłopotany; nie był też istotnie w całej téj sprawie bez winy, ale milczał, bo mu nie wypadało przyznać, że się sam do opuszczenia lekcyi synów stanowczo przyłożył, prosząc profesora i ściskając najczuliej za ręce, aby tę parę godzin przez wzgląd na ojca darował dziecku, że wdzięcznym być potrafi, że zawsze cenił jego dla siebie łaskawość a teraz zobowiąże go nieskończenie, jeśli wyrozumiałym być raczy.

Student tym czasem po chwili namysłu ochłoniawszy z pierwszego wrażenia ataku pana Antoniego, tém bardziej, że go tak serdecznie ojciec chrzestny wyściskał a świeżo i ten sam wujaszek pocałunkiem zaszczycił, odezwał się raz jeszcze z odwagą prawdziwie studencką i przekonaniem, że ma słuszość: proszę kochanego wujcia, myśmy wtenczas mieli tylko powtórzenie z ma-

tematyki i pan profesor zastępował łacinnika, który ciągle choruje, więc tak jak nic nie opuściłem. Pan Dzwonkowski i tak musi nam wszystko na korepetycyi powtórzyć.

A to ty kochanku jesteś niewinny zupełnie — i nic nie straciłeś, tylko pan Dzwonkowski biedak odpokutował, bo on *musi* powtórzyć: no, no, pogadamy może jeszcze o tym Dzwonkowskim i o téj łacinie, którą matematyk zastępuje, rzekł wujaszek przekonany niby zupełnie, zapytując nawiasem niejako, z których to przedmiotów ma młodzieniec tylko stopień *dobry*.

Eh! to z arytmetyki, geometryi i kaligrafii, wyrecytował chłopiec szybko i śmiało.

Musisz nie mieć zdolności do matematyki a kaligrafii nie lubisz, rzekł najobojętniej wujaszek.

Ja mam dosyć zdolności, szczególnie geometrya łatwo mi *idzie*, odpowiedział student; tylko pan profesor bardzo *trudno* słucha, i nikt prawie u nas nie ma *celującego*, może wszystkiego, dwóch. *Dobry* stopień, proszę wujcia, to *dobry* — do promocyi więcéj nie trzeba.

Czy z kaligrafii profesor także trudno słucha, mówił dalej pan Antoni z tą samą niby obojętnością.

Ej, co tam kaligrafia! Kaligrafia do promocyi nie przeszkadza, odpowiedział student z najzimniejszą krwią, a nawet z pewnym rodzajem dumy.

Na tém się skończył przegląd cenzury gościa studenta młodszego; kaligrafia została potępioną przez młokosa, nikt ze starszych nie podjął się jej obrony, może dla tego, że już przedmiot o cenzurach zaczynał nużyć niektórych panów z grona naszego a może i dla tego, że trzeba było mówić wiele i poważnie, aby nauczyć, kto tego nie rozumie dobrze, że każdy przedmiot w szkole wykładany, jest ważnym i na posuwanie się

z klasy do klasy wpływać powinien. Względem ucznia piątej klasy zachowanie się gospodarza domu i wujaszka było nacechowane pewną powagą, do której i godność ucznia tej klasy i bez zarzutu prawie świadectwo skłaniały. Zrobiono wprawdzie i tu uwagę małą, że młodzieniec przy wszystkich stopniach *celujących*, z greckiego języka miał *dostateczny* tylko; ale dla skrócenia rozpraw, rzecz ta zaledwie zlekka dotknięta została. Pan Major, który dotąd mało się wtrącał do rozpraw, jako ojciec jednak czuł się obowiązany obronić syna, tym jakoby najsilniejszym argumentem, że greczyzna nie daje chleba, że próżno i tak czas zabiera, bo młody człowiek jak wyjdzie ze szkół, po grecku nigdy mówić nie będzie, że kiedy zostanie inżynierem, do którego to zawodu chciałby go przygotować, jeśli mu się gospodarka nie podoba, to będzie w kraju mosty budował a do Grecyi niepojedzie.

Przeciw takim zdaniom dobitnie i jasno wypowiedzianym nikt nie śmiał wystąpić, bo były jakby z własnego słuchaczów ducha i serca wykradzione, nawet pan Antoni, chociaż widocznie nie podzielał owęj wzgardy dla Greków i parę razy machnieniem ręki niecierpliwość i veto swoje wyrazić miał ochotę, wytrwał w milczeniu, zachowując może do lepszych czasów i lepszej sposobności uwagi i zdanie swoje o znaczeniu i potrzebie w szkołach filologii, nie w tych zapewne wspaniałych rozmiarach, w jakich się pomiędzy Niemcami utrzymuje, ale zawsze koniecznej.

Zacny gospodarz załatwiwszy drażliwą, w każdym razie, sprawę cenzur cudzych dzieci, nie miał już najmniejszej chęci rozciągać jej do własnego pieśczochoa i lękał się zawodu, a był prawie pewny, że go spotkać musi; ułożył już sobie w wolniejszej chwili sam na sam

z Józiem, albo przy pomocy żony pomówić o tém, a nie narażać jedynej latorośli rodu swojego na wątpliwe powodzenie. Majora jednak tryumf nie byłby zupełny, bo wartość złego i dobrego najlepiej się oznacza przez porównanie, gdyby cenzurka Józia nie poszła pod rozbiór. Jużto i rodzony i najserdeczniejszy brat, bratu nie daruje, gdzie idzie o sławę dzieci: pan Piotr mówi o panu Pawle bracie, że najzaczniejszy człowiek, doskonały obywatel, ale dzieci swoich prowadzić nie umie; to samo na uboczu do dobrego sąsiada mówi pan Paweł o panu bracie Piotrze, że doskonały gospodarz, ludzki i uczynny człowiek, ale, ale w dzieciach swych tak zaślepiony, że wszystkie doskonałości w nich widzi, chociaż żaden chłopiec dotąd nie dostał promocyi bez porządnego okupu i smacznego jednego i drugiego śniadanka.

Gdy więc pan Jan już się zabierał do przeprowadzenia gości swoich do salonu, gdzie i obszerniej i wygodniej towarzystwo zabawić się i pomieścić mogło, gdzie już nawet część najznacniejsza rozrywała się to muzyką, to rozmową a tańce wywołać młodsza generacya pragnęła, Major, który dotąd raz tylko jeden głos był zabrał a w ogóle nie lubił głośnych rozpraw, zwrócił się nagle do Józia i głośnie poprosił o zaprodukowanie cenzury; dla tej, jak się tłumaczył przyczyny, ciekawy był widzieć ten dokument, bo słyszał z ust pewnych, od samego prawie dyrektora, że Józio ma wielkie do nauk zdolności i wiele na przyszłość *obietuje*. Major był bardzo zacny człowiek i dobry obywatel, ale w tym razie, Bóg świadkiem jego, z prawdą się rozminął i użył powszedniego i zużytego frazesu o zdolnościach i obietnicy na przyszłość, w swoim raczej jak biednego Józia i jego ojca interesie.

Nie wypadło panu Janowi opierać się żądaniu w tak pochlebny sposób o zdolnościach syna, wyrażonemu; inni goście w dobrej wierze żądanie to poparli, nawet ksiądz proboszcz, chociaż przyjaciel domu połączył się z żądającymi, i pan Antoni w naleganiach nie był ostatnim, wiedząc, że w pochwalę syna, ojciec tém uroczyściej i weselój dni świąt wielkich rozpocznie. Stało się: na ogólne żądanie cenzura Józia, nie bez trudności pewnej z kieszeni wydobyta, znalazła się wreszcie w ręku majora, który ją poważnie wręczył panu Antoniemu do odczytania. Takto często najserdeczniejsi przyjaciele nasi, z intencją dobrą według siebie, złe nam przysługi wyświadczać umieją.

Początek aktu tego, zaprawdę był szczęśliwy, i pan Antoni nie rzuciwszy pierwój bystrém okiem, które przy czytaniu cenzur mieć potrzeba, na dalsze po pierwszych trzech, wypisane stopnie, czytał z zadowoleniem głośno i wyraźnie: *Józef St.* uczeń klasy 3ciej okazał przy obyczajach wzorowych i pilności (inne gimnazjum, więc inny obyczaj, obyczaje umieszczone na początku), tu się trochę zająknął i tak cicho przeczytał, że tylko najbliżej stojący ksiądz proboszcz dosłyszał, *nierówniej*, postęp w naukach następujący: Pan Jan tymczasem pochwytywszy ojcowskiem uchem wyraz *wzorowych*, a niedosłyszawszy témże samém ojcowskiem uchem wyrazu *nierówniej*, już miał Józia w swoim objęciu, z którego przeszedł prędko, raczej porwany został w objęcia majora, od majora do księdza proboszcza, który ściskając chłopca szepnął mu coś znaczącego do ucha, bo więcej w cenzurze wyczytał i więcej dojrzał niż pan Antoni ogłosił, a ojciec dosłyszał; od proboszcza dalej i dalej ściskaliśmy Józia, najwidoczniej zdziwionego i pomieszanego tyłą i takimi objawami uczuć i pochwał.

Pan Antoni czytał następnie: W nauce religii i moralności celujący: *Bardzo pięknie*, ozwał się zgodnie i głośno całe zgromadzenie: jeszcze jeden *postęp* celujący, wyrwał z piersi życzliwych i grzecznych gości, wykrzyknik: *ślicznie*, i jeszcze na jeden znaczny czy wielki, odpowiedziało zgromadzenie poklaskiem, *doskonale*, i stała się przerwa.

Ksiądz proboszcz, chociaż raz już uściśnął Józia, ale w tém uściśnieniu przebiegała się raczej życzliwość jak pochwała, i w dalszym krótkim ciągu czytania cenzury zachował się dość oględnie dla przyczyn wiadomych czytelnikowi o niewiadomych towarzystwu ściskającemu; Józio zaś, który z przyczyny przechodzenia z uścisku w ucisk, znajdował się w samym prawie środku koła zgromadzonych, przy ostatnim, *wielki*, był już bliżej kominka, zakłopotany mocno nie owém szczęściem, które tak niespodzianie spadło na niego, ale spodziewaną i niewątpliwą katastrofą, a w stanowczej chwili, miał się już bardzo ku drzwiom, gdy go ojciec zatrzymał nagle w chwili, jak pan Antoni recytował prędko po krótkiej przerwie ale już mniej donośnie: z arytmetyki *mierny*, z łaciny *dostateczny*, z jeografii znowu *mierny* i znowu jakiś *dobry, mierny*, aż oparł się przy *Rysunkach*, które postępem *celujący* były oznaczone — i odetchnął.

Chwila była uroczysta i uroczyste nastało milczenie. Jak tu po takich uściskach i uniesieniach, ktobądź z obecnych i to gości, wyrzec miał *słowo* nagany lub oburzenia, a jednak sprawiedliwość wymagała prawdy, *zły* postęp z arytmetyki, historii i td. powinny były ściągnąć nagane. Major był najbardziej zmieszany; onto bowiem wywołał scenę, której początek tak świetny, koniec tak smutny, postawił przyjaciół gospodarza w po-

łożeniu sędziów, którym przyzwoitość towarzyska i wzgląd na zranione ojcowskie serce, sprawiedliwymi być nie pozwalały.

Pan Antoni jeden dla swój powagi i stosunków z domem, albo X. proboszcz, jako przyjaciel rodziny i kapłan, mogli się odważyć na pierwsze słowo, któreby towarzystwo wyprowadziło z najdrażliwszego i najprzykrzejszego zarazem położenia. Biedny ojciec, chociaż pierwszy w stanowczej chwili miał odwagę zapobiedz zbiegostwu syna; teraz gdy fatalna cenzura wyraźnie do końca przeczytaną została, na więcej odwagi zdobyć się nie umiał; cierpiał najwięcej i czekał, zdawało się, z rąk przyjaciół wybawienia.

Józio wszakże w chwili zwiększającego się niebezpieczeństwa nie poddawał mu się wcale, nie tracił przytomności, która studenta nie zwykła opuszczać, gdy szkoła i prawda w niej ukryta, daleko. Korzystał z tej i odpierał stale a śmiało surowe na siebie wyroki cenzury. Skorzystał z tej śmiałości nie ojciec, bo położenie jego było rzeczywiście i trudne i bolesne, ale ten sam pan Antoni, zacny wujaszek, który postępów w nauce dwunastoletniego chłopca nie brał tak bardzo do serca, który nie wątpił, że ten mały próżniak a wielki pieszczoch, jak się dostanie w dobre ręce, pod czujne oko sumiennego domowego opiekuna i nauczyciela, może być jeszcze i wybornym uczniem i pocziwem dzieckiem, przyjął na siebie chętnie rolę pośrednika. Kiedy Józio przy czytaniu cenzury, każdemu mierny lub niedostateczny, przeczył mruklawie i na wpół z płaczem niby uskarżał się, że to niesprawiedliwie, to tylko przez złość pana profesora, który coś ma do niego, że wręcz onby się był poprawił ale pan Kulczyński nie chciał go słuchać, wujaszek Antoni

podchwycił ostatnią z tych odpowiedzi i po pewnej przerwie, i po dłuższem ogólnem milczeniu, zapytał z wielką powagą, na pozór wierząc niby tłumaczeniu Józia: dla czegoż to pan Kulczyński nie chciał ciebie wysłuchać lekcyi, mój Józiczku?

Albo ja wiem, proszę wujcia, odpowiedział Józio, przybierając minę pokrzywdzonego i prześladowanego, jakto zwykle bywa w obyczaju tych małych winowajców, kiedy wierzą, że prawda niełatwo da się wysłedzić. Istotnie, jakże tu dojść prawdy, kiedy oskarżonego i świadka nie ma.

Wujaszek jednak udając, że wchodzi w położenie pokrzywdzonego, nie wierzył, jak wierzą ojcowie a szczególnie matki i babunie łzom i skargom studenta, nie nacierając przeto zbyt gwałtownie na Józia, bo mu na razie szło o zakłopotanego ojca i o towarzystwo, któreby rade było jak najprędzej skończyć te sądy studenckie, mówił dalej bardzo łagodnie i powoli; musisz wiedzieć, mój chłopcze, tylko zapomniałeś, dla czego cię profesor słuchać nie chciał, przypomnij sobie, pomyśl.

Proszę wujcia, odpowiedział ośmielony już Józio: raz jeden tylko pomyliłem się w *mnożeniu* i pan Kulczyński kazał mi odejść od tablicy.

Tylko raz jeden pomyliłeś się w mnożeniu, powtórzył wujaszek z przyciskiem słowa Józia, i nic a nic więcej?

Jak mamę kocham, tylko jeden raz, i... jeszcze raz zapomniałem, ile tam łokci sukna podyktował pan Kulczyński w przykładzie i po czemu; potem zaraz kazał mi odejść i powiedział, że mię już słuchać nie będzie: ja się nie raz wyrывałem, a *on* nie chciał, uparł się, proszę wujcia i nie wyrwał.

No, no, rozumiem już wszystko, rzekł wujaszek, pogadamy o tém później. Ja wierzę, że ty się będziesz uczył dobrze, bo przecież wiem jak kochasz ojczulka swego i mamy nie chciałbyś martwić. Będzie dobrze, będzie: tabliczkę już umiesz teraz, ile łokci sukna poddyktował pan Kulczyński, pamiętasz: tak mówił w żart powoli obracając całą sprawę i powstając z miejsca jakby się zabierał do wyjścia i resztę towarzystwa do tego stanowczego kroku zachęcał.

Ojciec tymczasem ochłonął z pierwszego wrażenia a przysłuchując się coraz uważniej tłumaczeniu syna, gotów był już prawie wziąć jego stronę; dla przykładu jednak i jakby dla okazania, że jest bardzo surowym ojcem, odezwał się z gniewem i ostro: bredzisz próżniaku, bredzisz: ktoby się tam na takiego bębna miał gniewać długo, albo to nie ma kozy i jeszcze czegoś, co rozumu napędza do głowy?

Józio na ostatnie słowa ojca, już miał ochotę odpowiedzieć, ale się wstrzymał, bo widział istotnie surową twarz jego; zrobił tylko minę dumną po studencku, jakby chciał uroczyście zaprotestować, że tego czegoś już dziś używać nie wolno. Jako student nowszych czasów już znał dobrze prawa i władzę profesorów, jój zakres, ale o obowiązkach ucznia jeszcze się niedowiedział. Wiedział, co wolno profesorowi, ale nie wiedział czego nie wolno uczniowi.

Pan Antoni tymczasem, wierny swój roli rozjemcy chcąc zamknąć rozprawę, które mogły przybrać znowu drażliwszy charakter, rzekł do pana Jana: kochany kuzynie, bywa to czasem, chociaż bardzo rzadko, że profesor nie tyle przez złość, bo profesorowie złości nie mają, ile dla zmuszenia chłopca do większej pilności, daje niższy stopień w pierwszym kwartale, czy pół-

roczu, jak tam gdzie nazywają i dzielą, aby się miał na baczności i goręcej brał do nauki, w drugim.

Bywało to i bywa, podchwycił skwapliwie gospodarz; ja nawet sam to wiem, że ten ladaco doskonale rachuje i największe liczby na pamięć, bez omyłki prawie doda i pomnoży; ale to jedno drugiemu nie przeszkadza; można dobrze zrachować, co matka nieraz każe, kiedy sama czém ważniejszym zajęta, ale razem umieć i to co profesor zada.

Kiedy ja, proszę ojczulka, odezwał się Józio z mocnym przekonaniem o swój niewinności, nie umiem tak mówić, jak pan profesor chce; pan Dzwonkowski inaczej mi pokazywał, ja *tak*, dobrze umiałem; a pan Kulczyński inaczej.

Cóż to za jeden ten pan Dzwonkowski? zapytał wujaszek.

To korepetytor, rzekł gospodarz, bardzo porządny chłopiec, co rok prawie ma promocyą, czasem jaki list pochwalny; już jest w siódmej klasie a ma lat ledwie siedmnaście; syn sąsiedniego tu dzierżawcy, wielkiego zbieracza grosiwa, ale nie zły człowiek, od rana do wieczora w polu, u nikogo niebywa, nikt też u niego, ale nie zły człowiek, mówił to pan Jan zupełnie uspokojony, zapominając jakby o całej sprawie Józia a przenosząc się chętnie w sferę sąsiedzkich stosunków.

Aha! mówił dalej pan Antoni, wpatrując się łagodnie w winowajcę; to ty, mój Józiczku, umiesz arytmetykę, łacinę i co tam jeszcze więcej, podług pana Dzwonkowskiego? tylko profesorskim grymasom nie dogadzasz, i profesorskim językiem mówić niepotrafisz.

Jabym się uczył, proszę wujcia tej arytmetyki i geometrii, ale to zatrudno dla mnie, przecież ja tak nie potrafię jak profesor; ja rozumiem i wszystko zrobię,

wyrysuję, tylko powiedzieć nie mogę, rzekł coraz pewnością sprawy swojej Józio.

Może ty masz słuszość, poczciwy chłopcze, odpowiedział wujaszek, który wyraźnie zdawało się że miękł i dawał się przekonywać, byle się tylko ojciec uspokoił i towarzystwo humor swój odzyskało. Nie wypadało jednak nagle przerwać rozprawy i chłopca uniewinnić całkiem, więc tak dalej mówił do Józia: powiedz mi szczerze, czy cała klasa ma z arytmetyki i jeometrii mierny, czy kilku was, co grymasów profesora nie możecie znosić a słuchacie panów Dzwonkowskich?

O! są tacy, proszę wujcia, co umieją jak pan Kulczymski *chce*, co się lubią podlizywać i powtarzają za profesorem, uważają w klasie jak tłumaczy, zapisują sobie i potem wyklepią i mówią co do słowa, rzekł Józio z pogardą.

Więc to tacy klepacze, lizusy tylko, pochlebcy umieją dobrze i mają stopień *celujący*, a ty rozumny i szlachetny chłopiec wolisz swojemi słowami, albo tak jak pan Dzwonkowski przerabia, mówić, potakując niby pan Antoni, odpowiedział: bo czemu też to profesor nie stosuje się do twojego korepetytora, wszak prawda? mówił ciągle w łagodnym tonie wujaszek; jak też myślisz mój Józiu, kto umie lepiej arytmetykę i łacinę, czy profesor, czy korepetytor? niezawodnie korepetytor, bo się niedawno uczył, a profesor Bóg wie kiedy już skończył swoje szkoły i Uniwersytet.

Kiedy wujcio żartuje sobie ze mnie, odpowiadał ośmielony zupełnie łagodnością indagatora, Józio. Naturalnie że pan Kulczymski lepiej umie, on podobno nawet pisze tam coś do drukowania w Warszawie, ale przecież my niemożemy tak umieć jak profesor.

Święta prawda, mój Józeczku, rzekł pan Antoni,

czy to wy macie mieć aż tyle rozumu, co profesor? albo to niedosyć dla was tyle, co w pana Dzwonkowskiego głowie!

Wujcio ciągle żartuje ze mnie, a ja to rozumiem przecie, rzekł figlarnie Józio. Ale proszę wujcia naprzykład, jak się tu nauczyć jeografii, kiedy zupełnie co innego w książce a inaczej opowiada profesor; pan Dzwonkowski mówił, że lepiej się trzymać książki, bo o tém, co profesor mówi, to mało kto wie jeszcze.

A prawda, moje dziecko, prawda, wtórując zupełnie Józiovi, rzekł pan Antoni. W książce waszej jest pewnie pod Włochami jeszcze jakie Księstwo Toskańskie, Modeńskie, Królestwo Piemontskie, Państwo kościelne, a profesor o nich nie mówi. Skąd profesor może o tém wiedzieć, kiedy książka nie wie, komu tu wierzyć? raz to jest, drugi raz tego niema, raz cesarz, potem rzeczpospolita, to znowu z króla cesarz i znowu król. Bardzo naturalnie, że się dziecku w głowie miesza i temu już sam korepetytor poradzić nie potrafi. Otóż dobrze zrobisz, jak to sobie swojemi słowami opowiesz, bo tu niema nic pewnego w tych wszystkich zmianach, i pan profesor nie jest żaden prorok, ani król, żeby wszystko dobrze wiedział jak jest i jak będzie.

Przysłuchiwało się całe towarzystwo tym uwagom pana Antoniego z półusmiechem i bez wyraźnego potwierdzenia ich lub zaprzeczenia; słuchał z dobrą miną i odpowiadał z początku odważnie Józio, ale ku końcowi widząc żart wyraźny, niemając pod ręką lepszej broni, rozplakał się i przytulił do ojca.

Ciężko zrobiło się na sercu panu Janowi; ojcowskie jego uczucie zranił boleśnie ten publiczny niejako przegląd cnót i niecnoty własnego i jedyne go syna, a chcąc ostatecznie położyć koniec dalszym uwagom i badaniom,

odezwał się do zgromadzonych, wezwawszy na świadectwo prawdy słów swoich X. proboszcza, w ten sposób: Ja państwu dobrodziejstwu całą tajemnicę cenzurki mojego Józia króciuteńko wytłumaczę.

Oto w połowie Maja przeszłego roku, dzień był ciepły i łagodne powietrze, jak tylko można żądać; po obiadku i po kawie, tak może była piąta godzina, może po piątą, namówiłem moją żonę, która już była parę tygodni po ciężkim jakimś zapaleniu, abyśmy się przejechali do naszego oto tu lasku, coście Asaństwo dobrodziejstwo widzieli jadąc od Woli Pasiecznej; śliczny lassek, młody, równy a gęsty jak szczotka.

Otóż dzień był ciepły jak w Lipcu; najpóźniejsza pszenica moja, już wyrosła panie, ot, tyle; powietrze tak spokojne, że milę drogi przeszedłbyś z zapaloną świecą. Pojechaliśmy sobie do onego lasku, zabawiliśmy może najwięcej kilkanaście minut, bo jakoś niespodzianie od zachodu ukazała się chmurka niewielka, która mi się bardzo niepodobała. Kazałem zawrócić czém prędzej, i gdzie jeszcze przed zachodem byliśmy już w domu. Moja jejmość zdawała mi się coś niby więcej znużona, jak po takiej drodze znużyć się mogła; położyła się wcześniej, byłem niespokojny. Ale myślę sobie, zaziębić się nie mogła, bo cóż u licha! dzień lipcowy prawdziwie, może tam jakaś niedyspozycja, jakto często bywa bez przyczyny: zostawiłem ją samą, bo wiem że nie lubi, żeby ją nudzić przy lada bólu głowy. Jak to asaństwo dobrodziejstwo wiecie, w gospodarstwie, jedno drugie popędza i nigdy człowiek niema spokoju. Ledwie wyszedł, a tu owcarz, tu żyd kanalijski, któremu powtórzyłem z dziesięć razy, żeby mi rymarza przywiózł koniecznie, nie przywiózł łotr a prosi o poczekanie raty i zachodzi drogę; to to, to owo, tak że zeszło do dziewiątej: po

lekkiej herbatce położyłem się spać i zapomniałem o wszystkiem. Aż tu panie raniutko, wpada Jagusia od mojej żony strwożona, zadyszana i mówi: Jasnie panie! pani jest niedobrze, prosi pana do siebie. Pobiegłem nieprzytomny prawie: widzę — źle, moja pani ledwie tyle wymówić mogła: „jeśli ci Bóg miły, drogi Jasiu, poślij po chłopca naszego, niech natychmiast przyjeżdża, żebym go jeszcze widziała i pobłogosławiła.“ Możecie sobie kochani państwo wyobrazić, co się ze mną działo. Jak żyję, niepamiętam takiego dnia. Byłem przy śmierci mojego dziadka, który nie tylko że był dziadkiem i dobrodziejem, ale to, drodzy panowie, lumen całej okolicy, kochany jak nikt! pod Austerlic był już Majorem; Kościuszkę tak znał, jak oto... no, ale mniejsza z tém: matka moja droga na moim ręku skoła: myślałem, że nie przeżyję, taki mię ból ścisnął, jednak nie tyle, co w tej chwili, kiedy ta biedaczka, tak jeszcze wczoraj wesola i swobodna, dziś, już mię żegna i żąda widzieć syna, aby go pobłogosławić mogła. Nie będę was, moi państwo dłużej zajmował tém, com wówczas przeniósł i przeboleł; dość że po chwili osłupienia, oprzytomniałem, i w pół godziny już jedna bryczka wyruszyła po naszego pocziwego konsyliarza Mrocza, drugą jechał mój gorzelany po Józia. Doktor koło południa był już przy łóżku żony, i dwa dni i dwie nocy nieodstępował ję ani na chwilę. Na drugi dzień zrana, Józio był w domu, ale mu Mroczek na próg nawet pokoju matki zbliżyć się nie pozwolił, żeby go przypadkiem nie zobaczyła i niepoznała, chociaż leżała bez najmniejszej przytomności. Trzeciego dnia pocziwy Mroczek zrobił mi nadzieję — i widziałem z jego oczu, że nie kłamie. Co was tam jeszcze mam nudzić, moi drodzy, tém wszystkiem, com przeszedł — dość że Bóg miłosierny ulitował się

nademną i nad tym oto chłopcem pocziwym, który przez trzy dni nie dał się ruszyć od drzwi pokoju matki, gdzie leżała, a nasłuchiwał tylko, co się w nim działo. Dwudziestego dnia choroby nie było ani śladu, a po miesiącu, kiedy już bez obawy mogłem z domu wyjechać, odwoziłem chłopca do szkół, tak prawie na koniec roku, przed egzaminami. Opuścił wiele — egzamina poszły słabo, ale że znałem dyrektora dobrze i oddawna; człowiek pocziwy, także ojciec, zrozumiał nas. Kilku profesorów zaprosiłem na obiad; po drugim kieliszku, wystawiłem im, jakoby krzywdę wyrządzili chłopcu niewinnemu, gdyby go na drugi rok zostawili w tej samej klasie; biedna matka mogłaby to jeszcze odchorować albo i życiem przypłacić — i tak jakoś udało się, że przed końcem obiadu dali mi słowo uczciwych ludzi, że promocyja będzie, ale warunkowa — z egzaminem, bo dyrektor nie chciał być na obiedzie, żeby to zaraz nie gadali, że pobłaża bogatszym a biedaków trapi i dusi; — ale mu posłaliśmy parę buteleczek... niby tak na imieniny żony, pocziwój kobieciny także, która męża swego często gęsto powstrzymywała w jego zapędach surowości dla dzieci i niejednemu dopomogła, kiedy już wszyscy zwątpili.

Otóż macie asaństwo istotną przyczynę dla czego tam jedno i drugie mój Józio ma w cenzurce miernie; dostał promocyję, ale źle był przygotowany więc mu trudno w 3ciej klasie. Jednak on się poprawi, mam w Bogu nadzieję; — on wie że u mnie żartów niema! Uczyc się trzeba, bo to panie dzisiaj inne czasy, człowiek bez nauki, choćby i bogaty, szacunku u ludzi nie znajdzie — a gospodarstwo coraz więcej potrzebuje głowy, nie tylko rąk; ja mu to ciągle przy okazji, po swojemu mówię i powtarzam.

W czasie opowiadania tego, słuchacze tak niespodzianie przypuszczeni do najskrytszych tajemnic wewnętrznej polityki domu i wypadków, które Józiowi, przyszlęj głowie rodziny, niepozwołyły być dobrym uczniem w trzeciej czy drugiej klasie, spoważniali więc jeszcze, szczególnie pan Antoni zły był na siebie bardzo, że i on dał powód do tylu drażliwych objaśnień i bolesnych wspomnień. Józio, chłopiec istotnie z najlepszym sercem, a że rozpieszczony przez matkę, więc tém czulszy, rozplakał się na nowo, gdy ojciec kończył opowiadanie o niebezpiecznej chorobie matki.

Wujaszek, jakeśmy wspomnieli, uważał się w tych wypadkach za bardzo winnego; on tedy wzięwszy raz na siebie trud nie trudny wprawdzie, rozproszenia chmur zbyt poważnego usposobienia towarzystwa i przywrócenia mu humoru, który w niem od początku panował, gdy się zdarzyła chwila krótka milczenia, rzekł do rozczulonego Józia, biorąc go poważnie w swoje objęcia: uspokój się moje dziecko, zapomnij o łacinie i arytmetyce, bo to czas pracy nad orzechami i jabłkami; jestem przekonany, że na wakacje przywieziesz rodzicom nie tylko promocyją, ale i pochwałą. Z tego coś mówił i jakeś się tłumaczył, widzę, że chcesz się uczyć i możesz być doskonałym uczniem, żeś rodzony brat wszystkich studentów, którzy zawsze najszczerzej pragną umieć każdą lekcję, modlą się nawet gorąco w domu i kościele, na drodze do klasy i przed samą lekcją, aby im Pan Bóg dopomógł i poszczęścił. Pocziwe chłopaki, wyuczywszy się z wielkim nieraz trudem, wśród nieuniknionych w życiu familijnem przeszkód, to od babci, to od cioci, to od wujaszka, połowy lekcji, mają pretensję, żeby drugą połowę Bozia wziął na siebie. Bozia naturalnie tym gorącym prośbom, polskiej po największej czę-

ści narodowości młodzieży, zadość uczynić nie może i zostawia je bez skutku zwykle, bo znaczne skądinąd i serdeczne chłopcy, gotoweby uwierzyć, że się krótką i żarliwą modlitwą od pełnienia najświętszych obowiązków uwolnić można. I stąd tyle niedostatecznych stopni i niepromowanych najpilniejszych chłopców. Powiedz tylko sam, mój Józiu, czyby to dobrze było, gdyby ci się udawało zawsze, pomimo próżniactwa i nieuwagi w klasie, dostawać dobre stopnie? Czybyś się chciał uczyć i czybyś się kiedy nauczył czego? Ale o tem nie ma mowy; już to jest bardzo dobre, że chciałbyś z arytmetyki, z łaciny i ze wszystkiego wreszcie mieć celujący stopień, choć podobno teraz, jak mówią, bywają i tacy, którzy niedbają o to, czy ich pochwała czy nagana spotka; ja temu wcale niewierzę; tak złych i bezwstydných dzieci być nie może: jużbyto chyba było największe nieszczęście na świecie: przyznam się, że jeszcze takich brzydkich dzieci nie spotykał. Otóż powiadam ci mój Józeczku, że cieszę się bardzo, skoro pragnąłbyś mieć dobre stopnie, a ponieważ zdolności Pan Bóg dał dosyć, dał i dobre serce, które kocha szczerze rodziców, to jak trochę lepiej będziesz uważał w klasie, a panu Dzwonkowskiemu swojemu pozwolisz więcej pracować nad sobą a nie ciągle nad tobą, wszystko pójdzie dobrze. Tobie moje dziecko, bardzo mało brakuje, powinienes dowiedzieć się tylko, jak się trzeba uczyć, aby się nauczyć; sposób zaś jest łatwy niezmiernie: najprzód trzeba mocno chcieć, ale to tak mocno, jak np. chcesz, żeby ci mama w niedzielę pozwoliła pojechać konno do kościoła, kiedy całe towarzystwo jedzie powozem. Prawda, jak to wtenczas całą sobotę jesteś posłuszny, grzeczny? w niedzielę raniiej wstajesz, ubierasz się starannie i prędko, żadnemu służącemu nie powiesz ani jednego słowa przy-

krego, siostrom się nie sprzeciwiasz, słowem, robisz wszystko, żeby niezasłużyć na napomnienie. Tę samą mocną chęć uczenia się dobrze, trzeba ciągle mieć na pamięci w domu, w szkole, w drodze do szkoły, w kościele w czasie nabożeństwa. Jestto w ogóle środek pewny, który nigdy niezawodzi, tylko wytrwać należy w chęci dobrej jeden tydzień, a wierz mi, już drugi pójdzie łatwiej, trzeci i dalsze tak same ułożą się, żeby ci bardzo przykro było wrócić do próżniactwa. W robocie tej nie powinienes nigdy dowierzać sobie, że łatwej lekcyi można się nie uczyć, i wolno zostawić ją na jutro rano. Kiedy łatwa, zrobić ją zaraz, a rano zostawić do przekonania się czy się wszystkiego wczoraj nauczyłeś. Drugi sposób także doskonały, który nigdy niezawodzi i który zostawia mnóstwo czasu do zabawy w piłkę, w arcaby, nawet w ślepą babkę. Niedomyślasz się zapewne jaki to? Bardzo prosty: siedzieć w klasie jak przykuty do ławki i uważać pilnie, jak profesor słucha innych uczniów, aby być zawsze gotowym, jeślibyś był zapytany do odpowiedzi, i dalej — uważać zawięście, kiedy profesor nową lekcją zadaje i objaśnia, a nie spuszczać się na to, że pan Dzwonkowski w domu to samo przerobi. O tych sekretach, które znać potrzeba, aby bez wielkiego trudu, bez łez, kozy i postu, być dobrym uczniem, powiem ci więcej później przy innej sposobności, teraz dajmy już pokój cenzurom i morałom.

A kiedy wujaszek będzie łaskaw powiedzieć, zapytał Józio.

Kiedy? kiedy zechcesz i ile zechcesz, bo ja mam dużo do powiedzenia, odpowiedział wujaszek.

Ja, proszę wujcia, chciałbym zaraz, potem może nie będzie czasu, potem wujcio wyjedzie, bo wujcio zawsze długo u nas nie chce zabawić.

Tak ci bardzo pilno, rzekł pan Antoni, a czy będziesz uważnie słuchał? Ja mam dużo ciekawych, dla mnie samego bardzo miłych wspomnień z życia mojego w pierwszej szczególnie klasie, i to w Krzemieńcu. Zapewne wiesz gdzie jest Krzemieniec; bo już tego, jakie tam były szkoły, kto je założył, jacy stamtąd ludzie wyszli, jacy uczyli profesorowie, jacy sławni dyrektorowie, co się wreszcie z temi szkołami stało, tego wiedzieć jeszcze nie możesz.

Krzemieniec, Krzemieniec.... rzekł po pewnym namyśle Józio: jeszcześmy o Krzemieńcu nie mieli: ale to nie to samo, co Kamieniec, co to go Turkom nie mógł Sobieski odebrać?

Zapewne, że nie to samo, rzekł uśmiechając się wujaszek: ale, to ty widzę słyszałeś coś o historii polskiej, czy wam wolno wiedzieć co o Sobieskim i o Turkach? Tylko prawda, macie pod Warszawą w łazienkach owych sławnych, na moście posąg Sobieskiego na koniu, jak depce Turków, to o Sobieskim i o Turkach wiecie.

Krzemieniec, to będzie gdzieś na Litwie, odezwał się nieśmiało akademik.

Gdzieś koło Wilna, a może Grodna, rzekł drugi z obecnych, mazur rzetelny, pomagając Józiovi i Akademikowi jak umiał w tej trudnej jeograficznej sprawie.

Oj tak, tak! u was wszystko na Litwie albo na Ukrainie, pocciwi Koroniarze, co tylko nie nad Wisłą i to bardzo blisko brzegów. Nie godzi się, mówił dalej pan Antoni, zdobywając się na łagodność i umiarkowanie, które w podobnych razach nie łatwe mu były; nie godzi się tak być obojętnymi na wszystko i dla wszystkiego, co nie na waszych piaskach mazowieckich, czy zrodzone, czy zbudowane, czy założone. Macie pretensją i bardzo słuszną do bratniej ziemi ruskiej, do Wołynia

do Podola, do Ukrainy, bo to wasze i wy *ich*: bo to przecie jest jedno ciało i jedna w nim dusza, ale jeografii, ale sławnych lub pięknych okolic, miast, zamków w tych prowincjach nic a nic nie znacie, jak jacy wielcy uczeni i ministrowie francuscy. Im to uchodzi, im wolno mało umieć a dużo gadać, na to dała im Europa przywilej z pieczętkami wszystkich krajów, wam nie. Wy radzi mówicie o Sobieskim o Batorym, nawet o Zygmuncie III, bo go pomnik przed zamkiem królewskim ciągle wam przypomina, trochę o Poniatowskim, ale przedewszystkiém, księciu Józefie, ale razem wzięwszy, mało o historii całej i własnego kraju: nie stosuje się to do uczonych, do literatów pierwszej klasy, ale do ogółu tak zwanój, oświeconój publiczności. Jest w tém wielka wina ojcowskiego rządu, który tylko o sobie mówić i myśleć pozwala, ale zawsze większa wina wasza, żeście obojętni, żeście w sobie nadto zakochani. Przepraszam was, moi najdrożsi panowie, za moję śmiałość i gderaninę, za moję otwartość, ale jak Boga kocham, to szczerą prawdą. Przed wypadkami 1863 r. rzadko kiedy zdarzyło mi się spotkać z człowiekiem skądinąd bardzo porządnym, uczciwym i jakto mówią na powszednią skalę mierzając, wykształconym, któryby tych nazw Litwy, Wołynia i Ukrainy nie mieszał, i nie brał jednych za drugie. Gdyby nie Pol, którego bardzo wielu z was czytało a wszyscy znają za prawdziwie narodowego poetę, i z którego poznaliście głównejsze charakterystyczne rysy ziem starą Polskę niegdyś składających, tobyście o tych przeróżnych i prześlicznych dzierżawach waszych, żadnego prawie nie mieli wyobrażenia. Dopiero po sześćdziesiątym trzecim roku, jak was porozwozili, porozganiiali na wszystkie strony świata; kiedyście, to na Sybirze, to na etapach, to po więzieniach spotkali Li-

twinów, Wołyniaków, Podolan i Ukraińców i wejść musieli w bliższe z nimi stosunki, ponowić prawdziwą *Unię — biędy*, wtenczas z jeografią i etnografią poznaliście się bliżej. Kosztowne to zaprawdę lekcye takie jeografii, ale doskonałe i pamiętne uczniom. Warszawa, miasto najpocziwsze, najlekkomyślniejsze w świecie, a jak kobieta ciekawe, nauczyło się niezmiernie wiele po 1846 r. z historyi państw i ludów europejskich, położenia ich krajów, rzek w nich i fortec; w polityce zawsze już to bardzo biegłe, a przynajmniej przenikliwsze od sławnego Palmerstona i Napoleona. Po owym czterdziestym szóstym roku poznaliśmy trochę Galicyą; straszna lekcya, oby pamiętną była! Rewolucya węgierska obeznała Warszawę i całe Królestwo z krajami Austrii południowemi, 59ty rok podał jeografią Włoch wcale dokładną, ale tylko północnych stron: jakie wypadki nauczą nas jeografii reszty Europy, Bóg raczy wiedzieć.

Przepraszam za zboczenie szanownych słuchaczów, stary gawędzi i zbaczać z drogi musi, bo stary — na prostej drodze długo utrzymać się nie może. Otóż mówiłem, że godzi się lepiej znać jeografią swojego kraju, wiedzieć gdzie jest Krzemieniec i nie mieszać go z Kamieńcem i Turkami, nienaśladować chępliwych Francuzów a szczególnie ich ministrów, nie śmiać się z Moskali, że idąc do Paryża, zostawili jeografią na prawo a sami prosto poszli. Ministrowie francuscy mogą nieznac najwierniejszych swych aż do uporu sprzymierzeńców, bo i tak będą ich kochać pocziwcy: Moskale mogą jeografią zostawiać na prawo, bo ich armie idą ślepo, prosto, gdzie Car każe; — jenerałowie nawet będą wszystko umieli, jeżeli także Car każe; żołnierz będzie grał na każdym instrumencie, także stosownie do rozkazu; — Polacy jednak muszą się uczyć więcej jak wszyscy,

bo naprzód są bardzo nieszczęśliwi i biędni, powtóre, są bardzo zdolni a próżniacy: ze zdolności korzystać trzeba, próżniactwo przełamać koniecznie, rozum i sumienie nakazują.

Znowu za daleko i na bok zjechałem — taka to już natura, choćbym rad, przerobić się nieda; miałem mówić do Józia i jego uczyć jak się ma uczyć a dotknąłem starszych.

W czasie tej długiej reprimandy, tak niespodzianie i ostro wypowiedzianej, nikt się nie odezwał, może przez grzeczność i uszanowanie dla starego i zacnego wujaszka, może też czując trochę prawdy w tej gderaninie. Józio jednak jako student był śmielszy i odezwał się z pewną dumą, że ma takiego wuja co wszystkich śmie lajać. „Ale też wujcio skrytykował ministrów francuskich, że oni jeografii nie umieją,“ a rad był widocznie że ma w tym przedmiocie niezłych kolegów.

Czy skrytykował jak mówisz, czy prawdę powiedział, to już teraz o to mniejsza, ale co szanownych panów, to jeszcze raz jak najuroczyściej przepraszam — darujcie mi — więcej nic już nie powiem. Może ja się myślę, może wy więcej umiecie tego, czego wam dziś potrzeba, — to też na moję własną historyą studencką Józia zapraszam i jemu tylko morały prawić będę — byleś tylko słuchał malcze, rzekł w końcu z uśmiechem i serdecznością prawdziwą.

Będę słuchał, będę, odpowiedział prędko Józio, bo to bardzo ciekawe, jak wujcio był w pierwszej klasie, jak wujcio był jeszcze młodszy odemnie i uczył się gdzieś tam w Kamieńcu — przepraszam — w Krzemieńcu.

Jeżeli Pan dobrodziej łaskaw, jeżeli kochany sąsiad pozwoli, odezwali się wszyscy razem obecni, prócz akade-

mika warszawskiego, którego dzieje pierwszej klasy ucznia, obchodzić już nie mogły — i my posłuchalibyśmy chętnie, gdybyś nas raczył przyjąć na słuchaczów.

Co też asaństwu dobrodziejstwu po tém, rzekł poważnie pan Antoni; jak będę miał trzech słuchaczów, Józia i tych dwóch kawalerów z gimnazjum jeszcze, którzy swojemi cenzurami wywołali tę historią całą, to dla mnie dosyć honoru. Ja z dziećmi czy z młodzieżą niedoroślą jeszcze lubię rozprawiać i słuchać jak oni swoje biedy szkolne opowiadają. Dla starszych, dla szanownych panów, musiałbym się przygotować na wielką wymowę, przybrać powagę, która mi nie miała, dobierać słów, żeby waszych rozumów godne były — i całą przyjemność, jaką mam w prostej gawędzie, jużby przepadła — niemógłbym, jak chcę, być studentem pierwszej klasy z Krzemieńca: a to właśnie dla mnie jedna z największych roskoszy, kiedy mogę znaleźć słuchaczów dla moich przegód krzemienickich.

Albożto my nie byliśmy dziećmi, studentami w swoim czasie, także pierwszej klasy, rzekł wdowiec, ojciec dwóch dobrze uczących się chłopców; mnie naprzykład przypomną się złote czasy Zoliboża, panowie wrócą na chwilę — ten do Piotrkowa, inny do Płocka i swoje figle i smutki przypomą; dla jednych opowiadanie kochanego sąsiada będzie nauką, dla drugich wspomnieniem najlepszych pono czasów z życia; — zapomniemy na raz wszyscy o dzisiejszych naszych cywilizatorach, którym, jeśli wiedzą co czynią, niechaj jednak Pan Bóg im przebaczy i jeśli można, nawróci. Nie mieliśmy wprawdzie takiego Czackiego i takiej szkoły, jak podobno była ta wasza w Krzemieńcu, aleśmy jednak mieli zacnych profesrów, pocciwych Pijarów, których dziś jakoś nikt zastąpić nie umie. Uczyli nas dobrze, pilnowali

i kochali po ojcowsku — a dbali nieraz więcej o nasze obyczaje jak własni rodzice. Niechże się sąsiad nie da prosić, dodał nalegając major; nie marudź Antoni, nie marudź — a gadaj, kiedy cię chcą słuchać, rzekł natarczywie gospodarz. Podziękowałbyś Bogu, żeś trafił na takich pokornych ludzi, których wyłajałeś Bóg wie za co, a nieobrazili się i zapisują się na nowo do twojej szkoły.

Nie byłem na początku rozprawy, rzekł Podśudek, który przed chwilą wszedł do kancelaryi gospodarza z jakąś propozycją na ustach, ale jęj zapomniał przysłuchując się morałom pana Antoniego — ale uważam, to jest, mam przekonanie takie, żebyś pan dobrodziej niepowinien odrzucać próśb towarzystwa — sądzę bowiem, że w każdym razie, panie dobrodziej — miło jest....

Dobrze mówisz podsędku najdroższy, to jest, wiem, co chcesz powiedzieć — przerwał gospodarz: Antos musi nam opowiedzieć przygody swoje z piérwszej klasy, bo tych wszyscy mogą słuchać.

Ano! dobrze, dobrze, kiedy chcecie i każecie, będę posłuszny — odpowiedział uradowany wyraźnie tak uroczystém wezwaniem, pan Antoni, ale proszę bardzo, po kątach nie szeptać mi i nie wtrącać swoich dzisiejszych wypadków. Bo już to znam szanownych panów — cicho póty, póki ktoś mówić lub grać niezacznie; niechże zacznie choć proszony, męczony, naraz wszyscy występują ze swojemi interesami — i tak brzęczą, że czy oratora, czy gracza ani słyszą. Wieczorkiem, po herbatce, damy pokój wistowi, pójdziemy, kto łaskaw do mnie, na górkę — i tam będę wam gadał, co wiem i ile pamiętam — a wy udawajcie, że was to bawi, bo inaczej zamknę się z Józiem i nikogo niewpuszczimy. Jak jednego wieczora nie skończę, to zamawiam sobie słu-

chaczów na drugi, a może i na trzeci. Trudna rada, słuchać musicie do końca, bo takie prawo w szkołach, kto się zapisze, wlezie w mundur, musi, chce czy niechce, regularnie i pilnie chodzić na lekcye.

Ale wiecie asanstwo dobrodziejstwo co? mówił dalej wujaszek ze wzrastającym zapałem do gawędy; wspominał tu jegomość o Zoliborzu, o Pijarach. Uchowaj Boże, żebym miał Pijarów ganić: — znałem ich wielu — porządni ludzie panie dobrodziej, moralni, patryoci, co się zowie, dobrze chowali młodzież, może trochę po paniczowsku, ale dobrze, rzetelnie; — zawsze to jednak księża. Tylko się asanstwo nie gorszcie tém, co powiedziałem — bo jak Boga kocham, katolik jestem, powołanie duchowne szanuję, za najpiękniejsze i za najświętsze uważam — ale się przyznam panom, że kapłana chciałbym widzieć tylko przy ołtarzu, w konfesyjale, na ambonie i na jednej, najważniejszej katedrze w szkole, kiedy młodzież naucza jak ma wierzyć i jak żyć pocciwie; kiedy jednak, bez urazy księdza kanonika i proboszcza dobrodziej rozprawia z katedry o ciepłiku i elektryczności, o pierwiastkach i atomach, to mię jakoś boli i wstydzi. Zdaje mi się, że albo się przebrał, albo przebrać się powinien; może ksiądz te wszystkie nauki znać, nawet znać powinien, ale być doskonałym kapłanem, co znaczy, życie nauczaniu słowem i przykładem, owieczek swoich poświęcić — i doskonałym profesorem fizyki, nie może; któryś z tych obowiązków i powołania ucierpi zawsze. Dobremu kapłanowi dzień zwyczajny nie wystarczy na spełnienie należyte tego, co spełniać ma. Dobry nauczyciel fizyki dzisiaj, przy takim rozwoju nauki, przy ciągłym jej postępie, musi być i bardzo zdolny i bardzo gorliwy, żeby za postępem jej zdążył: przeżuwać zaś ciągle to samo, co się ze szkół

i Uniwersytetu wyniosło, to nie uchodzi, to nawet niesumiennie. Widziałem takich pocciwych fizyków, co i na obiad z gabinetu swego doświadczeń wyciągnąć się nie dali: i jakże przy podobnej, a prawie koniecznej gorliwości, można być dobrym księdzem, który jak doktor, ciągle na zawołanie swoich pacjentów być gotowym powinien? Otóż szanuję Pijarów, że się w swoim czasie żarliwie wychowaniu młodzieży poświęcali, zwłaszcza, kiedy w owym czasie świeckich ludzi, jak należy usposobionych, nie było; szanuję, bo wielce zdolnych i pożytecznych a przede wszystkim moralnych obywateli krajowi dostarczyli; dziś jednak potrzeba taka ustala, dziś ludzi świeckich dosyć do nauczania, i środków dosyć, aby się gruntownie do zawodu nauczycielskiego przygotowali, a kapłani mogą i powinni oddać się całkowicie obowiązkowi kapłańskiemu, bo znowu dziś więcej jak kiedy, światłych i gorliwych sług ołtarza i owczarni potrzeba. Nie pora mówić wasanstwu teraz, ile się inne zgromadzenia zakonne, w różnych czasach biednej naszej historii, do oświaty kraju przyłożyli, bo to nie prelekcya i nie rozprawa — a ja na takie wielkie rzeczy nieprzygotowany. I tak znowu gadam wiele to o tém to o owém, a o Krzemieńcu i o moich kłopotach, tryumfach i niepowodzeniach, jeszcze prawie ani słowa nie rzekłem — i jak na nie czas przyjdzie, gotowiście zaдрżémac, znużeni już wstępną gawędą. Odpocznijcież sobie teraz jaką godzinkę, albo zagrajcie przed herbatą w wista — a potem zaproszę was do siebie, do siebie powiadam, bo z łaski gospodarza mam swój oddzielny kącik. A ty Józieczku, uzbrój się w dobrą uwagę, bo będziesz mi musiał sam na sam, o co zapytam powtórzyć. Asanstwo dobrodziejstwo od repetycyi uwalniam — tylko, jak wam już raz powiedziałem, udawaj-

cie że słuchacie, nie uśmiechajcie się ukradkiem i nie-ukradkiem, a o gospodarstwie lub o teatrze warszawskim ani z cicha, ani głośno nierozprawiajcie.

Wszyscy jednogłośnie przyjęli warunki podane od pana Antoniego — zdaje się że mieli i szczerą chęć słuchania i szczerą chęć nieprzeszkadzania pokątną rozmową opowiadającemu. Bo jużto przyznać trzeba naszym zacnym rodakom, że gorące i dobre chęci mają na zawołanie, że gotowi na każde wezwanie złożyć przysięgę wierności pierwszemu lepszemu, który ich gorącym słowem w imię jakiegś dobrej sprawy, czy dobrego uczynku, czy dobrej zabawy, wezwie; na razie nawet stawia się na dzień i na godzinę oznaczoną, byle te wezwania nie były peryodycznie powtarzające się i byle ciągle jedną sprawą nie byli obowiązani zajmować się. Każde nowe towarzystwo jakiegś natury na pierwsze zaproszenie staje w wielkim komplecie — i każde, najdalej na czwarte posiedzenie, staje w jednej czwartej kompletu. Słuchające nasi rozeszli się w różne strony i do różnych zajęć z najlepszymi zamiarami — i po dwóch godzinach — po wiście, herbacie, szachach itp. stanęli na oznaczonym miejscu.

Jeszcze nie Krzemieniec.

Towarzystwo powolnych słowu pana Antoniego słuchaczy zebrało się liczniej — niż się rozeszło, niż było zaproszone, niż natura przedmiotu, historia pierwszoklasisty, ściągnać była mogła, niż nawet orator życzył sobie i spodziewać się miał prawo, tak

że grono właściwe, w pierwszej potrzebie związane, najwięcej interesowanych, znalazło się w mniejszości, utonęło w wielkiej liczbie publiki najróżnorodniejszej.

Józio opowiedział mamie wszystkie wypadki zaszłe, w bardzo złagodzonej formie i treści i zaprosił do wujaszka na historią; — tenże sam Józio dał znać rządce, który go lubił, jako pańskiego, a więcej jeszcze, pani samej pieszczocha; — i od którego wielu doświadczał względów, gdy szło o wybór konia ze stajni do przejażdżki, o zawieszenie na pole żeńcom wódki, o zwożenie snopków do stodoły. Pan podsedek namówił żonę swoją: młody praktykant gospodarski, przyszły zawołany agronom, dziś ubogi chłopiec, rzadko do wielkiego stołu wzywany — bez namowy sam przyszedł; — nawet pocciwy Owsieński, stary ekonom z odległego folwarku, który tylko na wielkie święta się zjawiał, z upoważnienia Józia wsunął się ukradkiem do audytoryum i zajął takie miejsce, aby z niego łatwo i pocichu mógł dokonać odwrotu, gdy jaśnie pan dojrzy jego obecność i zmarszczyć się raczy. Wierny Owsieński, o ile w zawodzie swym i na trzystu złotych pol. rocznej pensyi, wiernym być można, chodził zwykle zakreślając figurą swoją pół-kola, małe łuki, nigdy linii prostych, drzwi zostawiał otwarte, które sobą przysłaniał, aby nie robić hałasu przy wejściu i wyjściu, odpowiadał skromnymi przysłowiami nigdy wprost na pytanie pańskie, kończył najczęściej konferencyą z panem pod wpływem tego niefortunnego wykrzyknika: „dajże mi już Owsieński raz pokój, do wszystkich tysięcy itd. — zawsze głupstwo zrobisz, ile razy głową swoją się porządźisz.“ Owsieński po tém otwartém ocenieniu zdolności swoich, wychodził nieobrażony, jechał na folwark i robił po swojemu — a pan jasny prawdę mówiąc, lubił go i wierzył po części w je-

go praktyczny rozum. Takito Owsiński znalazł się także, bardzo ostrożnie wszedłszy, pomiędzy słuchaczami historii o Krzemieńcu i o pierwszej klasie.

Gdy się tak liczne a różnobarwne, życzliwie istotnie dla mowcy usposobione, zebrało towarzystwo, rzekł pan Antoni w dość uroczystym tonie i właściwą pozycyją swojej powagą: „Muszę was uprzedzić, kochani państwo, że nie odrazu dostał się zaszczytu zostania uczniem Liceum wołyńskiego w Krzemieńcu; — wypowiadał tu urzędowy tytuł tej szkoły, którą w codziennym mowie i zwykłym historyków języku, nazywano po prostu Krzemieniecką, ucznia zaś Krzemieńczaninem. Głowę moją miał początkowo w swą opiekę przez kilka miesięcy, niejaki Niemiec, którego nazwiska już nie pamiętam, utrzymujący szkołę prywatną przy ulicy Śto.-Jańskiej obok Fary: Niemiec dobry i poczciwy po swojemu, miał zawsze przy sobie bat, którego razy były bardzo bolesne; batem tym zwykle upominał zachodząc z tyłu, z nienacką biedną dziewczynę, gdy się przypadkiem odwróciła do równie biednego towarzysza lub do opiekuńczego komina, przy którym córka, z lepszym od ojca sercem, protektorka stała uciśnionych i prześladowanych, gotowała obiad. Pokój był, jak na nasze osoby, od sześciu do dziewięciu lat wieku liczące, dość obszerny; stół długi, przy którym siedziało wygodnie dziesięciu do dwunastu chłopców, obstawiony ławkami, — pan Dyrektor naprzeciw drzwi wchodowych umieszczony, zawsze w stroju zaniedbanym, zawsze w złym humorze, ale przyznać należy sumiennie, bardzo pilny i bardzo dbały o postęp swoich uczniów. Niemiec ten uczył po polsku czytać i pisać, po niemiecku także czytać i pisać, trochę tak zwanych *rachunków*, które później, aż w Krzemieńcu dowiedziałem się, że się nazywają *arytmetyką* — i koniec.

programatu *szkoły elementarnej*. Nie długo w akademii tej byłem, bo skoro się matka moja przeprowadziła w inną stronę miasta, większa odległość czyniła już niepodobnym korzystanie ze światła i dyscypliny Niemca. Jeden tylko ważniejszy wypadek pozostał w pamięci mojej z tej epoki, wypadek mieszanym treści. Dano *wzór* do pisania, w którym były wiadomości z geografii, a to już znaczyło wyższy postęp w nauce: — wlepiwszy oczy w on wzór upragniony, szczęśliwy zaszczytem, któremu dostał się, zamiast pisać, marzyłem i układałem rokosznie, jak się pochwałę w domu, że już geografiją piszę. W tym raz nadzwyczaj bolesny a wcale niespodziewany spadek na wątłe plecy moje, a po nim żywa i wymownie objawiona protestacja córki, która zdążyła od komina pospieszyć mi na ratunek, zasłonić sobą od dalszych gromów — i wypowiedzieć ojcu, że nie ma chyba serca, kiedy tak małe i spokojne dziecko kaleczy i rozbija. Ojciec zapyrzony odstąpił, ja znalazłem się w objęciach córki utulony i pocieszony jej czułą opieką i obroną. Wypadek smutny i pocieszający zarazem, dowodził w części, jak cywilizatory nasze mało mają serca, roztropności i umiarkowania, kształcąc rozumy polskie, i jak nadto też srogość i niechętność ku nam z miękczają się, gdy się spotka z naturą polską, łagodniejszą i czulszą. Córka pana dyrektora od dzieciństwa wychowywała się już pod wpływem tego polskiego nieba, w towarzystwie polskich dziewcząt, po polsku umiała doskonale — i tylko w gniewie, do ojca niemieckiego używała języka, już była sprawiedliwszą i szlachetniejszą od ojca.

Po tym wypadku, nie pamiętam czy także i z powodu jego, czy więc dla zmiany mieszkania, wkrótce opuściłem szkołę drobną — a przeniósłem się do zakładu wyższego, do tak zwanym szkoły Ewangelickiej na

Królewskiej ulicy. Nazwa szkoły znaczyła, że fundusz gminy téj w znacznej części ją utrzymywał, że ewangelickiego wyznania chłopcy przeważnie chodzili do niej, ale ten charakter katolikom nietamował wstępu, w opłacie i dozorze żadnej nie czynił różnicy.

Szkola nader liczna, w wygodnym i obszernym bardzo lokalu miała dwa oddziały: pierwszy nazywał się klasą podpierwszą, drugi, klasą pierwszą z obszerniejszym nieco wykładem jak w szkołach wojewódzkich (sześcioklasowych). Opiekunem i Panem wszechwładnym téj akademii był wielce poważny Superintendent Tetzner. Co to był za człowiek, jaki obywatel kraju, nikt z nas cośmy go czasem jako wizytatora mieli honor oglądać, nie pytał, nie wiedział i nie miał dość rozumu, żeby badać i wiedzieć. Przychodził rzadko, z wielką powagą witał nauczycieli, do swoich współwyznawców uśmiechał się łagodnie, bo ich znał z lekcji religii, której sam udzielał, na resztę katolickich owieczek spoglądał obojętnie, o lekcye nie pytał wcale: w ogóle te wizyty były krótkie i uroczyste — w czasie ich nikt nie siadał; — serca chłopców gwałtowniej biły, uwaga ich i wzrok zwracały się ciągle w tę stronę, w którą obracał się poważny wizytator; — mieliśmy go wszyscy za bardzo wielkiego człowieka, za najgroźniejszego w całej Warszawie, bo téż naiwne usposobienie ówczesnych dzieci cały świat widziało w szkole, całą potęgę ludzkiego rozumu i władzy w takim panu wizytatorze. P. Superintendent jeśli przemawiał czasem głośniej i do całej klasy, używał języka polskiego, nie dość czystego; jeśli ciszej do nauczyciela lub ucznia ewangelika, mówił po niemiecku. Był to czas taki, że Niemiec w Warszawie czy w Kaliszu, chociaż nie wypierał się swojej narodowości, miał uszanowanie czyli téż pewien rodzaj taktu,

który mu nakazywał być śród nas skromnym gościem, ale nie butnym gospodarzem. Uznawał to, może z przykrością, że jest w ojczyźnie Polaków i jeśli uważał za pożyteczne nową założyć ojczyznę dla siebie, to przyjmował język i obyczaj polski — dobrowolnie zostawał polakiem i niepozwalał nikomu inaczej się nazywać. Uczucie to polskości było tak dalece silnem u naszych młodych szczególnie, przybranych braci, że tytuł Niemca obrażał ich i do największej pobudzał złości. Studenci prędko tę słabą stronę kolegów poznali — a jako z natury złośliwi, przy każdej sposobności złej i dobrej używali tego doświadczonego i najdotkliwszego zarazem, środka, aby do płaczu pobudzić lub rozgniewać Niemczyka. Tytuł *Niemca* tedy dla samych istotnie Niemców, stał się obelżywym.

W takiej szkole, gdzie Niemcy byli po największej części nauczycielami, fundusze gminy ich utrzymaniem, większość uczących się z pochodzenia Niemcy, z religii, protestanci, gdzie mniejszość ale na swojej ziemi czuła się panią i gospodarzem, przebyłem dwie klasy — z których, jak panowie słyszeliście, druga, była właściwie pierwszą wojewódzką. Losy moje w podpierwszej klasie były szczęśliwe; piersi moje ozdabiał przez parę miesięcy *krzyżyk biały*, który co dzień krędą czyściłem, aby świetnie błyszczał. Nie czuliśmy wcale naszego poniżenia, żeśmy do podpierwszej klasy chodzili, bo dziewięć ławek, każda ze sztandarem własnym, ustawionych porządnie, jedna za drugą, nazywały się *klasami*. Byli więc w téj jednej sali uczniowie klasy *pierwszej*, *drugiej*, *ósmej* i *dziewiątej*. Posunąć się z klasy do klasy można było przy dobrych chęciach i małej protekcji dyrektora klasy, w ciągu jednego miesiąca, czasem tygodnia. Każda klasa, bo już tak nazywajmy ławki, miała swego wodza,

który się zwał monitorem a biały krzyżyk na różnych kolorów wstążeczce odznaczał go wyraźniej od reszty pospolitego ludu. Nad tymi monitorami starszy i potężniejszy a dyktator całej klasy, stał monitor jeneralny ze złotym, to jest — żółtym krzyżykiem na piersiach. Pomiędzy licznymi przywilejami, które urząd jego podnosił, był jeden, szczególny prawdziwie a ponętny nad wszelki wyraz, że wódz nie miał stałego miejsca mógł chodzić po cichu po całej klasie i siadać, gdy raczył spoczynku tego uczuć potrzebę, gdzie i w jakiej ławce chciał. Szczęśliwa ławka, która takiego gościa na chwilę mogła przyjąć do siebie; usuwali się koledzy — gdzie tam koledzy! podwładni — i robili mu wygodne miejsce, a on albo pisał, co mu profesor pisać kazał, albo najczęściej notował winnych nieporządku i hałasu. Drżał czasowy sąsiad takiego monitora jeneralnego, bo jego nazwisko mogło bardzo łatwo znaleźć się na wąskiej karteczce, która po godzinie przechodziła niespodzianie w ręce *dyrektora*, czy *profesora*, jak chcecie, i wywoływała burzę i sądny dzień, strasznych chwil kilka; ale o tym potem. Drugi, nieocenionej wartości przywilej miał monitor jeneralny; dzierżył on dzwonek dźwięczny bardzo w ręku swoim i w takt czyli podług pewnej miary dzwonił nim, gdy tego wypadła potrzeba. Gdyby to panów bardzo nie znudziło, opowiedziałbym po krótkce porządek dzienny i szyk jakby bojowy całej nauki.

Wchodzący miał prawo w rękę pocałować pana dyrektora, szczęśliwy, jeśli doń twarz jego się obróciła i skinieniem znać dała, że chętnie to pozdrowienie przyjmuje; ale tak szczęśliwych na stu chłopców było zaledwie dziesięciu, prócz monitorów, którzy naturalnie wybraną kastę stanowili. Po ucałowaniu ręki, siedł na

palcach chłopczyna do swojej klasy, zajmował w niej oznaczone miejsce, ani o jeden cal szersze nad wymiar, rozwijał tłomoczek z książkami i szykował je w swoim terytorium jak najporządniej. O godzinie ósmej już byli wszyscy na miejscach, a biada temu, który się spóźnił: — nie siedł on już na miejsce ale czekał pokorny, drżący w obszernym bardzo kącie pomiędzy oknem i drzwiami. Słowo uroczyście wyrzeczone i głośno przez dyrektora — *Pacierz*, rzuciło wszystkich na kolana; — nie pamiętam, czy ewangelicy klękali i tak samo jak my jawnie się żegnali, bo gdzie wtenczas komu było do obserwacji! dziś już za późno i pamięć zawodzi. Po paciérzu siedł monitor jeneralny na środek sali przed pierwszą klasę czyli ławkę i dzwonił trzy razy z małymi przestankami: pierwszy na ucieszenie się, drugi na przygotowanie tabliczek szyfrowych do pisania, trzeci na rozpoczęcie tego pisania. Po tém hasle — odzywał się donośnie głos monitora klasy pierwszej w ten sposób: *klasa pierwsza*, pisać! — *A* — gdy to mówił, obracał jednocześnie na wysokim kiju, wpuszczonym w ławkę, umieszczoną tablicę ku swoim podwładnym, na której to *A* duże i małe napisane było; dalej monitor klasy drugiej wywoływał swoim dźwięcznym lub niedźwięcznym głosem: *klasa druga*, pisać! — *B, A — BA*: w klasie trzeciej sylaby trudniejsze więcéjgłoskowe — i tak dalej postępując od zgłosek do wyrazów, od wyrazów do zdań krótkich — i najdłuższych z kilkunastu wyrazów złożonych — w klasie *dziwiątętej* pisano już wielkie zdania, z których jedno tylko zapamiętałem — że *pieczone gołąbki nie przylecą do gąbki*. Po wykonanym rozkazie w dziwiątętej klasie, wołał monitor klasy pierwszej — *pisać! B* — i tak kolejną szło, aż do sześciu poleceń. Po krótkiej pauzie, gdy już klasa dziwiąta podyktowane

sobie zdania napisała, stawał monitor ze złotym krzyżem w daném miejscu i dzwonił *raz*: — tu trzeba było złożyć szyfer przy tabliczce, *drugi raz*: tu trzeba było złożonemi na krzyż rękami ująć tabliczkę za rogi; *trzeci raz*, tu ostrożnie ale podług miary pewnej w ruchu, obrócić tabliczkę i postawić tak, aby mającemu oglądać te piśmienne prace monitorowi, ułatwić oglądanie i napisanie opinii swojej w krótkich wyrazach: *źle, dobrze, doskonale, trzeba lepij*. Rewizya cicha trwała minut parę, w czasie której, czasem dyrektor zstępował ze swęj wysokości, oglądał pisanie monitorów — i na ich znowu tablicach zdanie swe wynurzał. — Bywało to jednak bardzo rzadko — a im rzadziej, tém mocniej zwracało uwagę całej zbiorowej klasy, tém uroczystsza zdawała się ta chwila *sgędu*, nawet nad monitorami! Zwykle jednak w czasie téj naszej pracy w taki takt i porządek ujętej pod komendą dzwonka, — dyrektor coś pisał u siebie, na swoim stole, ale co? nikt nigdy nie wiedział i nie śmiał odgadywać; — musiał naturalnie pisać coś bardzo rozumnego i bardzo ważnego. Po rewizyi szło znowu pisanie takim trybem jak opowiedziałem — i znowu rewizya aż — aż sam dyrektor w swój dzwonek zadzwonił, głośniejszy, i niewiem dla czego, straszniejszy. Zmiana przedmiotu nauki: czytanie — i sylabizowanie podzielone również systematycznie i również pod bezpośrednim nadzorem monitorów, ale już nie w ławkach. Na hasło dzwonka monitora głównego, wychodzili chłopcy z ławek jak najciszej, bo każdy ruch gwałtowniejszy sprowadzał zapisanie na kartce, którą odbierał wódz naczelny; wychodzili i szykowali się w kółka w wiadomych, ściśle oznaczonych miejscach z monitorem swoim we środku. Tu z kolei, pod dyktando panów monitorów, odbywało się czytanie i sylabi-

zowanie głośno, jednocześnie we wszystkich kółkach. Szmer naturalnie był wielki, nieopisany żadnóm piórem, a słyszany tylko od dyrektora i miarkowany jego głosem rzadka napominającym. W czasie tego wzajemnego nauczania się przechadzał się poważnie monitor główny, wstępował niekiedy do kółek, sam egzaminować raczył, sam poprawiać i za uszy z lekka pociągać, według uznania swego; — dyrektor zaś pisał przy swoim stole dalej ważne swoje rzeczy — lub ku końcowi zakresłonego terminu, na krótką chwilę zaglądał do kółek klasy ósmej i dziewiętej. Kiedy szedł, serca nasze drżały i były gwałtowniej, bo nikt nie wiedział, gdzie wstąpi, i nikomu ani obejrzyć się, ani odwrócić oczu od swojej książki nie wolno było. I to się kończyło na wezwanie dzwonka po godzinie, lub krócej nieco; — jak wszystko na świecie: chłopcy wracali do ławek jak najciszej — żadne zakazane słowo z ust niewychodziło, a zakazane były wszystkie — i następowały tak zwane — *rachunki*. Już panom daruję tę metodę nauczania rachunków, która jednak o ile dobrze pamiętam, była do pojęć naszych zastosowana. Najpiękniejszą chwilą życia w klasie téj była godzina ostatnia. Tu dyrektor zmieniał miejsce swojej rezydencji; od stołu przechodził do pieca w środku wielkiej sali, przy ścianie, gdzie były drzwi, stojącego, stawał na jakimś podniesieniu, opierał się plecami o piec i zaczynał opowiadanie z historyi świętej. Katechizmu tu nie uczono, ani ksiądz, ani pastor nie przychodził, na lekye religii; — którą formalniej dopiero w pierwszej klasie na pierwszém pięttrze umieszczonej, wykładał w jednej godzinie ksiądz, w drugiej pastor — każdy dla swoich. Że zaś i tu rygor i porządek był wielki, utrzymywany pod grozą linii, którą wykładający dzierżył w swęj dłoni i sprawiedliwość, raczej karę odrazu wymie-

rzał, więc uważano bardzo, uczono się, nie wiem czy chętnie, ale pilnie. Otóż w podpiérwszej klasie opowiadał historią świętą sam dyrektor, — czasem zapytywał monitorów, czasem samych prostych żołnierzy, — i przyznać dziś jeszcze muszę, żeśmy z wielkiem zajęciem opowiadania tego słuchali, chociaż tak z zajęciem słuchając, rzadko który nawet z monitorów umiał powtórzyć. Mówiąc o przywilejach monitorów, nie wymieniłem na początku jednego, chociaż ten jeden stanowił i cechę charakterystyczną metody uczenia i utrzymywania karności w szkole, oraz naturę pedagogii, którą reprezentował dyrektor z rodu Niemiec, przez długie lata pobytu w Polsce, znacznie ułagodzony (oswojony) i nie można powiedzieć, żeby był wyraźnie niechętny Polakom. Przywilej ten stanowiło prawo z uprzejmości szczególnej dyrektora dla najpilniejszych uczniów przyznawane; — używania *bata* w zastępstwie stróża lub dyrektora, na współuczniów. W egzekucjach tych fatalnych i bardzo bolesnych, które odbywały się w klasie, wobec stu przeszło niedorostków, brali udział wybrani, najlepsi uczniowie — i tak ich zaprawiono do téj czynności, że z największą ochotą, na wyścigi ubiegali się o prawo bicia współkolegi. Stróż stał na uboczu, niemiec z rodu i uśmiechał się z podziwienia, jak malcy dobrze i zręcznie funkcyą jego pełnili. Pan dyrektor w szczególnych tylko wypadkach sam brał bat do ręki i tak energicznie i umiejętnie władał tym instrumentem, że wprawiał w podziwienie całą klasę. W akcie tym godny był zastanowienia zapal towarzyszący razem i biegłość trafiania gdzie należy. Ta biegłość dyrektora w wymierzaniu sprawiedliwości przyczyniała się może najdzielniej do utrzymania grozy i porządku. Za co tam bito, nie wiem, bo trudno o bardziej wzorowe posłuszeństwo, jakie w szkole panowało:

o większą cichość wśród stu żwawych chłopców, którzy dopiero daleko od gmachu szkolnego dawali wyraźniejsze znaki życia: — a jednak egzekucye ponawiały się często, nie czekając soboty, nie czekając końca lekcyi. Przestrach żadnym słowem niewypowiedziany ogarniał klasę na widok wchodzącego stróża i wysuniętej w mgnieniu oka na środek ławki; — przestrach ogólny, bo lista skazanych zachowywaną była w największej tajemnicy — i zdarzało się, że ten, co przed chwilą zapamiętałe trzymał bitemo, wezwany został z kolei, aby był bitym. Należało to do niespodzianek, które dyrektor w porozumieniu z monitorem jeneralnym, przygotowywać umiał; wydarzenie takie poprzedzał zwykle złowrogi uśmiech dyrektora — aktowi zaś samemu towarzyszył z początku głuchy szmer a potem głośnie radość, której już i nie tamowano i nie karano. Ten system bicia uczniów przez uczniów nie zastanawiał nas i nie dziwił, zdawał się owszem naturalnym i zajmującym. Wychodząc z klasy po świeżo odbytej exekucyi, ze łzami jeszcze w oczach, bólem wyciśniętym, tworzyliśmy plany zemsty i odwetu, czasem na zimno knuli spiski przeciw zręcznym oprawcom; plany i spiski udawały się często, a serca i uczucia dziczały. Bo jużciż bijący i bity serdecznie i przyjaźnie patrzeć na siebie nie mogli, i przyłada sposobności, w domu przy zabawie, na ulicy wybuchwały zawiści i bitki srogie. Nie raz rodziny, które przyjaźń lub dawna znajomość łączyła, zrywały między sobą wszelkie stosunki. W domach uboższych rzemieślników i fabrykantów, matka skarconego dziecka szukała niecnych środków zwabienia oprawcy do kącika i zrobienia sobie należytej satysfakcyi. To były bliższe i bezpośrednie niejako skutki téj metody wzajemnego nauczania i bicia — ale i na dalszą przyszłość ta metoda niepozostawała

bez skutków najgorszych. Nie było też prawie przykładu, aby uczniowie szkół takich serdecznie się kiedy w późniejszym życiu spotkali. Nigdy mi naturalnie w owym czasie i później nawet nie przyszło na myśl zastanowić się nad tem, com widział, w jakim świecie żyłem, ale dziś, gdy to mówię, przykro mi, bołą mię jeszcze niektóre wspomnienia. Nie mogę twierdzić, kiedy to sobie przypominam, że ów profesor, czy dyrektor był srogim z natury i bez serca, że nie starał się, ile umiał, nauczyć dobrze pisać, czytać po polsku i po niemiecku, dobrze rachować, że nie lubił dzieci i dla rozrywki pastwił się nad niemi, ale zdaje się to był czas taki, że karności i porządku nie starano się innemi środkami utrzymywać, jak różgą lub batem. Ponieważ pięć razy było najwyższą karą, a zdrowiu, sądzono, że zaszkodzić nie mogło, porządek zaś, czujność i pilność utrzymywały, więc nie myśląc o tém, co się dzieje z prawdziwą moralnością, co się stanie z charakterami ludzi, którzy tak dzieciństwo swoje przebyli — byle w szkole było cicho, ławka na środek łatwo się wysuwała, przygotowany do działania stróż wychodził z batem i sprawiedliwość spełniała się. Była to prawdziwie autonomia wydoskonalona, gdzie prawodawcze i administracyjne władze miały tak zwaną *egzekutywę*, to jest moc stanowienia praw, ich stosowanie i wykonywanie wyroków natychmiastowe.

Ach mój wujaszku drogi, przerwał to smutne opowiadanie Józio, żebyśmy już prędkiej do Krzemieńca pojechali, bo tu strasznie biją, a tam przecież, kiedy wujaszek Krzemieniec tak chwali, uczniów pewnie bić nie wolno było.

Poczekaj dobrodzieju, pojedziemy niedługo, ale ci jeszcze o Niemcach nauczycielach coś powiedzieć muszę, odrzekł wujaszek.

Proszę wujaszka, i my mamy Niemca, rzekł Józio, ale to taki jakiś, że go się nikt nie boi i nikt go nie lubi.

To znowu źle mój Józieczku, odpowie wujaszek; możecie go lubić lub nie lubić — ale szanować go i słuchać jako nauczyciela, trzeba. Niemcy wprowadzie nauczyciele mają ten dar, że ani uszanowania, ani bojaźni, ani miłości obudzić w uczniach nie umieją; nie wszyscy naturalnie, niewszyscy, ale, ale powiększej części ci, co tu do nas przyjeżdżają. Niemcy niektórzy, powiem już tak, żeby szlachetnego skądinąd i rozumnego narodu nieobrażać, czy jako guwernerowie po zakładach rządowych lub półrządowych, czy jako nauczyciele po szkołach publicznych, lubią bardzo pedagogią swoją popierać linią — i czułością wielką się nie odznaczają. Ilum ich widział, w każdym przebijało się to usposobienie z małym dodatkiem nienawiści i niesprawiedliwości. Dyrektor podpiérwszej klasy w szkole ewanielickiej należał do tych niemców, których Prusacy na uszlachetnienie i oświecenie Polaków sprowadzili; przez czas lat kilkunastu nauczył się przecie po polsku i mówił płynnie dosyć, z małemi błędami i wymową narodowość swoją przypominającą; łajac ucznia wyrzucał mu, jeśli polak, jego grzech pierworodny, że ma tę niepocziwą polską naturę: rzecz wszakże szczególna, jak wam to już wspomniałem — mnóstwo dzieci niemieckiego pochodzenia nie rade przyznawały się do wielkiej niemieckiej ojczyzny, — sam dyrektor nigdy publicznie nie uznawał się za niemca — chociaż za polską naturę targał za uszy, a za dobre niemieckie czytanie, dawał kokardy ... i bat w rękę. Mówię to wszystko dla tego, abyście poznali w swoim czasie, jak różny we wszystkiem i u wszystkich panował duch w Krzemieńcu, jaka tam w kształ-

ceniu umysłu i serca panowała zasada, a więc jak to w szkole polskiej rozumiano obowiązek nauczycielski — a jak rozumieją go dzisiaj ci wszyscy, którzy się nam obrali za przewodników. Proszę państwa dobrodziejstwa zastanowić się tylko cokolwiek nad tą szczególną okolicznością: — że ci sami Niemcy, tak rozumni u siebie, takie wyborne posiadający szkoły, tak roztropni, metodyczni i gorliwi w pracy — gdy się znajdują u nas, tracą te przymioty. Tyle doskonałych książek o wychowaniu młodzieży napisali i podług nich ściśle wszystko u siebie robią, i zdaje się, przynajmniej dotąd, że robią dobrze; u nas kiedy uczą, nauczyć nie umieją, choć mają do czynienia z wielkiemi do wszystkiego polskiemu zdolnościami (tak sami mówią). Kiedy powinni być cierpliwi, wytrwali i umiarkowani, srożą się gniewem, hałasują, zaniedbują w pracy i zasad najprostszej sprawiedliwości nie pojmują. Brak im wyraźnie zdrowego rozsądku, bo się szczerze na dzieci obrażają, dziecinne ich wybryki długo pamiętają i mścić się za urazy mniemane nie wstydzą. Co nakoniec jeszcze dziwna, sami kochają naukę — a miłości do nauki w dzieciach obudzić nie umieją. W postępowaniu i ze starszemi i z młodszemi są albo za starzy zawsze i wymagają rzeczy niepodobnych, albo zniżają się do pochlebstwa i tracą wszelki szacunek u swych wychowanców. Możeby stąd taką prawdę wyprowadzić się dało: że dla Niemca najlepszy nauczyciel Niemiec, dla Polaka Polak, Francuzowi tylko możeby nieźle było dodać do pomocy Niemca — żeby te dwie różnorodne pychy spotkawszy się z sobą, zniosły się, zneutralizowały — jedna drugą pochłonęła. Darujcie mi, moi państwo, że jeszcze chwilkę tymi Niemcami was znudzę. Pamiętajcie wszyscy, którzyście byli w szkołach w Królestwie Kongreso-

wém lub pod zarządem niegdyś Okręgu Naukowego Wileńskiego, kiedy to już był ten czas, że istotnie w szkołach rząd pozwalał uczyć dobrze i zasady prawdziwej moralności szczepić, nie jak dziś, że każe uczyć źle, i szczepić zasady niemoralności i bezbożności; otóż, w owym czasie, pamiętam to doskonale, że np. bywało, ta sama młodzież i w tej samej klasie przykładną jest, uważną i posłuszną na wszystkich lekcjach nauczycieli Polaków, (chyba, że Polak znakomite niedobrego — co rzadko się zdarzało); niechże się pokaże Niemiec — klasa szumi, burzy się, figle płata Niemcowi — ten znowu skarży się, wzywa na pomoc władzy, skazuje na karę — a wszystko to nic prawie nie pomaga: posłuszeństwo nie przychodzi, nawet z musu, nauki i uszanowania jak nie było tak niema. Nie wiem czy tak bywało i w Austrii, ale wątpię: w państwie tém i częściej jój, Galicyi, ponieważ nie było niekorzystnego porównania zdolności nauczania pomiędzy Polakiem i Niemcem — dobrego, wyrozumiałego polskiego serca dla polskiego dziecka z zawistnym, niechętnym sercem uczonego Niemca — więc biedne chłopcy musiały szanować to, co miały przed oczyma, tém bardziej, że to uszanowanie umiano dobitnymi środkami sprowadzić. Że to samo lekceważenie było u nas po szkołach dla Francuzów, to mniej dziwne. Francuzi w ogóle mniej wykształceni, a ci, co do nas na metrach przyjeżdżali, prawie bez żadnego wykształcenia, nie mogli wzbudzić ani uszanowania, ani wiary w swój rozum, który właściwie w naszym dopiero kraju zaczynał się przecierać, nawet co do znajomości samego francuskiego języka. Rzecz wiadoma, że ci panowie przyjeżdżali bez ortografii — a zwykle po latach kilku zdobywali i ortografią i jaką taką znajomość literatury własnej. Dla czego Niemcy znośnymi i użytecznymi w szkołach na-

szych być nie potrafili, pomimo rozumu swego i uczoności, to już — wina chyba ich organizacji, braku pedagogicznego zmysłu. W administracji — po biurach różnych, niemiec przyda się nie raz, byle był w znakomitą mniej-szości, żeby mu się niezdawało, że panować może. Jak sobie asaństwo chcecie — ja mam przekonanie, że Niemcy na apostołów niezdolni, że słowem podbijać nie umieją, że siła ich mądrości (oświaty) opiera się nie na wyższości umysłowej, wrodzonej, nie na geniuszu, którym Opatrzność miałaby to plemię wyłącznie udarować, ale na zdobytych wielką pracą, wielką siłą woli wiadomościach gruntownych, które w tej i owej gałęzi nauk są konieczne. Niemiec nie lekceważy nauki, nie spuszcza się na los — dlatego trzyma się go nauka, los mu sprzyja. Nie umie wszystkiego po trochu, ale jedno porządnie. Tym panom nadto pomaga nasza wiara w rozum obcy; są protegowani, doświadczają pewnych ulg i pewnej swobody w pracy, stąd mają pewność siebie, i dumni są jak bankierowie, którzy przy małym nieraz uposażeniu umysłowym tak wyglądają i tak się stawiają, jakby do grona siedmiu mędrców należeli. Ta pewność siebie, to uszczęśliwienie socyalne wyradza się najczęściej w zuchwałość, w pychę niczem nieusprawiedliwione.

Darujcie mi znowu to zboczenie, te niewczesne może rozprawy; chciałem mówić jak najprościej, jak najrozumiałej, wpadam w powagę i moich młodych słuchaczy odstrasza.

Nic nie szkodzi, odezwał się gospodarz, przecież i my tu jesteśmy i dziękujemy kochanemu kuzynowi, że choć mimowolnie przypomniał sobie o nas.

Pamiętam, pamiętam panie Janie Dobrodzieju o wszystkim, ale najwięcej o tém, że miałem pierwsz

klasy ucznia opowiadać dzieje a o zdolnościach niemieckich rozprawiam — rzekł pan Antoni; jednak długo już tego nie będzie, tylko musicie pozwolić, że kiedym tyle nadokuczał Niemcom, dla samą sprawiedliwości i polakom darować nie powinienem. Otóż przyznacie panowie, a przyznał to podobno od dawna i świat cały, że kochana młodzież polska, to skarb niezmierny wszelkich do nauki zdolności i wzór prawdziwy najgenialniejszego próżniactwa. Od szkoły najniższej aż do uniwersytetu rzemiosło to, jedno z najłatwiejszych praktykują nieustannie jako dzieci i jako młodzieńcy do lat 16 jeszcze dziś; — swawolne to, niesforne, karność nie lubiące, od posłuszeństwa swoim obowiązkom i tym, którzy pełnić obowiązki uczą, wymykające się wszelkiemi sposobami. To głównie Niemców obraża i obraża słusznie, bo oni rozumieją od dzieciństwa, że coś w danym czasie zrobić konieczne należy, że tego coś nikt za nas nie zrobi. — My, pókiśmy studenci, spodziewamy się zawsze, że albo lekcyi nie będzie dla słabości profesora, albo że lekcyą darują, bo imieniny dyrektora, że wreszcie może pan Bóg da śmierć lub narodziny kogoś z najmiłościwiej panującej nam rodziny cesarskiej (rzecz dzieje się w Królestwie), albo też, że chociaż z tego wszystkiego nic nie stanie się, to pan profesor nie zapyta, — a więc można niedouczyć się lekcyi. Jak wiek studencki minie, liczymy znowu nie na siebie samych, ale na protekcyą, na loteryą, na bogatą ciocię, na dobry sukces w tańcu, — byle tylko nie na to, co stanowi istotną wartość człowieka, co nigdy niezawodzi — to jest, sumienną pracę i rzetelne spełnianie w oznaczonym czasie obowiązku — w oznaczonym mówię, ale nie w dowolnie obranym przez siebie.

Przeglądając nasze studenckie życie — pamiętamy dobrze wszystkie figle i wybiegi, na jakie najbystrzejszy nieraz a dojrzały umysł zdobyćby się nie potrafił, a na które zdobywa się malec, dla uniknięcia pracy, dla oszukiwania nauczyciela. Ten zmysł oszukiwania raz bywa owocem próżniactwa wrodzonego, drugi raz niewinnym niby popędem do figlów. Jednak rzeczą być powinno wszystkich pedagogów u nas, aby ten geniusz, polski prawdziwie, tępić i tępić aż się wytępi. W każdej na przykład szkole wyrabia się pewna liczba biegłych niezmiernie podpowiadaczy, którzy często bardzo bystrego nauczyciela w błąd chwilowy wprowadzić mogą, niebystrych oszukują ciągle, niedbałych w niedbalstwie utwierdzają, nierzetelnych nierzetelność pokrywają i ułatwiają. Wszystkie ławki i sufity zapisane deklinacjami i koniugacjami łacińskimi; plecy uczniów odległej siedzących służą za pulpity dla bystrych oczu próżniaków; dłonie nawet własne są tymczasowymi ruchomymi gramatykami; — ukryte pod ławką jedne usta mówią, jawnie się poruszają drugie, jakby mówiły; — słowem tysiące takich wybiegów i oszukaństw zdarza się, które okoliczności nasuwają a niebezpieczeństwo doradza: autorami tych podstępów są zawsze tak zwane uprzywilejowane osły klasowe, którym uda się czasem kilka klas temi środkami przebyć. Były to gorszące obyczaje młodzieży, mające swe źródło w próżniaczęj naturze, w chęci zdobywania łatwego chleba, kiedy w późniejszym czasie zapracować nań koniecznie potrzeba. Dawne wreszcie figle studentów przeszły w inne dojrzałe sfery: próżniactwo dzieci znajduje poparcie w rodzicach niebaczących na ich szczęście, na charakter. Dziś niepospolitą grają rolę śniadania i obiady dla profesorów wyprawiane, o których synek zwykle wie dobrze i na których pomyślny

skutek liczy. Jak te wybiegi studenckie niegdyś, tak te późniejsze zręczne ujmowanie serc nauczycielskich przez rodziców, mają początek w braku pojęcia o obowiązku rodziców względem dzieci, nauczycieli względem uczniów, wreszcie sprawiedliwości i uczciwości, w braku usposobienia do pracy.

Już was moi państwo, zatrzymam chwilę tylko w Warszawie, dostaniemy sobie teraz małą promocją do pierwszej klasy w szkole ewangelickiej i zaraz ją opuścimy. Musimy tam jednak być, abyście się przekonali, że tak usposobiony moralnie uczeń w podpiérwszej klasie, jakeście widzieli, niezawstydził kolegi swego z 1ej. Tu już większa rozmaitość nauczycieli, zmiany co parę godzin, — niema dzwonka dyktującego porządek we wszystkiem i monitora, który chociaż uczeń, był właściwie nauczycielem. Tu naprzód stoły duże a nie ławki, a dziewięć ich także jak tam ławek; tu nauczyciele sami prawie polacy i do tego akademicy. Widać, że zdolniejszych a uboższych uczniów Uniwersytetu, władza wysyłała do szkółek mniejszych na próbę i na praktykę. Metoda naturalnie zła ale stara jak świat; zawsze na nauczycieli do dzieci wybieramy ledwie z dzieciństwa wyszłych młokosów; — na nauczycieli początków muzyki, początkujących wirtuozów, bez doświadczenia, gruntownej nauki i taktu, aby od razu głupotą swą i niedołęstwem odstręczyli dziecko od nauki, zbrzydzili mu to, do czego gust zaszcześcić mają i nauczyli tak, aby późniejszy dobry nauczyciel musiał oduczać. Mieliśmy tedy uczniów starszych uniwersytetu warszawskiego za nauczycieli, z których nauki, wykładu, ledwie dwudziesty mógł korzystać, reszta niemiłosiernie brała łapy. Na tych łapach schodziło nie raz po pół godziny lekcyi — a w zręczném biciu mógłby akademik rywalizować z dyrektorem pod-

pierwszej klasy. To mi dziś tłumaczy wszystkie zagadki: wszędzie bito i bito; — że zaś bicia było tak wiele, więc do pomocy wzywano uczniów na uczniów, i z takich uczniów bijących i bitych formowali się akademicy, a z nich początkowi nauczyciele. Taki sposób utrzymywania porządku, posłuszeństwa i zmuszania do nauki panował długo — łagodząc się coraz więcej, powściągając, aż z czasem złagodniał zupełnie. Z naszych dwóch akademików, którzy w pierwszej klasie rozum swój w nas przelęwać mieli obowiązek, był jeden straszny rzeczywiście, okrutnik zawołany. Jegomość nigdy się nie gniewał, nie łajał — ale skinieniem energicznym palca wzywał ofiarę pod łapy: bijąc śmiał się — lubił najprzód przestraszyć wielkim zamachem — a potem przestraszonego ćwiczył to w jedną to w drugą rękę. Jako mówią o zającach, że kruchy będzie, bo się dobrze zbiegał i natrwożył, tak nasz młodzieniec powolnego okrucieństwu swemu wyrabiał ucznia; pierwój nastraszył go dobrze, następnie już go miał posłusznym. Dla czego okrutnym był ten młodzieniec, rozumiemy; dlaczego zaś był złym nauczycielem, dojdziemy łatwo zastanowiwszy się: najprzód, że uczył nie z powołania, ale z potrzeby; po wtóre, że młokos niedowarzony, niedouczoney, rad z siebie bardzo, że się dorwał władzy, więcej myślał jak tę władzę podnieść, niżeli jak rozsądnych użyć środków, aby nauczyć — i na koniec, brak zdolności jasnego wykładu chciał zastąpić górnym tłumaczeniem się — zadziwić dzieci swą mądrością. Kiedy też mówił, uroczyście była jego mina, wzrok zamysłonego głęboko, wyrazy tak splecione, że najmędrsi z naszych kolegów nic a nic jej nie rozumieli. Zwykła to słabość młodych wychowalców uniwersyteckich, choćby już nawet kursa swe skończyli, że w pierwszej chwili po wyjściu i otrzymaniu naukowego

stopnia, nie wiedzą, co z swoją mądrością począć, jak ją pokazać, jak nią zadziwić. Nie mogąc zadziwiać dojrzałych słuchaczy, radzi zadziwiająą działość, i pierwsze lata swojej praktyki kosztem ich głów spędzają, aż przędzie to odurzenie wielkością własną, aż się opamiętają i dowiedzą, że nie filozofii w uniwersytecie, ale gramatyki w pierwszej klasie uczą. Pamiętam to doskonale, żeśmy istotnie mieli ogromne wyobrażenie o mądrości naszych akademików nauczycieli; zdumiewali nas głównie niezrozumiałą mową, zachwycali mundurem, którego my biedacy jeszcześmy nie mieli nosić prawa, jak szczęśliwsi liceiści lub uczniowie szkół wojewódzkich i wydziałowych; zachwycali nas młodością i wdzięczną postacią, bo istotnie przystojni byli; zachwycali nas dalej wielką potęgą głosu, żywym akcentem mowy, szeroką gestykulacją podniesioną — i co najwięcej zawsze, górną wysłowieniem, którego nikt nie rozumiał.

Opuściłem po dwóch miesiącach pobytu szkołę ewangelicką — z wielką pociechą serca, z wielką ulgą na sumieniu — bo czułem to doskonale, że nic nie zrozumiem, a więc niczego nauczyć się nie mogę, że głowa moja nie na te mądrości stworzona. Opuszczając szkołę, nie wiedziałem w ówczas w czém była zła, i dlaczego w niej, mianowicie w pierwszej klasie niczego pojąć nie mogłem; w czasie owym w Warszawie mówiono, że to z elementarnych najlepsza: — mogło to być prawdą, w ten sposób rozumiejąc, iż inne wszystkie gorsze były; — zawsze jednak to pewna, jak dziś po tylu latach widzę, że pierwsza klasa gorzej prowadzoną była od podpięrszej, i że wielu moich nieszczęść początkowych w Krzemieńcu szkoła ewangelicka, głośna w on czas w Warszawie, była przyczyną.

Podróż do Krzemieńca.

Tu zaszła zmiana, jak powiada któryś poeta — nie w scenach widzenia, ale w życiu mojem. Zmiana stanowcza, wielka, jak w roku 1824 sądziłem, radośna! — a Bóg raczy wiedzieć, czy szczęśliwa. Czy byłoby mi lepiej na świecie później, gdybym był wojewódzką szkołę po ewanielickiej, i warszawski po niej uniwersytet skończył, czy żem się dostał do sławnego Krzemieńca. Powiadam państwu ówczesnym, w domu naszym używanym językiem, że do sławnego, bo tak wszyscy u nas szkołę tę nazywali.

Szczególny zbieg wypadków sprawił, że chociaż dom matki mojej był czysto mazowieckiego pochodzenia, a ostatecznie od lat ośmiu warszawskiego charakteru, bywali u nas sami prawie krzemieńczanie. Już was to mniej obchodzić powinno, jak do tego przyszło, dość, że przyszło, bo matka moja po śmierci pierwszego męża a mojego ojca, krzemieńczaninowi oddała rękę: — i odtąd u nas wszystko Krzemieńcem oddychało, na krzemienieckich zwyczajach było oparte, podług Krzemieńca myślało i wierzyło. Otóż ci krzemieńczanie, nadzwyczaj dumni swém pochodzeniem lekceważyli wszystko co było warszawskie, naigrawali się prawie ze szkół, które inne były jak w Krzemieńcu, śmieli się z rozumu, który nie w Krzemieńcu brał swój wzrost i początek. Słyszac w tym duchu rozmowy co dzień, widząc bardzo często nowoprzybywających z owego Krzemieńca, jak byli wszyscy szczęśliwi z siebie i pyszni — przejąłem się mimowoli i wiedzy taką czią dla Krzemieńca, że zdawało mi się istotnie, że ci ludzie jacyś i piękniejsi i zgrabniejsi i wymowniejsi od zwyczajnych

naszych warszawiaków. Z czasem widziałem to na własne oczy, jak nawet sami warszawiacy z niejaką czią i uprzejmością niezwykłą otaczali Krzemieńczan w naszym domu, słuchali ich i wierzyli im, jakby lepszym i wyższym od siebie. Kiedy czasem wpadł który krzemieńczanin na opowiadanie o wielkich krzemienieckich profesorach, o wielkich uroczystościach, o złotych medalach, które pewien *Tadeusz Czacki*, miany od nich za największego z ludzi, uczniom do piersi sam przypinał, albo poważnym matronom aktu tego dopełnienie poruczał, to lubo ja należycie nierozumiałem onych cudów i ich znaczenia, zawsze rad byłem słuchać i wiedziałem wszystko co mówiono, chwytałem chciwie każdy szczegół, i o tém tylko marzyłem, jakby kiedykolwiek w życiu ujrzeć ten Krzemieniec, te wielkie licealne mury, ów precudny Botaniczny ogród, most królewski, który o całe sześć wiorst był jeszcze, oddalony od miasta a już nazywał się królewskim! ów kościół, w którym miał kazać tak rzewnie pewien kapucyn, że najzimniejszych słuchaczów do łez poruszał. Bywałem nie raz na kazaniach w Warszawie — i nikt nigdy ani podczas kazania ani po kazaniu nie płakał. Krytykowali krzemieńczanie, wątpię czy sprawiedliwie zawsze, kaznodziejów warszawskich ówczesnych że ani rozumem, ani wymową nie zadziwiali — i zawsze owego kapucyna, *Prokopa* wypominali, jako wzór wszelkiej doskonałości. Rzecz naturalna, jak dziś pojmuję, że w uwielbieniach swoich dla Krzemieńca, uczniowie jego nieco przesadzali, jednak wierzyłem wszystkiemu i w skrytości ducha modliłem się, żeby się do Krzemieńca dostać. Wówczas wierzyłem tylko w prawdę opowiadania — a dziś z tych uwielbień jedną prawdę wydobyć potrafię: że znakomitą pod wielu względami musiała być ta szkoła, kiedy ją uczniowie tak kochali, kiedy

z takim zapalem mówili o niej, tak żywo czuli wszystkie o niej wspomnienia, taką przejęci byli wiarą w jej wyższość nad wszystkie inne, i że nakoniec: taką wdzięcznością serca ich były przejęte dla istotnie wielkiego jej założyciela, a szacunkiem i czcią niemal dla nauczycieli. Z równą czcią słyszałem w późniejszych latach, ale nie z tą gorącością ducha, mówiących o Wilnie, wileńskiego Uniwersytetu wychowawców. Litwin zimniejszy na pozór kochał swoje Wilno całym sercem, miał cześć dla niego najwyższą z ujmą może innego zasłużonego w kraju Zakładu naukowego, Uniwersytetu w Warszawie, ale się nie rozpląwał tak, jak krzemieńczanie, nie zapalał na wspomnienie *Czackiego*, *Czecha*, *Felińskiego* i t.d.

Możecie sobie panowie wyobrazić radość moją, szczęście, jakiego już nigdy w życiu późniejszym, ani czystsze, ani głębsze nie doznałem, kiedy dnia pewnego powróciwszy ze szkoły Ewangelickiej, z owęj okrutnej pierwszej klasy, dowiedziałem się od matki, że jadę za parę dni do Krzemieńca. Uwierzyłem od razu, bom ciągle myślał i marzył o tém, aby do téj cudownej krainy, do tego szczególnego i jedyne go może na świecie miasta pojechać — i rozpląkałem się z radości, chociaż z natury czułością wielką nie odznaczałem się — i nie podziękowawszy matce za taką wielką wiadomość, pobiegłem do mojego kącika, gdzie miał złożonych kilka książek i dużo bardzo pięknego papieru — i skarby te do drogi pakować zacząłem. Śmieli się z mojej naiwności domownicy, ciotki, które o moim rozumie wielkie miały wyobrażenie, chociaż na prawdę tak szczególnego rozumu, bezstronniejsi sędziowie we mnie nie widzieli — a matkę widocznie ogarnął jakiś smutek. Rada była niezawodnie, że mi się zdarza sposobność pobierać wychowanie w szkole Krzemienieckiej, wierzyła i ona że to coś nadzwyczaj-

nego musi być ta szkoła, ale ją zabolalo serce, zem tak chętnie gotów był dom opuścić, matki nie widzieć i pójść między obcych ludzi; widziała w tém brak serca. Kiedy myśl swoją smutną odkryła mężowi, duszą i ciałem krzemieńczaninowi — nie zrozumiał jej, choć krzemieńczanin! i za dobrą różbę tę moją ochotę poczytał. Kiedy przyszło do wyjazdu w kilka dni po jego zapowiedzi, serce moje, chociaż zimne, jak matka sądziła, ścisnęło się — i znowu się rozpląkałem. Tu matka korzystając z chwili uroczystej, udzieliła mi wiele i wiele rad doskonałych, upomnień, wymogła przyrzeczenie, że się uczyć będę jak najlepiej — i ze łzami, pobłogosławiwszy wyprowadziła na dziedziniec, potem do ogródka, do jakiejś altanki i znowu wszystkie swoje prośby, łzami popierając powtórzyła i jeszcze przyrzec kazała, że je dobrze pamiętać będę i że ich dopełnię.

Mało was panowie moi zapewne obchodzi, jakie przyczyny wyprowadziły mnie z Warszawy, gdzie także szkoły były dobre, chociaż o nich mniej mówiono, choć uczniowie szkół tych umieli również szanować swych nauczycieli i byli do nich przywiązani; dość że wyjechać mogłem i wyjechałem. Nie zechcecie może badać i pytać, co na dom nasz wpłynęło, żeśmy tak wszyscy Krzemieńcem oczarowani byli, że matka moja szczerze pragnęła powierzyć mi opiece zacnego człowieka, który się oświadczył z gotowością dać mi wychowanie w tych samych szkołach, które przed kilku laty jego wychowały a następnie powołały na profesora. Rzecz ta dość łatwo się tłumaczy; poznaliśmy przypadkiem, wśród wielu szukających onego czasu karyery w stolicy, młodych ludzi dwóch, najznakomitszych uczniów Krzemieńca, którzy tu już od pierwszej chwili przybycia chlubnie zajęli stanowisko jedynie dla tego, że wyszli z krzemienieckiej szkoły,

i z nich sądziliśmy o reszcie. Opiekun mój nowy, na polu literackim, kilkoma poetyckimi płodami dał się poznać wielkim warszawskim powagom — i nadzieje powzięte o nim nie zawiodły, bo po latach wielu i pracach wielu, stał się pierwszorzędnym i powszechnie znanym i czytany pisarzem; drugi młodzieniec, zmarły zbyt wcześnie, bo w kilka lat po wyjściu z Liceum, powołany został z ławek prawie szkolnych na kierownika wychowaniem synów Ordynata Zamojskiego. Oba mieli złote medale, te najwyższe nagrody za wzorowe obyczaje, wielkie zdolności i najgorliwsze przykładanie się do nauk; obu zaszczycił swém poleceniem Książą Adam Czartoryski, kurator okręgu naukowego wileńskiego, przedtem Minister spraw zagranicznych w Rossyi, a w końcu wielkiej swojej dla kraju służby, Prezes Narodowego Rządu. Poznaliśmy tedy, poznano w domu naszym dwóch takich uczniów Krzemieńca, którzy w historii téj szkoły zawsze jako jój chluba, jój zaszczyt, dowód jój znaczenia i względnej na owe czasy doskonałości, są wymieniani. Nazwisko młodego pedagoga, kiedy był jeszcze uczniem Liceum, poznał świat naukowy z wzorowego tłumaczenia dzieła K. Dupin'a, *Geometria i Mechanika* zastosowana do rzemiosł; nazwisko profesora i popularnego pisarza, już dziś nikomu nie obce, więc mniejsza, które mianowicie. Idzie mi wreszcie w opowiadaniu mojem, nie o sławę i zasługi pojedynczych osób, ale o samą szkołę, o której dzieje będę musiał czasem potrącić, kiedy mi przyjdzie moje studenckie przygody opisywać — dla pokazania właściwości szkoły krzemienieckiej, środków i dróg po jakich swoich wychowawców prowadziła w celu wykształcenia ich na obywateli miłujących cnotę, naukę i ojczystą ziemię.

Czas już może przyspieszyć wyjazd z Warszawy. Jedziemy więc, jedziemy poważnie i wygodnie tak zwanym w owym czasie koczobrykiem, że był lepszy od bryczki a na kocza nazwisko nie zasłużył, pomimo resory w kształt litery C dobrze wygięte i wszystkie zresztą cechy kocza, — zaprzężonym czwórką gniadych i kasztanowatych, nie dużych ale żwawych koników. Był rok 1824 — lato najpiękniejsze, druga połowa Sierpnia, i... o ile pamiętam, godzina trzecia albo czwarta po południu.

Zdaje mi się, że jak w dzieciństwie, z którego nic mi w głowie niepozostało, wywieziono mię ze wsi, łąnów obszernych, zbóż rosnących w polu, drogi po której z jednej i z drugiej strony nie było kamienie murowanych, nie widziałem; wszystko tedy, co się nasunęło oku, jako nowe dziwilo, często zachwycało a niekiedy zdawało się niepojętém. Miałem lat dziesięć i blisko dwa lata praktyki szkolnej, umysł rozwinięty w arytmetyce, do której szczególną okazywałem skłonność, pamięć w drobiazgach wielką, pojęcie wszystkiego, co się obliczyć i wymierzyć nie dawało, słabe. Jechaliśmy najprzystępniejszą i najprostszą na Wołyn drogą — wielkie więc miasto Piaseczno trzystu żydami i kilkunastu katolikami ożywione, o trzy mile od Warszawy oddalone, miało mię, jako miasto najpierwsze zadziwić. Ale i na drodze do Piaseczna były rzeczy niezwykle dla mnie: naprzód słupy malowane w czerwone i białe pasy, w pewnych stałych odległościach po prawej stronie drogi porostawiane; na każdym liczby, — (nie mała pociecha i zajęcie dla mnie), drogę przebytą i do przebycia pozostałą oznaczające, — nazwiska najrozmaitszych miejscowości na ich długich ramionach wypisane. Pomiedzy słupami kamienie duże kształtnie obrobione a prócz tego niezliczone masy drobnych kamyków, tak na pozór je-

dnęj wielkości i w jednako foremnych stosach ułożone, żem z podziwienia wyjść nie mógł, jak to wszystko ktoś zręczny i rozumny poukładał, poustawiał a może i policzył. Nie raz chciałem zapytać opiekuna mojego, o jakieś wyjaśnienie, podzielić się z nim radością i zadziwieniem mojem, ale on zdawał się tak zajęty tylko sobą, tak zamyślony, żem pytać nie śmiał. Wiek jego młody jeszcze, wyraz twarzy łagodny, głos dzwięczny i sympatyczny, ale przytem wszystkiem szczególna powaga w ruchach, mowie i postawie całej, odbierały mi śmiałość. Na pytania, które mi kiedy niekiedy zadawał, czy nie tęsknię za domem, czy mi się droga podoba, czy mi głód, niedokucza, odpowiadałem zawsze jak najkrócej, bo rozmowy bałem się zawiązać.

Opiszę wam dalej, jak zacny profesor wyglądał, żebyście mię mieli za wytłumaczonego, jeśli w długie rozmowy wdawać się z nim niechciałem. Był, jak powiedziałem młody, a już bardzo łysy, przystojny, nawet więcej jak przystojny a zażywał tabakę, miał okulary na nosie, musiał więc niedowidzieć, a do czytania zdejmował te okulary; co zaś najwięcej nieśmiałość i uszanowanie wrażało, to jakiś ubiór, który do wojskowego bardzo był podobny, a nie wojskowy, jak oficerów na Saskim placu w Warszawie. Frak granatowy, kołnierz stojący z wierzchu szafirowy, spodem czerwony, guziki żółte świejące, szpada nawet — i czapka? także z szafirowym paskiem. W późniejszym czasie widziałem ten mundur, bogato na kołnierzu i mankietach wyszywany złotem — i kapelusz stosowany — ale bez pióra. Onego czasu dla mnie i ten strój, chociaż bez stosowanego kapelusza był tyle bogaty a niezwykajny, żem człowieka, który go nosił i tak wyglądał, jak opisałem i takie miał obyczaje, chociaż najłagodniej zawsze do

mnie mówił, musiał szanować i z podziwieniem na niego patrzeć a w długie rozmowy niewdawać się. Była jeszcze jedna niemiła okoliczność, która mię od gadulstwa wstrzymywała, — oto pan professor poprawiał to, com mówił, kazał mi nieraz powtarzać raz jeszcze rzecz powiedzianą, — ostrzegał i żądał, abym zawsze pomyślał dobrze, nim co powiem: dziwne żądanie! robota podwójna i niepotrzebną mi się zdawała, bo ja umiałem razem mówić i myśleć, nawet mówić nie myśląc. Taka to częsta krytyka słów moich dziwiła mię mocno, bo dotąd nikt bardzo na mowę moję nie zwracał uwagi — i czyniła nieśmiałym.

Jechaliśmy prędko, konie często parskały a furman, czy woźnica, jak wolicie, odzywał się do nich, przemawiał jak do rozumnych istot, ale mówił takim językiem, że nie wszystkie wyrazy rozumiałem: było to niby po polsku, a nie po polsku, często jakby te same słowa, ale pokaleczone, poodmieniane. Nowy powód do zdziwienia i do pytań — ale się nie pytałem, żeby uniknąć poprawek. Woźnica ten zwracał się i do mnie także, chciał mię na rozmowę wyciągnąć, ale zawsze owym dziwnym językiem: np. a szczo panycz kontentny szczo ide? nie odpowiedziałem, bo nie wiedziałem czego chce. Nazywał się inaczej nawet, jak u nas ludzi takich nazywali, bo Ilko; słyszałem dotąd, że na furmanów wołali: Błazój, Wojciech, Bartłomiěj, czasem Jan lub Maciej, ale nigdy — Ilko. Jeszcze nie koniec przedmiotów, które, że nowe dziwiły mię i zastanawiały. Dziwiły mię drzewa przy drodze, po większej części małe i połamane, dziwiła mię niezmiernie trawa żółta, wysoka, kłosami zakończona, bom dotąd w Krasińskim ogrodzie widział drzewa duże i nieuszkodzone, trawę niską, zieloną i bez kłosów. Opiekun mój nie przypuszczał, żebym nie

znał na polu żyta lub pszenicy, a ja się nie przyznawałem do téj niewiadomości. Spotykaliśmy czasem ludzi w tę i owę stronę idących, zawsze biędnie ubranych, zawsze ponurych, czasem pijanych; każdy kłaniał się nisko i Pana Jezusa Imię przy ukłonie wymawiał. Rzecz znowu niezwykajna; w Warszawie przechodzący a nieznajomi nie kłaniają się, a jeśli znajomy się ukłoni, to się nie modli, bo sądziłem, że tylko w modlitwie a nie przy powitaniu, Imię tak święte wymawiać należy. Dziwił mię ten zwyczaj, ale mi się podobał. Tysiące kamyków rozrzuconych na drodze nęciło mię i byłbym nie raz gotów wysiąść i kilka z nich daleko i wysoko wyrzucić, bom w rzucaniu i piłce był biegły, choć mały, ale tak śmiałych chęci nie mogłem, nie podobna było objawić. Przejeżdżaliśmy nie raz przez jakiś wielki ogród, który ani Saskiego ani Krasińskiego nie przypominał, bo bez porównania od nich większy; choć nie tak zamieciony i równy, jednak wspanialszy i milszy zdawał się. Nie prędko, po dwóch lub trzech dniach drogi dowiedziałem się, że się ta masa drzew blisko siebie rosnących, ścieżkami niepoprzerzynanych, nazywa lasem. Dla was wieśniaków, moi panowie, niepojętém wydawać się może, że chłopiec w tym wieku jak ja, nic nie znał i nic nie widział; ale jakbyście sobie wzięli na uwagę, że nie ja jeden, ale tysiące dzieci miejskich długie lata w téj niewiadomości się wychowuje, że wycieczki za miasto w tym czasie były wielką rzadkością, że to dopiero teraz upowszechnił się zwyczaj wyjeżdżania na lato za rogatki miejskie do domków małych i brudnych, ale polami, drzewami i trawą otoczonych, że to tylko wielkim panom przyjemności wiejskie dostępne były, że żadne piętrowe omnibusy, to jest domy na kołach nie wybiegały za miasto, że nawet przeglądy wojskowe, które Warszawa

bardzo za rządów Księcia Konstantego lubiła, na Saskim placu, w samym środku miasta odbywano; jakbyście te i inne szczegóły i szczególności życia średniej klasy mieszkańców stolicy rozważyli, nie dziwilibyście się tak rozległej niewiadomości mojej, żem i lasów znać nie mógł, chyba z książki do czytania dla dzieci, której nie rozumiałem, bo ani dla dzieci ani dla dorosłych przystępną i zrozumiałą nie była, żem żyta i pszenicy, prócz na mąkę przerobionych, poznać nie miał sposobności.

Całą tę drogę do Piaseczna, trzy mile długą, więc najdłuższą, jaką w życiu przebyłem, ze wszystkiemi słupami, kamieniami, zbożami i lasem urozmaiconą, obserwowałem pilnie i tak wszystkiem com widział, zajęty byłem, że zapomniałem o domu, który opuściłem i o Krzemieńcu, do którego dążyłem.

Dojechaliśmy wreszcie do sławnego miasteczka i stanęli w samym środku, na rynku, gdzie Ilko koniom pozwolił wychnąć i gdzie je napoił także, bo studnią miał blisko i stosowne naczynie na koźle. Tu nowe wprowadzie, ale niezachwycające ujrzałem rzeczy: najprzód domy małe, niskie i brudne, każdy pod inną linią a zawsze krzywą, postawiony. Porównawszy je z warszawskimi kamienicami, już nie mogłem wstrzymać się od objawienia pogardy dla nich i pomimo bojaźni w obec mojego opiekuna, którego krytyka nauczyła mię milczeć, choć za gadatliwość często karano mię w domu, oświadczyłem bez ogródki, że szkaradne jest owe Piaseczno. Uśmiechnął się profesor, ale niezaniebdał zganić wyrazu, szkaradne. Tłumaczyłem się szczerze, że inaczej nazwać tego nie można, bo to garbate takie, brudne i niepomalowane; nic to nie pomogło, wyraz mój niepodał mu się. Przeraziła mię gromada wielka obdartych, odrażających żydów i żydków, którzy oblegli ko-

czobryk i gwałtem coś ofiarowali, o coś pytali i prosili, zdejmując jeden po drugim czapki duże futrzane, choć ciepło było, czapeczki zatłuszczone, jarmółkami zwane, i potrząsając niemi wśród nieustannych ukłonów odejść wcale nie myśleli. Odpędzał ich Ilko najniegrzeczniej, groził i batem nad głowami wywijał, wymyślał tak dobitnie, że już i ja nieco z tego dziwaczego dla mnie języka zrozumiał. Wszelkie jednak wysilenia i krzyki tyle tylko skutkowały, że się gromady na mniejsze podzieliły kupki, usunęły na podwójną długość bata — i na tych nowych bezpieczniejszych miejscach, w dal- szym ciągu powtarzali swoje pytania, prośby i ukłony. Opiekun mój w czasie tych swarów Ilka z mieszkań- cami Piaseczna milczał nucąc coś pod nosem, jakby nic nie widział i nie słyszał. W pół godziny ruszyliśmy dalej w drogę. Na pierwsze uderzenie z bata, zerwały się razem cztery nasze koniki, a obiegająca rzesza od- skoczyła — jeszcze ten i ów kłaniał się nisko, pod- biegał do powozu uchylając czapki — i znikał.

Opuściliśmy miasto Piaseczno — i zaledwie kilka set ujechali kroków, nagle powóz zwolnił; rzecz nowa, nie- widziana dotąd; piasek, ale to piasek bielutki i miałki na całej drodze, głęboki tak, że dzwona kół tonęły w nim zupełnie. Wychyliłem się z powozu i z nieudaną cie- kawością przypatrywałem temu powolnemu kół ruchowi, przysłuchiwałem szumowi spadającego i rozstępują- cego się pod kołami piasku. Jak okiem zajrzeć — wszy- stko piasek, nigdzie ani zdźbła trawy, ani drzewa, ani krzaków.

Dotąd posuwaliśmy się dość szybko, a gościniec był jednakowo wszędzie szeroki, jak ulica miejska; te- raz bywał raz szerszy, drugi raz węższy, ale zawsze w piasku. Zwracaliśmy się to w prawo, to w lewo, szu-

kając lepszej drogi; — czasem szły konie prędkiej, czę- ścięj noga za nogą; i ten szum jednostajny, który mię z początku zajmował, powoli usypiać zaczął; powóz chwiał się nieustannie i przechylał w miarę jak zapada- ły w głąb piasków koła lub z głębi się wydobywały. Może który z panów pamięta, oto szanowny nasz go- spodarz najpewniej, że na całej przestrzeni naszej Kon- gresówki mieliśmy trzy mile drogi bitęj, że Warszawę, choć stolicę, otaczały po za jej obręb mil kilka głębie nieprzebyte piasków. Dziś dla asanstwa dobrodziejstwa nawet szosowe drogi niewystarczają, niektórym tak pilno w tém życiu, że ich austriackie koleje niecierpliwia, do amerykańskich wzdychają, ale w roku pańskim 1824 i parę lat później byliśmy jeszcze bardzo blisko pierwotnych dni stworzenia; — o drogach bitych dopiero rozprawiać zaczynało — o pruskich szosowych gościńcach opowia- dano jako o osobliwościach zagranicznych, chociaż na- sze Księstwo Poznańskie w tym pasie zagranicznym leżało. Sztuka budowania dróg nie była bardzo wymyślną i gdzie grunt twardy, tam droga gotowa i doskonała w cza- sie pogody, — nie do przebycia w czasie jesiennych i wiosennych deszczów; gdzie wielkie piaski a lasy bli- sko, lub moczary — tam suche gałęzie i mchu całe wozy poprawiało drogę. Podróż po takich drogach przedstawiała największą różnorodność: — łamały się ko- ła i osi, pękały w powozach resory, powozy wywracały, koniom szły w pomoc woły i ludzie z najbliższych wio- sek, słowem tysiące przygód smutnych i wesołych cza- sem towarzyszyło podróżującym. Ujeżdżano po cztery, pięć do dziesięciu i dwunastu mil drogi i wszelkie za- łatwiano interesa z mniejszym pośpiechem i rzadszemi jak dziś bankructwami.

Nasze zamiary w pierwszym dniu podróży były

bardzo skromne; chcieliśmy na nocleg ściągnąć do znajomej Ilkowi karczmy o milę za Piasecznem. Już zmrok zapadał, konie po ciężkiej pracy w piasku czystym, białym i suchym już się pokryły pianą — a karczma w dali koniom i Ilkowi widna, miała tym wielkim trudom i nadziejom położyć koniec.

Tu nowe niespodzianki i przyjemności dla mnie szczególnie, bardzo zajmujące. Nie będę państwu opisywał karczmy; któż z was nie zna karczmy polskiej, w której żyd zawsze na pół zaledwie ubrany, jako pan i gospodarz przyjmuje od rana do wieczora gości, a na ich przyjęcie zwykle nieprzygotowany. Domostwo ogromne bez żadnej, którąby nazwać było można formy, przy wejściu, po bokach i w każdym najmniejszym załamaniu obficie gnojem, śmieciami z roku na rok przechowywanymi, założone. Stanęliśmy przed czéms do ganku podobnym, bo miało dwa słupy daszek podpierające, dobrze poobgryzane; wysiedli przy pomocy uprzejmego choć zaspanego gospodarza i poszli śród najrozmaitszych pod nogami przeszkód prosto do izby, znaną zapewne opiekunowi mojemu z dawnych popasów i noclegów, Ilko zaś z wielkim hałasem roztrącając po drodze wszystko żywe i nieżywe, wjechał w sam głąb ciemny gmachu — i wkrótce zniknął. Tylko głos jego i parskanie koni dochodziły uszu moich, powozu widać już nie było.

Izba, którą nam gospodarz otworzył, dość obszerna i czysta, odbijała bardzo korzystnie od brudów przedkarczemnych. Ściany jej zawieszane licznymi obrazkami, w których, gdy podano małą łożową świeczkę, poznałem z podpisów, wizerunki księcia Józefa Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Napoleona i Aleksandra I. Sprzęty nie liczne i niebogate — jeden stół i parę stołków; ale co w tej chwili najważniejsze było dla nas, to tarczany dwa

długie, które gdyśmy pościelią przywiezioną z sobą pokryli, wyobrażały najdoskonalej łóżka.

W pierwszych chwilach po przybyciu ruch wszędzie był nadzwyczajny. Znoszenie i rozpakowywanie tlómków, przywoływanie co moment żyda lub żydówki na pomoc, łajania Ilka, które arendarz z arendarzową z uległością znosili, wreszcie długie narady nad kolacją, która ostatecznie po długich poszukiwaniach ograniczyć się musiała na kaszce z masłem i jajecznicy, wszystko to myśl i oczy moje całkiem pochłoneło. Ruch w izbie uspokoił się, ale się wznowił w głębiach ciemnej i długiej bez końca karczmy. Tu znowu Ilko dowodził, łajac żyda bezustannie, że siana nie dawał, że świecy skąpił, choć jedna w latarce arendarza, druga osłonięta ręką arendarzowej, jak mogły oświecały te ponure i straszne karczmy głębokie. Hałas ten i zamieszanie urozmaicało gdakanie poruszonych z pod progów mieszkania gospodarstwa kaczek i głuche pomrukiwanie ukrytą gdzieś blisko nierogacizny. Zastanawiał mnie przy tym niezwykłym ruchu spokój i powaga krowy stojącej tuż przede drzwiami arendarza i czekającej, nie wiem, czy na arendarza, czy na jego żonę. Pierwszy raz w życiu widziałem z tak bliska tę postać niezgrabną a jednak przyjemną.

Profesor po naradzie nad kolacją wyszedł w pole i nie prędko wrócił — a idąc ciągle był zamyślony — mnie kazał nieoddalać się bardzo od karczmy, — Ilko poszedł do swoich koni, bo już miał i owies i siano dostarczone, arendarka nakrywszy do stołu zniknęła także, a ja zostałem sam, nie powiem z myślami, bo myśli żadnych prawie w głowie nie miałem, ale może z trwogą. Istotnie, kiedy się wszystko skończyło, w sercu mojem niepokój powstał. Byłem sam w dużej izbie przy małej ledwie błyszczącej świeczce, na odwagę otworzyłem drzwi

do sieni, żeby choć z dala słyszeć czyjebądź głosy i być pocieszonym, że sam nie jestem. Trwała ta samotność moja niewiem jak długo — ale się skończyła: nadszedł mój opiekun, pogłaskał mię po twarzy, zapytał czym bardzo głodny, czy spać mi się niechce, czy się bardzo bałem: odpowiedziałem na wszystko bardzo uważnie, żeby uniknąć poprawek — i z wielką radością, dojrzałem w oczach najzaczniejszego tego człowieka, że był ze mnie kontent.

Kolacya wyborna, sen bez marzeń siedm godzin, bo do czwartej z rana, nowe pakowanie rzeczy i wyjazd w dalszą drogę, pewnie was nie zajmą tyle, choćbym nie wiem jak dobrze opowiedział, ile mnie zajmowały i uszczęśliwiały. Tu wśród pól i łąnów szerokich, wśród lasu zdala czerniejącego, nowy przedmiot dziwów ujrzały po raz pierwszy oczy moje — wschód słońca; z równie pięknym, wspaniałym, już się nigdy w życiu nie spotkałem.

Przebywaliśmy w podróży naszej różne, chociaż zwykłe dla doświadczonych koleje: popasy w karczmach, wytchnienia, noclegi i znowu popasy. Bawiliśmy cały dzień w Puławach, przeprawialiśmy się przez Wisłę na promie; w ogrodzie Puławskim widziałem świątynię Sybilli, pamiątkami drogiemi sercu polaka napełnioną i z pamiątkowych cegiełek wzniesioną. Słyszałem przechodząc koło pałacu, że książę Adam jest u siebie — a mówiono o tém tak uroczyście, jak o rzeczy wielkiej wagi i uszczęśliwiającej wszystkich. Popasaliśmy następnie i nocowali w Lublinie, pięknym Lublinie, gdzie tyle wspaniałych kościołów, ulic kilka tak pięknych jak warszawskie. Po Piasecznym Lublin wydał mi się wspaniałym i równego mu na drodze do Krzemieńca już nie poznałem — jeden rynek w Krasnymstawie zdał mi się pię-

kniejszym niż inne. Dalsza droga zaczęła mię już nudzić, niecierpliwić, bo o wszystkim w przejeździe wspomniano, a nie zgoła o Krzemieńcu. Zajął mię więcćj trochę prom na Bugu pod Uściługiem, który stanowi granicę między Cesarstwem i Królestwem; przewoźnicy, których muzykami nazywano, przeciągnęli na linach most cały na drugą stronę. Było to ciekawe, ale na długo w pamięci pozostać nie mogło; — aż nakoniec dnia szóstego podróży stanęliśmy pod karczmą wielką przy Królewskim moście zbudowaną, skąd już tylko mała milka (sześć wiorst) od Krzemieńca nas oddzialała.

Dotąd były miłe niespodzianki, odtąd częste zawody: naprzód most nazwany Królewskim, ani złotem niebłyszczał, ani wielkością zadziwiał, ani na rzece tak wspaniałej jak Wisła; koryto wąskie, woda płytka, brzegi dość wyniosłe, w pewnej odległości krzakami i lasem zarosłe. Choć woda mała i wąsko płynąca ma jednak swoje nazwisko, Ikwa. Na całej przestrzeni kraju od Lublina poczynając, mieszkańcy wsi rozleglejszych jak w Koronie, mówią językiem ruskim i sami nazywają się Rusinami. Mało ich jednak spotykaliśmy po drodze, widać na szerokich polach rozproszeni lub w chatach ukryci gospodarki swój pilnują. Za to żydów wszędzie, szczególnie po miastach i miasteczkach tłumy; — może dla tego tak ich się wiele zdało, że wszyscy wylegają zawsze na ulice — jakby żadnego w domu nie mieli zajęcia. Brudny Katerburg, choć tak wspaniale nazwany, błotnisty Łuck wielkimi kościołami imponujący, zamczyste Dubno — wszystko to przepełnione albo krzykliwymi i natrętnymi, ale poważnie w próżniactwie przechadzającymi się żydami. Już w Uściługu uderzyły oko moje niemiłe czarno z białem pomalowane słupy drożne,

które w Królestwie zdały mi się weselsze ze czerwono-białe.

Drogi tak szerokie jak Saski plac w Warszawie, a tak piaszczyste czasem jak pod Puławami, pod Lublinem i za Piasecznem. Częściej jednak bywały twarde, równe i lasami niesosnowymi otoczone. Przy samym królewskim moście, który mię zawiódł bardzo i zasmucił, jedną rzecz godną uwagi, nawet zadziwienia ujrzałem. Tuż pod karczmą leżał ogromny stos kamieni, góra mała; kiedym mu się lepić przypatrzył, pokazało się, że to nie kamienie, ale precudne krzemienie, czarne, lśniąco, drobno połupane i tak bez dozoru żadnego bezpiecznie na ziemi rozrzucone. W Warszawie, pamiętam, za piękny krzemień płacono 3 grosze, za mały kawałek i nieładnie obrobiony, grosz cały — a tu takie piękne, duże, czarne z białymi grzbietami wały się po ziemi. Zachwycony tém odkryciem, podniosłem jeden, który mi się zdawał najpiękniejszy i pokazując mojemu opiekunowi, zapytałem, czy nie możnaby go zabrać z sobą, bo powinien być doskonały do krzesania ognia. Roześmiał się szczerze z mojej prostoty, śmiał się i Ilko, który to widział i rzekł zaraz: *ta nechaj panycz pokinie* to — a na szczo wono nam — tam bude toho bilsze. Rzucić musiałem z boleścią, bo kazał opiekun, ale w duszy pomyślałem sobie, że się nie znają na rzeczy, nie wiedzą, ile to warte. Po wypoczynku bardzo krótkim siedliśmy do koczobryka i popędzili galopem drogą gładką, twardą i szeroką ku Krzemieńcowi. Teraz na prawdę zbliżałem się do téj obiecanej ziemi; za pół godziny mieliśmy stanąć na miejscu. Wszędzie po drodze drażniły moję chciwość porozrzucane krzemienie; z dala tu i owdzie lasek — a jeszcze dalej mgły wielkie — wreszcie — o wiorstę, albo więcej, wyraźne góry cho-

ciaż nie tak wielkie, jak sobie wyobrażałem. Mnie się zdawało, wnosząc z tego com słyszał, że góry te powinny być tak wysokie jak wieża świętokrzyska tysiąc razy wzięta, a to rozciągało się wprawdzie daleko i szeroko, ale tak niskie, żebym, zdaje się, od razu wbiedz potrafił na każdą. Dojeżdżaliśmy już pod samo miasto, a droga, która doń prowadziła, miała wprawdzie szczególne nazwisko, bo *Maćkowa dolina* — ale to droga jak inne, szeroka bez miary, nierówna, gdy dolinę, sądząc z nazwiska, wyobrażałem sobie zupełnie inaczej. Po lewej stronie, góry w nie wielkiem oddaleniu, wcale nie wysokie, skałami trochę najęzione; po prawej najnieporządniejsze chałupy, bez ładu, rozprószone to bliżej to dalej drogi; ludzie gdzieś pochowani, jakby się bali spotkać z tymi, co do nich przybywają. Droga się zwęziła: po obu stronach małe wzgórza, na nich także jeszcze nie domy ale chałupy, ludzie częściej przed niemi siedzący i ku nam, podróżnym zwróceniu. Zastanawiało mię to bardzo, że ja tak ciekawie szukał, dopatrywał ludzi po drodze, oni zaś ledwie na mnie spojrzeć raczyli, wzrokiem obojętnym, martwym, może nawet trochę niechętnym. Domy coraz częstsze, ale zawsze małe bez piąter — wyraźnie jednak było to już miasto, przynajmniej początek jego. Jechaliśmy bardzo powoli, bo droga tak nierówna, tak przykra, że nasz koczobryk nieustannie przeważał się na prawo i na lewo a mnie przeszkadzał w obserwacji okolic istotnie już jak najściślej z Krzemieniem połączonych. Jeszcze jeden most, wcale jednak nie nad rzeką, ale nad głębokim rowem; po prawej stronie kościół nie duży, dość wspinały, a obok niego zabudowania murowane jak w porządnym mieście. Kilkadziesiąt kroków dalej, a już miasto prawdziwe, *Krzemieniec*. I ten kościół — i parę domów

nie przy ulicy zbudowanych, jak to zwykle widywałem w Warszawie, nawet w Lublinie, lecz gdzieś w głębi, a od przodu, od ulicy parkan lub nędzne sztachety — wszystko to nazywało się miastem i do tego, Krzemieńcem! — Dla mnie takie domy, takie sztachety nie warte były nazwy Krzemieńca! Jesteśmy wreszcie w samym środku miasta, na głównej ulicy; — i jakaż to ulica? przykro pomyśleć, jakie miasto, jacy ludzie? Ulica nazywa się *Széroka* a tak wąska jak najwęższa w Warszawie, miasto nazywa się Krzemieniec, a ani jednego dotąd domu, na któryby spojrzeć warto. Jeżeli w Warszawie, tak zamurowanej, z takimi szerokimi ulicami, z takimi ślicznymi powozami i końmi, których tyle widziałem zawsze, idąc do mojej Ewangelickiej szkoły, z takim przecudnym wojskiem, szczególnie konnicą, która cała zdawała się w srebro oprawiona — a miała kolnierze i wyłogi albo żółte, albo amarantowe, albo niebieskie, albo ponsowe; jeżeli mówię w takiej Warszawie wychwalano Krzemieniec — i byli ludzie, którzy mieli odwagę śmiać się z Warszawy a Krzemieniec wynosić; jakimże ten Krzemieniec być powinien, żeby Warszawę zaćmił! Na Szérokiej ulicy domy wszystkie prawie drewniane z jakimiś filarkami, mostkami, nie prosto stojące, ale najrozmaicij to w tył, to naprzód, to w bok ponachylane. Przed domami sami żydzi, na ulicy tam i na powrót snujący się, także żydzi; gdzie niegdzie człowiek przyzwyczajony ubrany, ale bez żadnej elegancji jakto w Warszawie na każdym kroku się spotyka; zamiast karet i koczów wozy proste i woźnice na nich, Bóg wie, po jakimu poubierani; konie biedne i małe jak na wsi, i to Krzemieniec? Ta *Széroka ulica* tak mię zasmuciła, że nie uważałem, jak wjechaliśmy na plac wielki, na rynek. Plac wielki, a na wstępie samym szeregi drewnianych

budek z bułkami i chlebem; bułki szczególne, dojrzałem to od razu, podłużne, nie małe i dosyć zgrabne: to pierwsze przyjemniejsze wrażenie w Krzemieńcu odebrane. Kiedym przypatrzywszy się bułkom, podniósł głowę dla obejrzenia jeszcze raz miasta, które przejechałem, uderzyła oczy moje góra niezwykle szeroka, zupełnie podobna kształtem do naszych bab wielkanocnych — z murem u wierzchu w koło ją opasującym: — mur bardzo niewysoki, jak obliczyć mogłem zawierając oku, najwyżej dwułokciowy, gdzie niegdzie poszarpany, w niektórych miejscach wyższy, ale ta wysokość na krzemienieckie rozmiary, nie taka jak naszego zamku królewskiego w Warszawie. Przed samą, zdało się górą, sterczała mała wieżyczka kościoła, który stał w końcu *Szérokiej* ulicy, nieco w głąb wsunięty, alem go wtenczas nie widział, kiedy był bliżej, bo mię zajmowali żydzi bez liczby, domy krzywe i mostki połamane przed każdym domem. Teraz odważyłem się zapytać bardzo nieśmiało, jak się ta góra nazywa i jaki to mały kościółek. Oto widzisz, góra nazywa się zamkowa, królowej Bony — kościół, Franciszkański — a patrz tu teraz na prawo — rzekł opiekun obracając ramię moje ku prawej stronie, to kościół *Licealny*, a tam dalej, jak widzisz te schody, tam będziesz chodził do pierwszej klasy, jeżeli cię przyjmą, jeżeli się będziesz dobrze uczył — jeżeli się na ciebie nigdy żaden profesor nie poskarży, żeś próżniak, że nie uważasz, lub że swawolisz.

Wszystkiego tego wysłuchałem z największą uwagą i skruchą — wewnętrznym szczerem postanowieniem, że się będę uczył doskonale, aby się nikt nigdy na mnie nie poskarżył. Kiedysmy podjeżdżali w górę pod kościół, postrzegłem, że mój opiekun zdjął czapkę i przeżegnał się drobnym krzyżykiem — zdjąłem i ja mój kapelusik

szary i przeżegnałem się wyraźniej, jak studentowi przystoi. Dojrzałem przypadkiem, jakśmy wjeżdżali w miasto, kiedy jeszcze i mostu owego na rowie nie było i kościoła na górze, że opiekun mój przeżegnał się nieznacznie; — nie dobrze wówczas ten ruch zrozumiałem, teraz dopiero przekonałem się przed licealnym kościołem, że to było przeżeganie się, bo wyraźniej ruch ręki krzyż narysował.

Wracam do góry zamkowej: cóż to za góra? a jakież to zamek! na moje oczy i wprawę moję w obliczaniu wysokości, szerokości i w ogóle wszystkiego, co obliczonym być mogło — góra była bardzo niska, mało co wyższa od wieży Franciszkańskiego kościoła; wprawdzie szeroka nadzwyczaj i doskonale okrągła. Mówiono nie raz w Warszawie, jak tam jakiś Załoziecki wchodził od razu bez wytchnienia na Bonę (już odtąd górę naszą tak zwać będziemy) w pół godziny, czy mniej podobno. A jam sobie teraz pomyślał: jakto ci panowie z Krzemieńca wszystko przesadzają; dla mnie dosyć będzie pięciu minut na drogę tam i napowrót; i już postanowiłem sobie, jak tylko wysiądę z koczobryka naszego, który mię już i znudził i zmęczył, pójść na Bonę i pochwalić się potem przed profesorem, że byłem i w pięć minut wróciłem. Zdawało mi się że góra była w samym środku miasta położona, tak to przynajmniej wyglądało, kiedyśmy jechali koło budek z ładnymi bułkami. Czy mi się dobrze zdawało i jak mi się ta wycieczka powiodła, zobaczycie panowie moi wkrótce.

Kościół licealny podobał mi się bardzo; to rzecz pierwsza z ważniejszych i jedyna dotąd, która oczekiwania moje i nadzieje zaspokoiła. Stoi na wzniesionem miejscu, bo tu co dom, to inna wyniosłość, nawet ten sam dom nie raz ma bok jeden na górze, drugi w dole;

czasem z frontu dwa piętra, po bokach jedno: nieporządek i dziwactwo we wszystkim. Co do kościoła — ten już i sam bardzo wysoki, z dwoma po bokach wyniosłymi wieżami a w środku okrągłą kopułą, poważnie koroną i wielkim krzyżem zakończoną: przed kościołem rozległa galerya, o której jeszcze będę wam nie raz mówił, a druga mniejsza tuż przede drzwiami, — na którą szerokiemi wschodami po obu stronach drzwi umieszczonemi wchodziło się, tak zupełnie jak w Warszawie przed kościołem świętego Krzyża.

Darujecie mi państwo, jeśli was to razi, że często opowiadanie moje zniża się bardzo do pojęcia młodych słuchaczów; ja właściwie o tém nie myślę, ale przypominając sobie nieraz tak dokładnie wrażenia moje z dzieciństwa i z owęj chwili którą opisuję, zdaje mi się, że jestem w tych miejscach jeszcze, że jestem owym dziesięcioletnim chłopcem, który patrzy na tyle obcych oczom jego przedmiotów i jak je widzi, jak mu się wydają, tak opisuje.

Mingliśmy rynek na którym wstrętnym mi się wydał odwach strzeżony przez żołnierzy z piechoty, naturalnie, rossyjskiej. Porównałem ich na prędko z wojskiem, które w Warszawie widziałem; różnica między tamtymi i tymi rażąca: tu twarze niezgrabne, płaskie, brzydkie i czarne, oczy małe, ponuro wyglądające na przechodniów i jakieś głupowate; tam wesołe, przyjemne, nawet przystojne, powiększej części, cery jaśniejszej, z rumieńcem istotnie przypalonem nieco; mundury lepiej do figury przypadające, gdy tu wyglądają, jakby każdy był przez pomyłkę na innego co do miary człowieka włożony. Mingliśmy rynek i wjechali na lewo w ulicę spadzisto w dół spuszczałą się. Ulica wąska, ale samými murowanými domkami zabudowana; — z prawej strony przez otwartą furtkę widać było gmach duży, w którym, jak później dowiedzia-

łem się, umieszczona była *szkoła Mechaników*. Zdaje mi się, że ta ulica nazywała się *Licealna* — ciągnęła się równo i dosyć daleko znowu w górę, i znowu spadała na dół. Dalej na prawo zwróciliśmy się w uliczkę dosyć wąską pod nazwą *Ogrodowej*, bo ze środkowej jej części wchodziło się do Botanicznego ogrodu; — jeszcze raz na lewo pod górę w uliczkę bez bruku, dworkami drewnianymi z lewej strony i dwoma murowanymi bez piąter domami z prawej, zajętą. Domy ciekawe dla krzemieńczan; w pierwszym narożnym mieszkał nauczyciel francuskiego języka, sławny ze swój oryginalności, poczciwości i dobroduszości Lefort, w drugim znakomity doktor Kaczkowski Karol, ulubieniec miasta i najdalszych jego okolic. Przy domu Kaczkowskiego zwróciliśmy się na prawo wąską drożyną, pod górę niewielką — i tą drożyną była ulicą najdziwniej zabudowaną — bez żadnego porządku; — jedne domy czołem obrócone do ludzi, drugie bokami, inne zupełnie tyłem. Jeden z nich najschludniejszy, z ganeczkiem, jak dworki szlacheckie po wsiach, z dziedzińcem porządnie zamiecionym, nawet z jakimś klombikiem, był własnością Franciszka Rudzkiego, który przy Czackim zajmował ważne stanowisko. Już nakoniec pomijam resztę niekształtnych i drobnych dworców, bo wjeżdżamy w bramę, do domu, gdzie miał najważniejszą, najpiękniejszą zaprawdę część życia mojego przepędzić. Dziedziniec duży wprost, na lewo drugi wyglądał większy jeszcze, trawą zarosły, i kilka domków różnej wielkości powiązanych z sobą, ale każdy stojący na innej wyniosłości. Zdała — w najwyższej części terytoryum, oddzielonej, jak zwykle w Krzemieńcu co kilkanaście kroków, jakąś przeszkodą, jakimś wzgórkim, dojrzeliliśmy ruch kilku osób i małego chłopczyka trzy-letniego najwyżej, jak to wszystko ku nam

dażyło. Mój opiekun wysiadł w połowie dziedzińca — podbiegł szybko ku witającym go i wyciągającym najczuliej ręce — i była chwila dla mnie najprzykrzejsza, dla tych co się witali, najtkliwsza i najweselsza. Oni się znali wszyscy, kochali, oczekiwali na siebie wzajemnie; żona młoda z fizyonomią pełną rozsądku i czułości dla męża, dziecię skaczące z radości do szyi ojca, drugie na ręku niańki, śliczne jak aniołek; starzec posiwały, czerstwy, z uśmiechem na ustach, ze łzą w oku, dziadem powszechnie między rodziną i nie rodziną nazywany, ojciec opiekuna mojego, sługi w różnych kostiumach po swojemu uradowane, całujące rękę pana, który zdrowo i szczęśliwie z dalekiej podróży przybył do domu; z dalekiej podróży — bo trzeba wam wiedzieć moi państwo, żeśmy w tych sześciu dniach ciężkiej pracy po piaskach i korzeniach, a często i po kamieniach odbyli pięćdziesiąt sześć mil drogi.

Wszyscy już się przywitali — a o mnie jeszcze nie było mowy, na mnie nikt jeszcze przyjemnie nie spojrział; — uczułem nie pojmując tego, com uczuł, jakiś ból, który w języku naszym, sieroctwem się nazywa! — i żal mi było Warszawy, a właściwie nie Warszawy, bo przyjemności i uroku wielkiego miasta znać nie mogłem, żal mi było matki, ciotek — wszystkiego, com zostawił. Po jakimś czasie, po kilku minutach zapewne, które mi się bardzo długimi i bardzo ciężkimi do przebycia wydały, zapytała męża, a dziś prawdziwego opiekuna i przyjaciela, bo takim był zawsze dla mnie — pani tego domu, tych szerokich dziedzińców, tych wielorakich w różnych liniach porozrzucanych domów, domków i przystawek — i ogrodu z daleka prześlicznie wyglądającego, zapytała jakby się mnie niespodziewała, któż jest ten chłopczyk, czy nie Antoś. Opiekun odpowie-

dział, co było do odpowiedzenia, ja zbliżyłem się do pani nieśmiało i pocałowałem w rękę, którą niechętnie podała; — a dziadzio pocziwy, który był bardzo zajęty dyspozycjami Ilkowi wydawanymi, po załatwieniu się z nim, obejrzeniu koni, koczobryka, czy cały i dobrze utrzymany — przyszedł do mnie i biorąc mię lekko za oba policzki, pocałował i rzekł: idź wasan sobie tymczasem do ogrodu i siedź tam albo chodź, aż cię zawołają.

Cała rodzina poszła do swoich pokoi, gawędząc, śmiejąc się i ściskając — ja zaś poszedłem tam, gdzie mi wskazano. Ogród był prześliczny i oryginalny. Od razu przy wejściu trzeba się było wspinać na wzgórze — przyznam się na nogi moje dość przykre, za którym było nowe wzgórze — a w prawo i w lewo rozległe murawy drzewami wiśniowemi, jabłoniemi, gdzieniegdzie klonami i brzożami poobsadzone. Dziwne to było, ale piękne, rozkoszne nawet; zapomniałem znowu o mojem sióroctwie, a idąc ścieżkami w różne strony jak najnieregularniej powyrzynanemi, co chwila spotykałem coś szczególnego, co pociągało i sercu i oku sprawiało radość. Tu i owdzie ogromne topole w ogrodzie samym i na granicach jego, jakieś szpalery z młodych drzew grabiny, ogromne gruszkowe drzewa, większe jak kasztany Saskiego ogrodu, klomby pośrodku murawy, skała zarosła barwinkiem, a nad skałą śliwka z owocami już dojrzewającemi. Słowem było co widzieć, czém się pocieszyć, nawet na odważniejszego odemnie, posilić. Ale nagle, gdy się obróciłem ku ścieżce, w którą wszedłem, przypomniał mi się mój projekt zmierzenia zamkowej góry. Wyszedłem z ogrodu na dziedziniec, nikt na mnie nie patrzył, nikt nie wołał — a tymczasem Bona stała tuż jakby przedemną. Teraz wyglądała znacznie wyższą

i wspanialszą — bo mury na wierzchołku i po rogach wieże, dodawały jej i powagi i wspaniałości. Góra zdawała się nadzwyczaj blisko, jakby za dziedzińcem, na którym stałem, na samym krańcu tej wąskiej uliczki, którą wjechaliśmy na dziedziniec. Nie było czego długo się namyślać — nim zawołają, obejrzę górę i wrócę — a zasłyszałem coś z boku, co mi nawet zupełnie obojętnem nie było, że kazano piec kurczęta i gotować jakąś potrawę, zapewne dobrą, bo głodny byłem bardzo. Więc niechaj pieką i gotują, ja tymczasem pochwalę się, że czasu darmo niestraciłem i zwiedziłem górę.

Wyprawa na górę w pierwszej chwili przyjazdu do Krzemieńca, dziwną się wam, moi panowie, wydawać będzie; jednak to prawda rzetelna, że ja odbyłem sam jeden. Ponieważ góra zdawała mi się nadzwyczaj blisko, a widziałem ją wprost przed sobą, szedłem więc uliczkami i ulicami, ile można trzymając się prostej linii. Zadanie było nie trudne; gdziekolwiek obróciłem się, w prawo czy w lewo, zawsze górę miałem tuż przed sobą. Szedłem więc i szedłem dość długo nawet; a góra w oczach rosła, przy ciągle tej samej odległości; to przybywanie jej wzrostu cieszyło mię niezmiernie. Już wędrówka moja trwała z pół godziny, a jeszcze nie trafiłem na drogę, któraby wprost na górę prowadziła; wreszcie ukazał mi się strumyk, który tam potokiem nazywano, tak płytki, że go bez wielkiego zamaczania nóg przebyć potrafiłem. Skacząc po kamieniach dość szybko i śmiało, stanąłem na przeciwnym brzegu. Tu już zdawało mi się, że byłem bliski celu — góra stała istotnie przedemną — wyniosła, ogromna, a drogi na nią żadnej. I ta trudność zwalczona; jestem u podnóża i posuwam się drobnym wprawdzie ale szybkim krokiem ku murom, które maleją, nikną wreszcie i wierzchołkowi, którego już nie widać.

Co chwila zwracam się w stronę, skąd przybyłem i widzę z radością, że jestem na wielkiej wyniosłości. Już kościół Franciszkanów leży u nóg moich, kościół Licealny zdala widny, ale już co do wysokości na równi zemną. Duch rośnie w miarę mnożących się trudności — natrafiam na skały po drodze, które ledwie wyminąć umiem, zaczynam czuć znużenie, zaczynam się bać, czy zejść z takiej wysokości uda mi się — zwracam się znowu ku miastu i na drogę, którą przebyłem i z największym zdziwieniem przekonuję się, że wszystko tak zmałało, com przed chwilą widział wielkiem, tak się oddaliło lub zniknęło, że i radość i trwoga ogarnęły mię, aż — zwątpiłem o moich siłach. Tak długo wspinałem się i wdzierałem, tak wysoko zaszedłem, a wyraźnie połowy góry jeszcze nie przebyłem. Poważna Bona rosła ciągle, mury na wierzchołku przybywały znowu i już zdawały się jak kamienice miejskie, wysokie, ale nadzieja dostania się na sam szczyt stanowczo opuszczać mię zaczęła. Co najgorsze, najstraszniejsze mi się zdawało, to coraz wyraźniej zmrok zapadający. Jak przed dwoma godzinami, gdy zobaczyłem zamkową górę, a przedstawiła mi się tak małą, że wszystkich krzemieńczan posadził o przesadę — i postanowiłem w duchu dziś jeszcze ją zwiedzić, — tak teraz znowu widząc, na dziś przynajmniej, niebezpieczeństwo i niepodobieństwo dokonania zamiaru, decyduję się porzucić go i spuszczać się na dół z największym pośpiechem. Na pierwszy wstęp do Krzemieńca miałem dość przyjemności i zadowolenia: naprzód przekonałem się, że krzemieńczanie prawdę mówili, bo góra straszliwie wysoka, jak dla warszawiaka, który dynasowskie góry tylko widział, powtóre rad byłem niezmiernie, że jestem właśnie w takim miej-

scu, gdzie są owe ogromne góry, sławne szkoły, gdzie mam całe moje lata młode przepędzić.

Droga z powrotem szła żwawiej, wkrótce byłem już nad potokiem, i przyspieszając kroku zawsze w linii prostej spotkałem się z jedną i drugą uliczką, któremi pierwój przechodziłem; pomagałem sobie wreszcie u ludzi, którzy mi wskazywali, któredy iść do domu znanego, jak się przekonałem, całemu miastu — aż stanąłem na dziedzińcu i przed domem.

Z początku, kiedym się w myśli na tę wyprawę wybierał, miałem odwagę przedsięwzięcia i obiecywałem sobie wiele, jak powiem wszystkim, że już był na górze Królowej Bony; teraz gdy wróciłem z wyprawy i stanąłem podedrzwiemi, dokąd w pierwszej chwili po przywitaniu weszła cała rodzina, zabrakło mi odwagi drzwi te otworzyć i zaprezentować się. Słyszałem rozmowy, szcęk talérzy; widocznie posilano się kurczętami, na które miałem wielki apetyt, ale wejść się bałem. Wtém wyszła służąca i zwracając się nagle do pokoju zawołała — je panycz. Wszyscy powstali i posunęli się na moje spotkanie. Nie wiem dla czego, ale nagle otwarły mi się teraz dopiero oczy, że źle zrobiłem; co złego niepojmowałem, tylko czułem że źle. Opiekun mój z wielkim marszem na czoło i groźnym głosem zapytał — gdzieś ty był? — a ja niewiem już czy z trwogą czy bez trwogi, z dumą, czy skromnie odpowiedziałem bez ogródek: na zamkowej górze. Spojrzeli po sobie zdziwieni dziadzio, synowa, pan profesor i zdawali się nie wierzyć mojemu wyznaniu. To mię w nowy wprowadziło kłopot. Nierozumiałem, czy ich zadziwiała ta moja nadzwyczajna odwaga, że był na tak wysokim górze, czy rozgniewała śmiałość, że to zrobił nie za-

pytawszy się o pozwolenie. Już od niejakiego czasu przekonywałem się, że wiele rzeczy, które dotąd za niewinne, za dobre uważałem, sציagało naganę, że te i owe drobne sprawy bardzo, na które dotąd niezwracano uwagi, należały do postępów zakazanych. Od dwóch lat prawie chodziłem sam do różnych szkół i nikt niepytał czy w właściwej godzinie wychodzę i w właściwej wracam: albo mi wierzono zupełnie, albow ja nigdy nic złego nie popełnił. Tu, od wyjazdu co chwila mówi mi, tak się nie robi, tak się nie mówi, tu milczeć należy, tu krótko odpowiadać. Nie przypuszczałem, aby podróż na Zamkową górę, o której tyle ciekawych rzeczy opowiadali krzemieńczanie, na którą taki a taki miał wychodzić odrazu i wprost bez odpoczynku, i przyznawano mu wielką siłę, śmiałość i zręczność, aby podróż ta przezemnie odbyta mogła być czémś złem lub nieprzyzwoitem. Jednak groźne miny opiekunów moich więcej mię przeraziły, jak przypuszczać pozwalały, że dobrze znalazł. Nie długo czekałem na rozwiązanie wątpliwości: kiedym stał jak winowajca lub jak tryumfator, pan profesor rzekł z powagą: „Teraz zjédz to, co tu jeszcze zostało, boś zapewne głodny; — gdybyś był niechodził bez pozwolenia na górę, byłbyś razem z nami dostał więcej: oto masz, jak z jész ten jeden kawałek kurczęcia, będziesz w moim gabinecie siedział sam godzinę, a potem nie będzie ci wolno wyjść ani do ogrodu, ani na dziedziniec. Pięknje zaczynasz; jeśli raz jeszcze zrobisz cokolwiek takiego, za co musiałbym cię karać, wrócisz sobie do Warszawy, skądś przyjechał i będziesz mógł chodzić kiedy zechcesz i ile ci się podoba.“ Skończywszy tę smutną i straszną perorę obrócił się do sługi, którą Nastką tam nazywano i posłał ją do stajni, aby Ilko nie chodził szukać mię po mieście, bo włóczęga

znalazł się i jest teraz na pokucie. Co za strasna kara, o której nawet Ilko wiedzieć będzie; istotnie zdało mi się to za srogie w stosunku do przewinienia, o którym nie wiedziałem nawet, że przewinieniem było. Zalałem się łzami gorącymi i obfitymi, jak nie pamiętam w krótkim moim życiu. Nie widziałem przed sobą talérza, widelec wypadł mi z ręki — chciałem jeść, bo bałem się nie jeść, aby i to za występki nie uważano. Mały chłopczyk Zygmus, ładny blondynek do ojca podobny, który przy mnie siedział i zjadał z takim zapalem, jakby także wrócił z wielkiej jakiejś wycieczki, — widząc moje łzy uwiesił mi się na szyi, podał do ręki upuszczony widelec i prosił, abym jadł ten drugi obiad, nim dadzą znowu wieczór herbatkę. Pani Monika, takie nosiła imię żona mojego opiekuna, wzruszona była także mojem położeniem i zaczęła surowość męża prośbami swemi łagodzić; dziadzio prosił o darowanie winy i zaręczał za mnie że drugi raz na górę zamkową sam i bez pozwolenia nie pójdę. Słyszając tyle próśb za sobą pocieszyłem się w duchu, bom widział, że choć łają i karzą bardzo, mają jednak ci ludzie dobre serca. Opiekun łagodniał w usposobieniu swoim widocznie, bo wzięwszy mię pod brodę, podniósł wpatrując się w zalane łzami oczy — i rzekł: „czy wiesz jakieś głupstwo zrobił, czy wiesz, żeśmy tu wszyscy niespokojni o ciebie, jeść nie mogli i na wszystkie strony rozesłali za tobą ludzi, jak za zbiegiem jakim. Może ci da Pan Bóg kiedy rozum, że bez woli i pozwolenia starszych nie odważysz się zrobić kroku; — więc teraz jédz, oto ci Zygmuntek zostawił sam, bo jabym ci nie dał jeść przez dwa dni; masz tu całe kurczę i kaszkę i gruszki a obetrzyj łzy, boś brzydki bardzo jak płaczesz.“ Tyle w tych słowach było powagi jakiejś, tak uroczyście dzieciństwo moje było rozbierane,

zem zaczął domyślać się, że mię tylko nastraszyć chciano ale nie ukarać. Prędko wesoła myśl wróciła; — byłem już gotów opowiedzieć, jak tę podróż na zamkową górę odbyłem, ale mię w samym zapale powstrzymano i nic mówić nie dozwolono o tym wypadku, który najgorsze jakoby dawał wyobrażenie o moim rozsądku i grzeczności.

Skończyło się wielkie nieszczęście, które mię na samym wstępie mojej kariery w Krzemieńcu spotkało. Na drugi dzień już o górze nie było mowy, pilnowałem się dziadzi i nigdzie na krok z pokoju bez jego wiedzy nie wychodziłem; w ogrodzie nawet będąc, pytałem w której stronie wolno mi chodzić a w której nie. Ilka nazajutrz nie widziałem cały dzień, a wielka brała mię ochota zajrzeć do stajni. Ale stajnia była aż przy bramie, a moje terytoryum kończyło się w pierwszej części dziedzińca koło domów i ogrodu lub w ogrodzie przed domami. Powoli zacząłem sobie rozmyślać o tém wszystkiem, co się stało i już w końcu przyszedłem do takiego wniosku, że tu w Krzemieńcu wszystko jest inaczej jak w Warszawie — i musi to tak być dobrze, choć nie rozumiałem dla czego dobrze być miało, kiedy Krzemieniec w Warszawie nawet chwałą. Dziś powiem asaństwu dobrodziejstwu jedną rzecz bardzo ważną podług mnie. Jakiś duch polski szlachetniejszy, wyborowy panować musiał w tych stronach, w których Krzemieniec był stolicą, kiedy wszystkie rozmowy, jakie słyszałem, cechowała pewna powaga, przyzwoitość, myśl zawsze do dobra szkoły skierowana, w samych zabawach jakaś miara wesołości i prawdziwego dowcipu, — język daleko czystszy, poprawniejszy jak w Warszawie i całym kongresowem królestwie. Wprawdzie tam mówili po polsku sami tylko ludzie bogaci lub rozumni, lud mówi po rusińsku a po polsku czasem; — tu wszystkie klasy mówią jednym językiem,

więc pełno w nim prowincjonalizmów i błędów, jak zwykle w towarzystwie, gdzie jeden na tysiące odebrał lepsze wychowanie. Dziś to się zmieniło: — na Wołyniu mówią źle bardzo, chociaż myślą że dobrze, bo im nieszczęśliwa moskiewszczyzna szyki pomieszała. Młodzież w szkołach słucha tylko rossyjskiego języka, za odezwanie się po polsku bywa karana, — więc w domu tylko i to nie bardzo głośno mówić może. Że zaś głowa tego domu odebrała wychowanie już w szkołach rossyjskich, rzecz więc naturalna, że dobrze nauczyć i poprawić źle mówiącego młodzieńca nie umie.

Miałem jeszcze kilkanaście dni wakacyi, bo dwunastego Sierpnia przyjechaliśmy a 1go Września otwarcie szkół bywało. Przez ten cały czas niewspomniano mi ani razu o mojej winie; traktowano mię już na drugi dzień i następnych łagodnie, — ja też, pochwalić się muszę przed asaństwem dobrodziejstwem, że takem się starał, tak nad mojęmi chęciami i nawykniemi pracowałem w głowie mojęj, żeby albo nic nie mówić, albo odezwawszy się, powiedzieć krótko i tak poprawnie, żeby mi nikt żadnego zarzutu zrobić nie miał prawa. Zadziwiła mię bardzo rachuba w owym kraju: wyjechaliśmy z Warszawy 18 Sierpnia, sześć dni byliśmy w drodze i przyjechaliśmy 12, także Sierpnia. Jak się to stało, nie wiedziałem i nikt mi tego nie objaśnił na razie, rad jednak byłem, że pozostało mi wakacyi całe dziesiętnaście dni, w których mogłem rozmyślać o szkole a nie być w niej — nic się nie uczyć a być — krzemieńczaninem: tytuł ten już mi dziadzio dawał, nauczając i tłumacząc jak ten tytuł wiele znaczy.

Dla czego tak się stało, nie wiem, ale przez cały czas ani razu nie byłem w Licealnym kościele. Dwie niedziele w ciągu téj reszty wakacyi było, i dwa razy za-

prowadził mnie dziadzio do kościoła, ale Franciszkańskiego. Czy to chciano mi przygotować niespodziankę wielką, żebym był pierwszy raz w kościele licealnym, w czasie wielkiego nabożeństwa na uroczysty akt otwarcia Liceum, czy też stało się to bez rachuby żadnej i przypadkiem, dość żem nie był i nie prosił, aby mnie zaprowadzono, bom już utracił ową śmiałość i pewność siebie, w swobodnym niegdyś domowym życiu, w Warszawie nabyte. Sam naturalnie nie poszedłbym, choćby ten kościół był tuż za bramą domu naszego, miałem dosyć zamkowej góry. Przekonać się asanstwo ku końcowi tego opowiadania, że nawet w kościele bez pozwolenia bywać krzemienieckiemu uczniowi niebezpiecznie.

Już nas tylko dni kilka oddziela od 1go Września, od wielkiego aktu otwarcia kursów, mówię, wielkiego, już bowiem od tygodnia o niczym u nas nie mówiono, tylko o tym akcie, o tym kto z profesorów będzie czytał rozprawę, kto z Wilna na akt przyjedzie itd. Przez te dni kilka powiadam państwu, przestałem grać w piłkę, biegać po ogrodzie, liczyłem sobie w cichości że jeszcze pięć tylko, jeszcze cztery dni, trzy, dwa i na koniec jeden. Ten jeden dzień i ostatni był najtrudniejszy do przebycia; — ostatnią noc całą prawie nie spałem — i wstałem raniiej od wszystkich. Na godzinę przed wyjściem ubrano mnie w mundur. Za każdą chwilą upłynioną rosła trwoga i ciekawość — jakie to klasy, jacy uczniowie, a najwięcej jakich to ja profesorów zobaczę.

Co za szczęście! mam chodzić w mundurze takim jak profesor, tylko niestety! bez szpady; jednak w ładnym mundurze: frak granatowy na jeden rząd żółtymi świecami guzikami zapinany, z tyłu takich guzików sześć, dwa w stanie a cztery nieco ukryte w zakładach pół; niebieski stojący kołnierz jak u ułanów polskich w Warszawie

ponsowem suknem pod spodem wyłożony, także ułanów, chociaż nie polskich przypominającym, z ponsowemi wypustkami na około, czapka granatowa z niebieskim lampasem i ponsową wypustką. Jaka to różnica mundurów krzemienieckich od warszawskich! w Warszawie szkoła Ewangelicka nie miała wcale mundurów i każdy z nas wzdychał do szkół wojewódzkich, w których uczniowie wyglądali pięknie i zgrabnie jak lalki. O ileż jednak szczęśliwszym czułem się niż warszawiacy, którzy mieli wprawdzie fraki i surduty, ale jasno szafirowe całe, białą tasiemką tylko na kołnierzu obszyte, bez żadnych wypustek i bez odmiennego koloru kołnierzów. Czy ten mundur krzemieniecki był lepszy i piękniejszy od warszawskiego, dziś tego nie powiadam, ale wówczas zdało mi się, że nawet porównania między naszymi a warszawskimi mundurami nie godziło się robić.

Tak byłem ściśle strzeżony i do dziedzińca i ogrodu domu naszego przywiązany, że mi się nie zdarzyło widzieć żadnego ucznia dotąd. Czy ich nie było w mieście wcale, czy się poprzzebierali na wakacje, wytłumaczyć państwu nie mogę, dość, że ich nie widziałem. Przyczyna główna i ta być mogła, że młodzież licealna wszystka w ogóle była ze wsi, sami prawie synowie obywatelscy. W mieście tak małym, jak Krzemieniec, urzędników było nie wielu, a i ci co byli, wysyłali zwykle dzieci swoje na wieś do kolegów znajomych obywateli; mieszczanie podobni bardzo do chłopów, do nauki ciekawi w owym czasie jeszcze nie byli; rzemieślnicy wszyscy prawie żydzi, — więc w czasie wakacji uczniów miasto nie widziało. Jako rzadkość nadzwyczajną mieliśmy w tym roku dwóch żydów między uczniami: jeden, syn bogatego kupca, drugi krawca najślawniejszego na cały Wołyń, Podole i Ukrainę, nazwiskiem *Łacinnik*, w szkole Wol-

fem przezwany. Rossyan prawosławnych było czterech i to jeden ukrywał się ze swoim prawosławiem, (co się wtenczas błahocześną mianowało) i przychodził na lekcye religii katolickiej, choć go nigdy ksiądz nie słuchał i nie pytał o nic, z bojaźni zapewne, żeby do odpowiedzialności nie był pociągnięty — a myśmy sądzili, że to taki osiół, mówiąc po studencku, iż nie warto go było pytać.

Przywdzianego munduru w dzień otwarcia Liceum już nie zdjąłem do wieczora, następnie zaś nigdy przez rok cały zdjąć go nie było wolno.

Tu moi drodzy słuchacze przerwać muszę opowiadanie, bo godzina późna, wyście się znużyli a może i znudzili — ja także odpoczynku potrzebuję. Kto łaskaw, proszę na jutro — i z jutrzejszej sesyi wniosem, jak popisałem się dzisiaj.

Nie wiadomo, czyli przez grzeczność, czy z istotnego zajęcia wszyscy przyrzekli, że jutro zbiorą się chętnie, bo radzi byli dowiedzieć się, jak się ten akt uroczysty otwarcia kursów odbywał w Krzemieńcu, kiedy w Warszawie ceremonija była zwykle nie wielka i nie bardzo zajmująca. Józio pocziwy, widocznie był nadzwyczaj zainteresowany; kilka razy chciał przerwać opowiadanie jakimś pytaniem na które, choćby było najważniejsze, odpowiadać nie wypadało, żeby nie zrywać wątku i pamięci, która musiała być w wielkiem napięciu, jeśli utrzymać miała jaki taki związek drobnych, codziennych wypadków życia po trzydziestu kilku latach odświeżanych.

Gospodarz uczynił uwagę, że za surowo został pan Antoni ukarany za wycieczkę na zamkową górę, że niepotrzebnie tak bardzo broniono uczniom wychodzenia na miasto samym, i co nakoniec nie podobało mu się,

to mundur krzemieniecki za nadto wykwinny i skomplikowany. Właściwie odpowiedzi gospodarz znalazł na jednym z następnych posiedzeń, które zmieniły w tych rzeczach zdanie jego, jak poznał cały system prowadzenia młodzieży.

Na posiedzenie nowe zebraliśmy się wszyscy prócz Podśędka i ekonoma z drugiego folwarku, który musiał wrócić na swe stanowisko z żalem, jak mówił — ale musiał: pan Antoni tak dalej opowiadał.

Akt otwarcia Liceum.

Dziadzio wstawszy rano — a wstawał bardzo rano, zastał mię już ubranym; pochwalił moję gorliwość i dał przestrożę, abym się nie ważył sam wychodzić z domu, aż pan proffesor pozwoli i sam mię zaprowadzi. Tymczasem kazał mi ukłęknać i mówić głośno zwyczajny paciérz, potem wyjął z pomiędzy papierów swoich modlitewkę pisaną, czytał ją sam powoli a ja za nim powtarzać musiałem. Stało się wszystko według woli kochanego dziadunia; modlitewki czytanéj nie pamiętam, treść jej jednak była ściśle zastosowaną do chwili, i zdaje się, że pochodziła z czasów jezuickich szkół, do których dziadzio sam chodził i nigdy nachwalić się Jezuitów nie mógł. Psuł wprawdzie czasem syn postępowy krew ojcu krytycznemi uwagami o jego dawnych nauczycielach, nie tyle może z niechęci do nich, ile z przekory: czynił to wszakże z wielką delikatnością, aby dziadzi nie przyprowadzać do niecierpliwości; do sprzeczki więc nigdy nie przychodziło.

O godzinie ósméj wyprowadził mię dziadzio na

dziedziniec, ustawił tak, abym miał przed oczyma kościół licealny, który w całej swój okazałości z dwiema wieżami i kopułą wspaniałą widzieć można było, z boku wprawdzie, ale z każdego punktu podwórza naszego, i kazał pilnie uważać na pierwsze uderzenie dzwonu. Miał nasz kościół licealny różnego rodzaju dzwony i dzwonki z których każdy odzywał się w swoim czasie i mówił niejako wyraźnie na co dzwoni. Sygnaturka, dzwonek mały ale głośny, odzywała się co dzień rano o siódmej dając znać miastu a szczególnie uczniom, że będzie msza; dzwoniła ona piętnaście minut jak najrzetelniej co dzień; po niej odzywał się dzwon większy, dając znać, że chwila wyjścia mszy bliska, że uczniowie z dalszych i bliższych części miasta wybierać się w drogę powinni; w dni świąteczne i dni uroczyste dla szkoły, po sygnaturce uderzano w dzwon wielki, poważnie i wydatnie brzmiący — i dzwonienie to trwało dziesięć minut; nadto w czasie mszy w dni świąteczne odzywał się przed Ewangeliją dzwon wielki, donosząc miastu że będzie kazanie: na koniec na znak dla uczniów tylko, aby im przypomnieć godzinę lekcyi i powołać na nią, uderzano w jeden bok dzwonu, który od niepamiętnych czasów był rozbity i brzęczał przeraźliwie, ale tak głośno i tak inaczej jak wszystkie inne licealne i reszty kościołów, że się nikt z nas omylić nie mógł, kogo ten dzwon wzywa. Zalecił mi dziadzio pilnie uważać na pierwsze uderzenie dzwonu szkolnego, abym poznał chrapliwy brzęk jego i pamiętał raz na zawsze, że kiedy on dzwoni, to uczeń ma brać książki szkolne pod pachę i ruszać w drogę, lub wiedzieć, że jakaś ważna sprawa studencka w murach licealnych odbywać się będzie. Dzwonek ten przeraźliwy odzywał się czasem, ale dzięki Bogu, bardzo czasem, kiedyśmy stracili kolegę naszego, profesora lub

zwierzchniką: dwa razy przez lat dziewięć zabrzmiał boleśnie razem ze wszystkiemi swemi kolegami o najczystszych głosach i dźwiękach, obwieszczając nam śmierć zwierzchników, dyrektora Lewickiego i prefekta Jarkowskiego; i dwa razy przy jego głosie, boleśniej wówczas, zdawało się, brzmiącym, odprowadzaliśmy zwłoki najzacniejszych naszych profesorów: — Strzeleckiego (matematyka), Jurkowskiego Michała (lit. greckiej i języka prof.).

Z uderzeniem ósmej godziny, uderzył chrapliwie licealny dzwon — i dzwonił cały kwadrans dając znać tym wszystkim, którzy czy jako zwierzchnicy, czy jako profesorowie, czy jako uczniowie, czy wreszcie jako urzędnicy, oficjaliści do składu Liceum należeli, aby się mieli wszyscy w gotowości i stanęli na miejscach swoich, bo to dzień wielki, uroczysty — akt otwarcia szkoły.

Przebrzmiał dzwonek szkolny i była pauza piętnastu minut; uderzyło pół do dziewiątej na wieży kościoła licealnego, odezwała się cienka ale mile brzmiąca sygnaturka; minął znowu kwadrans i uderzono w dzwon wielki jak na największe święto. Powiadam panom z taką dokładnością kwadransy i minuty, bo z taką u nas wszystko obliczano ścisłością — i nikt z pod prawa liczb takich wyłamywać się nie ważył. Nierzetelnych uczniów w dopełnianiu powinności na godziny obliczonych karali zwierzchnicy, wyśmiewali współkoledzy; nierzetelnych profesorów ściagała opinia i nieszacunek uczniów. A czy panowie sądzicie, że to mała zaleta naukowego zakładu, który tak pilnie przestrzega, aby obowiązki wszelkie i wszystkie nie tylko pełnione były, ale i dopełnione w czasie oznaczonym? Zdarzały się wypadki, że dla nadzwyczajnych przeszkód, bo gdzież i dla kogo ich niema, spóźnił się nauczyciel, — to wchodząc ze zwykłą, senatorską prawdziwie powagą, gdy powstał

uczniowie, on kłaniając się z godnością — mówił te słowa: „ach spóźniłem się panowie, (jeśli na kursie — dzieci, jeśli w klasach) listy czytać nie będziemy, obliczcie się sami i podacie mi po lekcji, kogo nie ma“. Nie było to usprawiedliwienie, bo nauczyciel przed uczniami usprawiedliwiać się nie potrzebuje, ale wyznanie, że mu żał straconych kilku minut, i że je trzeba na czémś mniej ważnym oszczędzić. Spóźniającego się ucznia na lekcye spotykał prefekt nieschodzący nigdy z korytarza do w pół do dziewiątej z rana i przychodzący znowu najregularniej o trzy kwadranse na 10. Tłumaczenie działo się na korytarzu, poufne przed samym prefektem, który wyrozumiawszy winę, albo zaraz przebaczał, albo po dziesiątej kazał przychodzić do kancelaryi swojej — a w każdym razie wprowadzał sam ucznia do klasy prosząc dla formy i przyzwoitości, aby profesor raczył przyjąć spóźniającego się na lekcję. Tyle form, tyle tłumaczeń, świadectw, zwoływań dozorców, gospodarzy u których uczniowie mieli mieszkania, że rzadko bardzo nawet najniedbalsi uchylali się od porządku.

Lekcye trwały od 8ej rano do 6ej wieczór — z wyjątkiem godziny od 12ej do 1ej. Rzecz naturalna, że nie wszystkich klas i kursów uczniowie ciągle przez te dziewięć godzin lekcye mieli; zmieniały się lekcye, zmieniali się i uczniowie. Prefekt bywał też obecny na korytarzu przed trzecią i czwartą. W godzinach po czwartej były wykłady prawa rzymskiego, wyższej matematyki, agronomii, języka i literatury greckiej i języka angielskiego, na które uczęszczała młodzież dorosła, tak ścisłego dozoru niepotrzebująca, bo po większej części sama już utrzymująca dozór nad młodszymi z pierwszych czterech klas uczniami. Wykroczenia przeciw porządkowi w tej warstwie uczniów zdarzyły się bardzo rzadko.

Na kilka minut przed dziewiątą byłem już w kościele, wprowadzony tam własną ręką mojego opiekuna. Na wstępie samym znalazł się jakiś doroślejszy młodzieniec, któremu pan profesor zlecił, aby mię zaprowadził na miejsce, gdzie stać powinienem jako uczeń klasy pierwszej. Kościół był napełniony, chociaż bardzo obszerny. Tak mię w pierwszej chwili odurzył ruch wielki, jaki na drodze bliżej już gmachów szkolnych i kościoła panował, żem nic właściwie nie widział dokładnie i sprawy z tego zdać nikomu nie byłbym w stanie. Później, później, kiedy dobrze wszystko poznał i zbadał tak, żem i drugich przybyszów nauczyć mógł i objaśnić, wiedziałem doskonale, kto i w jakiej ławce zwykł siadać z osób należących do składu licealnego lub obcych temu składowi, a jednak na mszę i na wszelkie szkolne tylko uroczystości do naszego kościoła przychodzących. Bywało tam między obcymi kilku błahoczystych (prawosławni po dzisiejszemu), którzy modlili się po swojemu i po swojemu nieznacznie żegnali, a do cerkwi swojej niezagłądali nigdy. Mówili oni, że nigdzie tak dobrze pomodlić się nie można, jak w tém towarzystwie młodém, liczném, a tak przykłdném uczniów; nigdzie kazania posłuchać jak w licealnym kościele; nigdzie do serca, gdy uciśnione, do duszy, gdy podniesienia pragnie, tak nie przemówi kaznodzieja, jak nasz ksiądz Prokop.

Dziś jeszcze widzę cały ten kościół, widzę jak zapełniony, widzę wszystkich i pamiętam miejsca każdego, kto wówczas podług sądu młodzieży za najznakomitszego, za najgodniejszego był uważany. Jedni oto w tych tu ustronnych ławkach, blisko wejścia siedzą zawsze; starzy to przyjaciele szkoły, albo jęj pierwsi protektorowie. W dwóch szeregach na środku kościoła bliżej wielkiego ołtarza na krzesłach profesorowie w galo-

wych mundurach, jak na ten dzień uroczysty z prefektem i dyrektorem na czele — to mężowie, którym w mieście wszystko co wydatniejsze i co maluczkie — i w szkole okazuje przy każdej sposobności szacunek, poważanie i miłość. Przy bocznych ołtarzach w ciszy wysłuszeni pracownicy i przełożeni niegdyś tej szkoły. W ławkach naczelnych po obu stronach, to dostojne obywatelki i ich mężowie mieszkający w Krzemieńcu stale dla edukacji dzieci, lub z przyzwyczajenia i czci dla założyciela szkoły; — dalej żony profesorów z dziatwą niedoroślą swoją; pod amboną i naprzeciw niej wychowawice dwóch zakładów żeńskich na swoich skromnych ławeczkach, a po całym kościele rozproszeni, źle mówię, ustawieni porządnie w szeregach: — przed ołtarzem przy kratach presbiterium i w przedziałach między ławkami, uczniowie klas czterech i trzech kursów; wąska ścieżka środkiem kościoła zawsze wolna; — tą drogą wychodziła młodzież w ordynkach parami i publiczność życzliwa, względna, drogi tej nigdy nie zajmowała.

Uczniowie w wielkiej liczbie już zajmowali podług tego, jak powiedziałem swoje miejsca, usunięci jednak ku dwom bocznym nawom więcej jak zwykle, bo środek kościoła przed kratkami presbiterium zajmowali profesorowie. Dopóki nie rozpoczęło się nabożeństwo, można było jeszcze, chociaż ostrożnie rzucić okiem na to poważne i rzeczywiście świetnie przedstawiające się grono ludzi, w których twarzach malował się rozum i uczucie osobistej godności. Było ich razem z urzędnikami licealnymi przeszło czterdziestu. Na chórze odzywały się czasem pojedyncze tony nastrojonych instrumentów, bo na większe uroczystości muzyka z amatorów złożona pod dyktando licealnego nauczyciela gry na skrzypcach, Lencego, zastępowała organ. Publiczność w kościele wi-

docznie strojniej przybrana; przed wielkim ołtarzem wystawione trzy ponsowe fotele dla celebrujących księży; cała przestrzeń od schodów ołtarza do krutek wielkimi dywanami zasłana; ołtarz szary bez żadnych złocień, mówiono, że z cedrowego drzewa, bardzo wyniosły, z jednego zdawał się materyału.

Trzykrotne uderzenie w dzwonek przy zakrystyi rozległo się — i wszedł orszak liczny do służby w czasie mszy przeznaczony: — naprzód sześciu studentów parami, dobranego wzrostu, mniejsi naprzód, starsi w końcu w komżach eleganckich, ładnymi koronkami obszytych, z długimi kolorowymi wstążkami, następnie celebrant z dwoma asystentami w ozdobnych i bogatych ornatach. Organ zabrzmiał na chórze kilką akordami — a po chwili ozwała się muzyka, która tak piękną mi się wydała, jakby ją najzawołani artyści składali. Zapewne wrażenie moje osobiste tak ją podniosło. Od chwili rozpoczęcia nabożeństwa taka cichość i błogie usposobienie zapanowało w kościele, jak zdarza się czasem przed ślubem, gdy grono rodzinne i prawdziwych przyjaciół z natężeniem przysłuchuje się słowom przysięgi, które ślubujący nawzajem sobie w obliczu Boga i kapłana składają, albo po spowiedzi, gdy grzesznik odchodząc od konfesyonału nie patrzy na ludzi, którzy go otaczają a rad z ulgi w sercu doznanej — szuka kącika, gdzieby mógł spokojnie podziękować Bogu, że go znów do łaski swjej przyjął.

Po odśpiewaniu Ewangelii ukazał się we drzwiach zakrystyi kapucyn; a jeszcze w czasie śpiewania Lekcyi ozwał się poważnie wielki dzwon po kilkakroć, to dzwoniło na Kazanie; z pokorą zbliżył się do ołtarza, przykląkł i dłużej, jak to nieraz widzujemy, pomodliwszy się, zwrócił się powolnym krokiem ku ambonie.

Nikt z nas nie ruszył się z miejsca, póki nie przeszedł, ale zdala uderzył mię wielki szmer od drzwi kościoła posuwający się ku środkowi. I nasze ordynki złamały się nagle po przejściu kapucyna — i podążyły żwawo ku ambonie, przy której ujrzelśmy już wszystkich kolegów naszych z podniesionymi oczami w górę, tam skąd po chwili miał się ukazać kapłan zakonnik z tak słodkim a oraz poważnym wyrazem na obliczu, taką pobożnością przejęty, że już chyba święci i apostołowie więcej święcie i pobożniej wyglądać nie mogli. Ukazał się i przykląkł. Ucichły śpiewy i muzyka natychmiast, bo muzyka na chórze była nie dla popisu, ale dla obudzenia i rozgrzania ducha do modlitwy, jako pomoc kapłanowi Świętą Ofiarę przy mszy dopełniającemu. Ksiądz Prokop podniósł się i czytać począł, a stała się taka cisza, że lubo przytłumionym głosem, jakby z bojaźni albo czci wielkiej dla słów, które wymawiał, przeczytał Ewangelie na ten dzień przypadającą: — dosłyszeliśmy wyraźnie każde słowo, zrozumieli każdą myśl znaczącą więcej w nauce Zbawiciela dla zgromadzonej rzeszy. Kazanie trwało przeszło dwadzieścia minut, ksiądz Prokop czytał, nie mówił z pamięci, słowo jednak jego było i żywe i ciągłe i uroczyste, a bez najmniejszej deklamacyi wypowiedane, że nam się zdało natchnionem i w téjże chwili, gdy z ust wychodziło znalezionem, a nie przeczytanem. Nie mogę powiedzieć o sobie, żem wszystko rozumiał i uczył jak rozumieli ci i czuli, których rozwinięty umysł i wykształcone uczucie smaku zdolnymi czyniło do przyjęcia i ocenienia takiej wymowy i takiej nauki. Nie powiem także aby kaznodzieja przemawiał takimi słowy, stylem takim, iżbym go wcale zrozumieć nie mógł, ale to co mię otaczało, co się w około mię działo, do tego stopnia mój dzie-

cinny umysł skrępowano, że tylko słuch mój i wzrok wrażenia odbierać były zdolne. To jednak widziałem, że uwaga słuchaczy była wyteżona, że zdawali się skupiać i zbliżać coraz więcej ku ambonie i byli jakby razem myślą i wzrokiem i duchem tuż na kazalnicy, razem niemal z mówiącym. Głos z natury słaby i miękki księdza Prokopa, zaledwie dosłyszany mógł być w pierwszych peryodach mowy; powoli wyjaśniał się, wzmacniał, nabierał najczystszej dźwięku — i w końcu, przy zamknięciu nauki już stawał się potężnym i w najdalsze zakątki kościoła przenikającym. I może nie trudno było kapłanowi tak doskonale być słyszany, bo nikt w czasie czytania jego nie przeszkodził najmniejszym szmerem, zdaje się nie odetchnął i nie westchnął, aż się nauka skończyła.

Cóż to za skarb dla szkoły taki kaznodzieja, cóż to za wzór dla młodzieży takie świątobliwe, przeczyste życie, jak życie księdza Prokopa: co za troskliwość i dbałość o dobro wychowania założyciela téj szkoły — wynaleźć i dać młodzieży takiego złotoustego nauczyciela. Co jeszcze postaci téj i słowom dodawało uroku, żeśmy go nigdy prawie niespotykali w towarzystwie. Życie jego dzieliło się między konfesyoną, cichy domek z ogródkiem prześlicznym, któryśmy tylko ukradkiem z ogrodu botanicznego dojrzeć mogli, ołtarz i ambonę. W tych tylko miejscach widzieli go Krzemieńczanie i mieszkańcy miasta, tam głos jego cichy i słodki słyszeli, a do osoby, do człowieka przystęp w innych miejscach prawie był niepodobny. Odwiedziny dam z wysokiej arystokracji niechętnie przyjmował i prędko je zbywał — więc nauczona, nieśmiały go niepokoić. Mówiono powszechnie, że Czacki dowiedziawszy się o księdzu Prokopie Krzywickim, gdzieś w jakimś odległym zakątku

Podola ukrytym, iż ma to być wielkiej a prostej wymowy człowiek, że kapłan pełen cnót prawdziwie kapłańskich, wyprawił się sam na odszukanie go, a odszukawszy, poznawszy, póty błagał i nalegał aż otrzymał przyrzeczenie, że zjedzie do Krzemieńca. Przed oznaczonym czasem, niepewny i niecierpliwy pojechał drugi raz sam i przywiózł z sobą.

Po kazaniu każdy z pod ambony na swoje miejsce wrócił — a po pierwszym odgłosie dzwonka na Offertorium schyliły się wszystkie głowy pobożnych, uklękła cała zgromadzona młodzież i nie powstała aż po ostatniem zadzwonieniu. Było już przyjęty zwyczaj, którego żadnemi nakazami nie potrzeba było przypominać, że wszyscy uczniowie klęczeli przez całą mszę, wyjąwszy początek do Offertorium i koniec, po *Pater Noster*. Celebrował ksiądz Jan Kulikowski, później kanonik katedralny Łucki i proboszcz Cudnowski, chociaż nigdy szkoły nie opuszczał ani na dzień jeden dla swego probostwa. Człowiek jeszcze bardzo młody, zaledwie trzydzieści lat wieku dobiegający, poważny, niepospolitęj nauki, nieskazitelny, chociaż dla swęj surowości nie zbyt od uczniów lubiony. O nim na potém.

Msza się skończyła, odśpiewano jeszcze przy ołtarzu i na chórze jakiś hymn do Ducha św., może *Veni Creator* — i po odejściu dopiero księży do zakrystyi, ruszyliśmy w parach przez środek kościoła, pod strzałami oczu z ławek po obu stronach kościoła do nas wymierzonymi. Przypatrywała się nam publiczność, pokrewna prawie cała albo przyjacielska i serdecznie nas miłująca, z wielkiem zajęciem i ciekawością, liczyła pary w każdej klasie, (jak później dowiedziałem się o tém), tak szczerze i blisko interesowała się statystyką liceum naszego. Przy ostatnich ławkach stał już prefekt i zwrócił pierwszą

parę na lewo ku wyjściu na korytarz szkolny; na korytarzu stali inspektorowie, pomocnicy prefekta i poprowadzili na drugie piętro gmachu rozległego, widnego i czysto nadzwyczaj utrzymanego. Na drugim piętrze stał jakiś jegomość w mundurze, zapewne profesor, albo pomocnik czyli adjunkt profesora fizyki — i pokazywał zdale drzwi szeroko obu skrzydłami rozwarte, gdzieśmy weszli, i spojrzeli po sobie zdumieni i zachwyceni. Naturalnie, te pierwsze pary, to pierwsza klasa, to dziatwa, która po większej części nigdy takiego przepychu, tak ogromnej sali której końca zdaje się, dojrzyć nie można było, tylu wielkich, jasnych okien po obu stronach sali, nie widziała. W ciągu roku szkolnego sala ta zastawiona była całkowicie machinami fizycznymi i przyrządami do doświadczeń fizycznych — nazywała się też *sala fizyczna*, — środek tylko do przejścia dla uczniów i nauczyciela wolny; w końcu zaś samym stało po obu stronach po trzy ławki, długie dwanaście albo i więcej łokci, dla słuchaczy fizyki na 2gim kursie wykładanej. Teraz wszystko to, co stanowiło przeznaczenie i charakter téj sali, było wyprątnięte. Na ścianie głównej, naprzeciw drzwi wisiał duży portret Cesarza Aleksandra I. w pewnej wklęsłości mura pomiędzy dwoma alabastrowymi kolumnami; bliżej, po środku w téj samej wklęsłości na marmurowej kolumnie biust Tadeusza Czackiego. W tém samym miejscu, którego kształt i wielkość przypominało bardzo zaokrąglenia przy wielkim ołtarzu w kościele, stał długi stół zieloném sukniem nakryty. Na stole po środku duży krucyfiks — a z jednej i drugiej strony jego, jakieś księgi, papiery, których znaczenie później asanństwu dobrodziejstwu wytłumaczę. — Od stołu dalej stały kilku rzędami krzesła po trzydzieści w każdym, — dalej za krzesłami po kilka ławek

długich — a od drzwi aż do miejsca, skąd się zaczynały krzesła, ławek ze trzydzieści obróconych ku głównej wystawie. Uważcie kochani państwo, że to sala niezwykle obszerna być musiała, kiedy się tam tyle tych ławek i krzeseł mieściło, a jeszcze środkiem miejsca na półtorasta osób. Wielka też była i powiem wam dokładnie jak wielka: sześćdziesiąt trzy, czy cztery łokcie długa, a dwadzieścia pięć szeroka; mierzyłem ją krokami raz jeden, gdy się zdarzyła okazyja; — kroki to nieolbrzymie były ale wyciągnięte dosyć, tak, że krok za łokieć mógł stanąć. Wszystkie ławki i miejsca próżne, gdzie się znalazły, zajęli uczniowie już nie siedząc ale stojąc w tak ściśniętych szeregach jak na procesyi w kościele. Czekaliśmy tak umieszczeni jakie kilkanaście minut, aż szmer wielki sukien jedwabnych, kroków powolnych i damskich i męskich doleciał uszu naszych — i weszło naraz kilkadziesiąt pań najwykwintniej ubranych, czego w kościele poznać było nie podobna, już nie parami ale po kilka par razem a przed niemi dyrektor Lewicki — jakiś jegomość cały zahaftowany złotem, pewnie marszałek gubernii, jakiś jeden i drugi generał jeszcze lepiej wyzłoceni i tak dalej różni ludzie a wszyscy strojni i wzajemnie dla siebie uprzejmi bardzo. Nie wiem już w jakiej liczbie, wszystko to zasiadło na krzesłach przygotowanych na przyjęcie znakomitszych gości.

Na wzniesieniu za stołem, długim i szerokim, na którym leżały i owe księgi i papiery zasiadł marszałek szlachty wołyńskiej, obok po lewej ręce wizytator umyślnie z Wilna przysłany na akt otwarcia, dalej wizytator szkół wołyńskich z grona znakomitych obywateli wybierany; po prawej dyrektor, prefekt i ksiądz kapelan nasz, Kulikowski.

Niżej przy estradzie po jednej i po drugiej stronie w pierwszych rzędach krzeseł, profesorowie liceum; da-

lęj damy i panowie obywatele z trzech gubernii na uroczystość taką zwykle przybywający, — po między nimi owi generałowie, których widzieliśmy przy wejściu: nakoniec w krzesle w pewnej odległości od wzniesienia za stołem zielonem suknem nakrytym, siedział z niezwykłą powagą, zdało się największy dygnitarz w sali tej, mocno łysy, słusznego wzrostu, z przymrużonemi i uważnie wpatrującemi się w publiczność oczami, profesor historyi powszechniej na kursach, *Józef Uldyński*. Postać ta górowała nad inne pewną dumą w spojrzeniu i ruchach a przytém zacnością i słodyczą, które czyniły go ulubieńcem całej szkoły. Odnaczające się twarze rzeczywistą inteligencyą i pięknym wyrazem zajmowały uwagę uczniów i jeden drugiemu pokazywał: oto Józef Korzeniowski, wówczas młody jeszcze profesor a już do najznakomitszych zaliczany, wykładający na kursach literaturę polską i kurs wymowy, w dziedzictwie po Felińskim i prałacie księdzu Alojzym Osińskim; a ten poważny i zimny na pozór, lekką siwizną przypruszony, to Stefan Wyżewski profesor wyższej matematyki, dalej Jaroszewicz profesor prawa rzymskiego, którego wkrótce zastąpił Aleksander Mickiewicz brat rodzony Adama, jeszcze dalej Besser, znakomity na ów czas botanik, Michał Choński profesor ekonomii politycznej, małego wzrostu, niezmiernie ruchliwy i z bystrém nadzwyczaj spojrzeniem, Jenc profesor fizyki, powołany wkrótce jako i Jaroszewicz na profesora Uniwersytetu do Wilna, Zenowicz profesor chemii, mineralogii i technologii, Mieczowicz profesor mechaniki i geometrii wykreslniej, autor dzieł w tych przedmiotach celniejszych i pierwszych w polskim języku. Nie wymieniam tu wszystkich dzisiaj bo to w swoim miejscu nastąpi: wszyscy ci panowie byli starszymi profesorami przedmiotów w trzech wyż-

szych kursach wykładanych; pięciu, prócz księdza kapelana w klasach i na kursach wykładającego naukę religii w zastosowaniu do wieku i pojęć, w coraz szerszym zakresie, składało się jedynie na obsługę czterech pierwszych klas przeznaczoną: z pomiędzy nich jeden dostąpił sławy, jak na swoje stanowisko, wielkiej, nauczyciel arytmetyki i geometrii Antoni Strzelecki. Miał sławę z doskonałego wykładu arytmetyki i nie praktykowanej surowości dla uczniów.

Uldyński, powiedziałem, siedział przy osobnym stole, nie dla tego, żeby był starszym od innych kursowych nauczycieli, albo szczególnymi względami zwierchności szkolnej zaszczycony, ale że miał czytać rozprawę. Zwyczaj był od pierwszego roku założenia gimnazjum a potem liceum krzemienieckiego, że tak na otwarcie kursów jak na zamknięcie, w czasie tych uroczystości profesorowie kursów czytali rozprawy w właściwych wykładowi swemu przedmiotach. Na ten rok przypadła kolej na Uldyńskiego i dla tego oddzielne zajmował miejsce.

Gdy już wszyscy dygnitarze, do których zawsze w pierwszym rzędzie liczyliśmy naszych profesorów, zajęli swoje miejsca, powstał dyrektor Lewicki, pięknej postawy człowiek, z wyrazem głębokiego cierpienia na twarzy wrytym — i donośnym, dźwięcznym głosem przemówił do młodzieży — w tej treści, w jakiej przy takim akcie przemówić należało; wspominał wielkie zasługi Czackiego i obowiązek wiecznej kraju a szczególnie młodych pokoleń dla niego wdzięczności, uczcił kilkoma słowami Monarchę Aleksandra I, który szkole tej rozwinąć się pozwolił i hojną ofiarą uposażył, — nie zapomniał o Uniwersytecie wileńskim, bo blisko siedział delegat tej Batorowej wszechnicy — a na końcu witając

serdecznie młodzież na ten rok zgromadzoną, zaprosił profesora Uldyńskiego do odczytania rozprawy.

Uldyński czytał, jak dziś pamiętam dokładnie, ustęp z historii greckiej o igrzyskach olimpijskich. Mówił dobitnie, głośno, z zapałem, często poruszał się na krześle, powstawał i siadał; mnie na pierwszy raz raziła ta nadzwyczajna ruchliwość, ton ogólnie bardzo podniesiony, czasem wielka powolność, czasem niespodziewana szybkość i bieg słowa. Wyraz twarzy zmieniał się, chustka od nosa to się wznosiła, to opadała, a oko tak blisko do rękopismu przyłożone, że z niem razem cała twarz po papierze się przesuwiała. Przy tych wszystkich grymasach i oryginalności, mówił płynnie, jakby na pamięć i utrzymywał słuchaczy w najżywszym zajęciu.

Jego postać i ruchy nie zdawały mi się zawsze stosowne, wszyscy zresztą zachwyceni byli. Miałem nawet odwagę nędzne moje zdanie koledze jakiemuś małemu także, ale z wyższej klasy objawić — że śmiesznie czyta ten profesor; rzucił się na mnie z gniewem i pogardą i nakazał mi surowym tonem milczenie. Nie pojąłem wówczas czém obraziłem malca, ale to zrozumiałem, że o Uldyńskim nielada komu mówić wolno, nawet dobrze — a w ogóle uwielbiać go tylko trzeba. Po rozprawie nie było oklasków, jak to dziś jest we zwyczaju od paryżan przejętym, ale wiele osób znakomitszych płci obojg powstało: jedne przychodziły osobiście w gorących wyrazach składać podziękowania, inne najuprzejmiejszym ukłonem zbliżywszy się do stołu najszczerze zadowolenie objawiały, inne ze swoich miejsc powstawszy, a jak pamiętam, byli to marszałek, wizytator wileński, i dyrektor Lewicki, uznanie swoje wyraziły. Wszczął się ogólny szmer i pół głośne rozmowy, jakby dla wytchnienia po długim słuchaniu i wytężonej uwadze. Uldyński

przyjmował te powszechne hołdy uśmiechem, przestępując z nogi na nogę, jak miał zwyczaj, ocierając często wielką fularową o różnych barwach chustką czoło i usta, kiedy niekiedy raczył oddać ukłon, mówię, raczył, bo do ukłonu nie łatwo się posuwał. Stosunki jego z kolegami, jak następnie poznałem, były serdeczne; spotykając witał ich po łacinie, o żadnym zdania swego nie objawiał i nie rad słuchał objawionego, dyrektora uniaka dla przyczyn zapewne ważnych, ale sobie tylko wiadomych, — uczniom na ukłon odpowiadał uśmiechem i mocniejszym wpatrzaniem się w oczy. Gdy hołdy po odczytaniu rozprawy ustały już, poszedł krokiem pewnym do estrady, a na jego zbliżenie się dygnitarze powstali; każdemu coś powiedział, zapewne dziękując za uprzejme słuchanie — i zaproszony od dyrektora, zajął przygotowane krzesło między marszałkiem i dyrektorem. Znowu cisza, choć nikt znać nie dał, aby się uciszono — i dyrektor z miejsca swego jeszcze raz krótko bardzo przemówił, nie wiem co biorąc za treść tego przemówienia i oddając z powagą ukłon marszałkowi, jemu jakoby odstępował słowa. Rzecz marszałka nie długa także była; w niej wyrażony hołd monarsze, istotnie dotąd czczonemu za dobrodziejstwo dozwolonej i popieranej nawet oświaty, kilka słów serdecznych pamięci Czackiego — i wreszcie ogólne pozdrowienie i życzenia pomyślności w zaczęłym roku szkolnym. Podnieśli się z miejsc swoich goście i całe naukowe grono: szli naprzód marszałek z dwoma wizytatorami przystając co chwila dla powitania dam znajomych, dalej dyrektor, do którego zbliżyli się generałowie ściskając jego ręce z szacukiem, jaki się należał najwyższemu zwierzchnikowi szkoły — i tak wolnym krokiem posuwali się ku drzwiom otwartym. Żaden z uczniów nie ru-

szył się z miejsca, choć tam w tak licznym zgromadzeniu byli najbliżsi ich serca, aż goście i profesorowie znaleźli się na korytarzu: czekali czy przez uszanowanie dla starszych, czy, że mieli odebrać polecenie od prefekta kiedy do sal szkolnych zawitać winni. Była przyczyna i jedna i druga; rzeczywiście po małej pauzie, gdy się uspokoił nieco szmer przechodzących gości, odezwał się wyniosłej i pięknej nader postawy niedawno z Wilna przysłany prefekt Bokszezanin: „panowie, proszę jutro na mszę o godzinie 7½.“ Po wyjściu наконец uczniów z sali fizycznej i zejściu na dolne korytarze, ten i ów wpadł na chwilę do swjej nowej klasy, do której dostał promocją i do starzej, którą opuścił na zawsze. Żaden długo tam nie zabawił, zajrzeć jednak zdawało się koniecznym. I w urządzeniu lokalów na klasy i rozkładzie nauk inny zachowywał się obyczaj w Krzemieńcu, niż w szkołach np. warszawskich, lubelskich i t. p. Rozkład lekcyi utrzymywał się jeden stale przez wszystkie lata; sala pewna raz na pierwszą, drugą lub trzecią klasę przeznaczona przy otwarciu gimnazjum, do końca istnienia szkoły tą samą pozostała klasą. Stąd wywiązywały się pewne tradycye, z salami na zawsze połączone; stąd uczeń trzeciej klasy z zazdrością i utęsknieniem na drzwi czwartej np. klasy poglądał przez rok cały, szczególnie w ostatnim kwartale; z tém samém uczuciem zwracał się drugo-klasista ku trzeciej klasie. Było to naturalne i dobre poniekąd: ponieważ przy wielkim porządku i karności, rok cały jedną tylko, własną salę widzieliśmy i do cudzej zaglądać nie tyle wzbronionem, jak niepodobnym prawie było, wyradzało się stąd pragnienie szczególne, ciekawość poznać co prędzej owo nieznane miejsce. Nowo promowany uczeń do czwartej klasy nie mógł się powstrzymać od zajrzenia do swojej sali, tém bar-

dziej, że mówiono o niej, jako o najpiękniejszej; — a była ona istotnie inna i piękna, bo malowana w jakieś drzewa, góry, ogrody z pastérzami i trzodami. Zaglądaliśmy do nowój klasy, aby ją wesoło powitać, zajrzeli raz jeden, i ostatni do starój, aby z pogardą rzucić na nią okiem i drzwi za sobą zatrzasać. Do ławek, okien, pieców nawet były pewne tradycje przywiązane: tu taki a taki siedział zawsze, dostał nagrodę i ani razu nie klęczał; tu inny spletał figła takiego, że do dziś wszyscy o nim wiedzą, wie nawet miasto; tam w téj ławce pod oknem jakiś znakomity profesor, czy sam nawet dyrektor Feliński przyszedłszy do klasy niespodzianie, usiadł i uczniów do siebie przywoływał: słowem wypadki, zdarzenia i fakta takie do miejsc przywiązane były, że o nich każdy uczeń wiedział, i nie mógł nie wiedzieć, bo były wielkiego znaczenia. Wszystko to, jak uważacie asaństwo dobrodziejstwo — stanowiło szczególny charakter szkoły, i uczniów inaczej usposobiła dla szkoły i jej murów, jak gdzie indziej. Uszanowanie, cześć prawie najgłębsza dla profesorów, przechodziła tradycyjnie pomimo ich oryginalności i dziwactw, które umiano chwytać, roznosić szanując zawsze człowieka, wierząc nieograniczenie w jego wielki rozum, i kochając choć czasem ukarać kazał i niezasłużenie dokuczył.

Widzieliście asaństwo, jak ten akt otwarcia nacechowany głęboką religijnością, a zarazem wystawą w jej obrzędach; — jakie było zachowanie się uczniów, profesorów i całego miasta — w kościele naszym; zobaczcie, że ten obyczaj uroczysty a religijny przy każdej ważnej chwili w życiu szkolném powtarzał się wiernie: a skąd i dla czego tak było, bo tak chciał Czacki, takie zasady i pojęcia wpajał w młodzież i przewodników, więc wolę tę i myśl w niej zawartą szanowano. Rzeczy-

wiecie, trudno było nieuszanować woli takiego dobroczyńcy, kiedy, jak to później będziecie mieli sposobność widzieć, w zakładzie ręką jego wzniesionym wszystko było obmyślane, wszystko uczynione dla dobra nauki, obyczajów, podniesienia serc ku temu co święte, czyste i prawe; dla wygody i rozrywki nawet młodzieży, a dostatecznemu zaopatrzeniu bytu przewodników szkoły.

Przytoczę wam tu z różnych miejsc i czasów słowa, które usta tego najserdeczniejszego przyjaciela młodzieży wyrzekły przy téj lub innéj okoliczności, a których duch przenikał każde jego publiczne lub prywatne przemówienie. W mowie naprzykład wypowiedzianej przed śmiercią na siedm miesięcy, wyliczył on po raz ostatni szczegółowo obowiązki ucznia i reguły, które nigdy z pamięci ich wychodzić, a głęboko i nazawsze w sercu zachowane być powinny. Tak mówił do nauczycieli, uczniów i przewodników: „niech wam to zawsze przytomném będzie — że rodzice, kiedy ich dzieci po mozolnej pracy do domu wracają, nim zapytają o postęp w naukach, wiedzieć chcą naprzód, czy wpojona jest w serca ich religija, bez której wszelkie budowanie cnót nachyla się raczej do upadku: czy umiano wzbudzać w nich tego ducha, który ziemię z niebem łączy.“ Innym razem, nauce swych wychowañców o potrzebie ścisłego przestrzegania przepisów wiary naszej — wyraził się o spowiedzi: „że jest ona uroczystym czynem, w którym człowiek sam siebie oskarża przed kapłanem, zzywa nieba za świadka chęci poprawy i Boga na pomoc.“

Uspodobienie takie i taki duch przebiegał się wyraźnie w każdym czynie i działaniu Czackiego: w raporcie urzędowym do władz najwyższych edukacyjnych mówi, gdy im swe myśli o wychowaniu wynurza: „Na-

próżno szukalibyśmy pożytecznej w narodzie odmiany, gdyby do tej wspólnej sprawy kapłani nie byli wezwani.“

W inném miejscu podając zwierzchnikowi szkoły ogólną treść do mowy na otwarcie gimnazjum, upomina i zaleca, aby w niej wyraził jasno i dobitnie, że moralność i religija — to najpierwsze nauki, — na których bezpiecznie mądrość ludzka oprzeć się może.

W bogatej korespondencji między Czackim i księdzem Kołłatajem, spotkacie moi drodzy na każdej kartce tę nadzwyczajną obu troskliwość, aby zaprowadzić najściślejszy dozór nad uczniami i strzedz czystości ich obyczajów, bez nich Kołłataj powiada, „na nic się nie zdadzą najlepsze nauki.“ Dla tego komisya edukacyjna ustawą z dnia 18 podobno maja — zaraz po swém zawiązaniu, żądała do pomocy dyrektorowi gimnazjum jednego nauczyciela. Wilno żądało osobnego na ten cel dozorcę obyczajów, Prefekta. W staraniach Czackiego około uposażenia szkoły krzemienieckiej w to wszystko, co znamienitemi w owym czasie odznaczało się zdolnościami naukowemi, widzimy największe przy wynalezieniu na godność prefekta, męża, nieskazitelnych zasad moralności i prawości charakteru. W licznej z najznakomitszymi obywatelami i dostojnikami kraju korespondencji, czytamy nieraz, że waha się w przyjęciu lub odrzuca zaleconego mu kandydata do wykładu nauki, gdy nie ma pewności, że ten kandydat jest zarazem wysoce moralnym i prawym człowiekiem. Pierwszymi też z wyboru Czackiego zwierzchnikami szkoły krzemienieckiej, byli ludzie charakterów znanych z prawości wielkiej Czech, Ściborski — dyrektorowie, — Jarkowski Antoni, prefekt.

W poufnych a częstych rozmowach z nauczycielami wykladał Czacki swoje pojęcia o prowadzeniu mło-

dzieży: „Uczeń pojmuje łatwo naukę, ale łatwiej może przenosi do serca przykłady życia, na które patrzy; jeśli doświadcza surowego postępowania, odważa się i sam być surowym, gdy okoliczność się nadarzy; doświadcza w szkole roztropności, serca, sprawiedliwości, wymierzać je również będzie w razie danym. Nauczyciele są zastępcami rodziców; cóż dla ich serca miłszego, czy kiedy dziecię widzi razem i dawcę życia i dawcę kar, czy kiedy całuje z uczuciem tę rękę, która pieści w kolebce a prowadzi łagodnie z najściślejszą sprawiedliwością w dojrzałym wieku, do współnictwa pracy i sławy.

Rozpromieniony nie raz po examinie prywatnym, po lekcji — mawiał Czacki: „Mam młodzież kochaną, pełną zapału do nauki i cnoty.“

Słowa takie, rozmowy — publiczne przemówienia powtarzały się wśród uczniów i nauczycieli, — obiegały miasto, prowincją całą; umiały je na pamięć i późniejsze pokolenia, gdy współczesne z żywych ust chwytały i przenosiły do serca i głowy. Nie były te słowa czczeremi krasomowstwa zwrotami, one miały myśl głębszą, dobrze pojętą i zrozumianą na teraźniejszość i jako zasiew na przyszłość. Proszę pamiętać, że to były czasy pomiędzy 1803 i 1813 rokiem. Na zachodzie, po przewrocie strasznym, po rozbiciu wszelkiego związku między niebem i ziemią, czego wpływ niemały wywarł się i na naszą społeczność, i na naszych ludzi z wyższm wykształceniem, należało dobrze zastanowić się, skąd przyszła ta klęska na pokolenie ośmnastego i początki dziewiętnastego wieku, jaka była jego przyczyna; należało bardzo poważnie pomyśleć, jak nawiązać to, co się porwało, jak odbudować to, co się rozpadło w gruzy. Kraj świeżo po rozbiornie, materyalnie i moralnie zniszczony, ogłuszony ogromem klęsk — i znowu lepszej przyszłości

nadzieją ożywiony, potrzebował dobrego mentora, aby go nauczył jak działać, jak żyć, jeśli ma wolę, nie już odzyskać wszystko, co stracił, ale uratować przynajmniej, co z rozbicia pozostało. Takiego mentora znalazły prowincje ruskie pod zaborem rosyjskim skupione w Czackim. Wychowanie publiczne na całym obszarze ziem rzeczypospolitej, wiecie, że do ustanowienia komisji edukacyjnej, żadne było; po ustanowieniu zaledwie z ruin dzwigać się zaczęło, — przyszedł rozbiór kraju, i wszystko złe, co za tym wielkim nieszczęściem pójść musiało. Szkół nie było prawie, a te co były, do jednej czwartej uczącej się młodzieży zeszczuplałe, uczącej się — ale czego i w jak niskim stopniu! Czacki który sam był jednym z najdzielniejszych członków komisji edukacyjnej, a obywatelem Wołynia i tam zamieszkałym, postanowił uratować prowincją tę i sąsiednie, a pokrewne z nią Podole i Ukrainę, moralnie od zaboru dokonanego na ciele, ale jeszcze nie na duchu polskim. I zaprawdę uratował na kilka pokoleń ducha tych prowincyj — zakładając szkołę Krzemieniecką z wykładem polskim wszystkich przedmiotów, na skalę niemal uniwersytecką — i kilkudziesięciu szkół niższych w 3 guberniach Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej. Że ratunek był rzeczywisty, a środki na ten ratunek obmyślane i wybrane, potężne i jedynie skuteczne, poświadczyli to nieprzyjaciele nasi i świadczą do dzisiaj, ile razy Czackiego wymienić muszą, nie dwuznacznymi wyrazami, bo wyrazami — teraz nienawiści — a w onczas, gdy zostawali pod wpływem ludzkiego, krótkie lata dobroczynnego monarchy, objawami podziwu i uwielbienia. Na dowód prawdy słów moich, przywiodę wam okoliczność autentyczną, historycznego znaczenia. Hrabia Piotr Zawadowski, mąż niepospolitąj nauki i światła

w pierwszych latach panowania Cesarza Aleksandra I, minister oświecenia w Imperyum, przeczytawszy mowę Czackiego wypowiedzianą w dzień otwarcia gimnazjum w Krzemieńcu, 1go Października 1805 roku, wyrzekł do tych, co utrzymywali, że natura po wydaniu tylu wielkich mężów, spoczywa: „Nieprawda — czyż geniusz Czackiego nie zadaje kłamstwa waszemu twierdzeniu?” To przyjaciele i nieprzyjaciele Czackiego tak oceniali dzieło, którego w dwóch prawie latach niezmordowanych trudów dokonał i skutkami zadziwił wnosząc oświatę i szczepiąc cnoty obywatelskie; zawistni zaś a nieprzejednani dla nas dotąd powtarzali to i pisali — że Czacki na lat sto powstrzymał russyfikacyą Wołynia i Podola.

Do podstaw wychowania i podniesienia uczucia narodowego liczy on, rozumny, ściśle krytyczny wykład historii polskiej i porucza staranie największe o tym przedmiocie powiernikowi swojemu i doradcy księdzu H. Kołłątajowi, aby wygotował plan nauczania historii Powszechnej, którą rozpocząć należy od historii własnego kraju. Instrukcyą szczegółową otrzymał w tym względzie profesor Mirowski. Też samą troskliwość i szczególną baczość zaleca w planie nauk, przy wykładzie języka polskiego i literatury — a dowodzi władcom rządowym rosyjskim, że nikt dobrze po rosyjsku umieć nie może, niepoznaawszy gruntownie języka polskiego; — swoich zaś upomina, żeby ratowali tę ostatnią, najdroższą spuściznę narodowości, język, który wolno nam wyrabiać i w nim dzieła nauki i talenta tworzyć. Gdzieindziej przedstawię wam pokrótce plan nauk szkoły Krzemienieckiej, abyśmy poznali, jakiej ona dla kraju była ważności i jakie zajmowała miejsce w rzędzie szkół innych polskich. Z tego zaś, co słyszycie, com dotąd opo-

wiedział, już możecie powziąć wyobrażenie, jak działała szkoła Krzemieniecka na swoich wychowanców, dla czego taką zyskała sobie sławę i taką miłością założyciela swojego otaczała, każde słowo jego, upomnienie, naukę czciła i w sercu od pokolenia do pokolenia przenosiła. Jeżeli to dobrze zrozumiecie i ocenicie, nie będzie wam trudno pojąć, czemu tak dumnym czuł się każdy krzemieńczanin, że tę nazwę nosił, czemu tyle nadzwyczajnej było gorliwości, żarliwości prawie w uczniach do nauki, czemu tak szanowali i ślepo w swych nauczycieli mądrość wierzyli. Nie będzie wam następnie dziwnem się zdawało, gdy początkowe niepowodzenia moje, jako ucznia pierwszej klasy, za tak wielkie uważałem nieszczęścia i tak je żywo do serca brałem.

Kiedym wspomniał o nieszczęściach moich w pierwszej klasie, przypomina mi się, może za późno trochę, żem znowu wyszedł z mojego charakteru, że wam tak poważnie i tyle ciężko moralnych rzeczy powiedziałem, które mojemu założeniu nie odpowiadają, Józia mojego może nie bardzo zajęły, jako nie zupełnie przystępne dla jego głowy — a panów, co to po swojemu pojmujecie i za postępowych się macie, znudzić mogły. Jakkolwiek jest, ponieważ dobrowolnie zapisaliście się na słuchaczów, téj dobrej woli waszój przyjąć musicie skutki i słuchać do końca, a przychodzi mi właśnie na myśl, że kiedym was pociągnął za sobą z miłej i wesołej zawsze, w złej czy dobrej doli, Warszawy, do odległych prowincyi dawniej rzeczy - pospolitej polskiej, powinienbym was nieco bliżej z dzielnicami temi zapoznać, a przynajmniej z Wołyniem, gdzie ów Krzemieniec, i zamkiem na górze królowej Bony, który téj lichy z pozoru mieścinie nadaje szczególnie charakter i czyni ją poważniejszą i szacowniejszą, nawet pod względem

historycznym. Chcecie więc, czy nie chcecie, podam wam króciutki rys Wołynia, bo jestem prawie pewny, że jako rzetelni warszawianie i koroniarze mniej o nim wiecie jak o południowej Francyi, a nawet jak o Sycylii, w której was i całą Europę słynny mieszkanię Kaprery przez kilka tygodni utrzymywał.

Wchodząc na obszerne pole rozpraw o znaczeniu szkoły krzemienieckiej, o charakterze, i zasługach założyciela, który taki właśnie pragnął jęj nadać, zapomniałem zupełnie o sobie, jako o uczniu pierwszej klasy. Z aktu otwarcia wyszedłem zachwycony, olśniony jego wspaniałością, uszczęśliwiony, że w tym akcie dyrektor i marszałek przemawiając do uczniów, przemawiali tém samém i do mnie. W domu podzieliłem się wrażeniami z dziadkiem, który, widziałem to wyraźnie, powtórzył synowi swemu w zaufaniu głębokie moje uwagi o akcie otwarcia Liceum i o rozprawie Uldyńskiego. Przekonałem się o tém, żem dobrze widział, bo profesor na drugi dzień przy obiedzie powtarzał słowa moje pełne naiwności żonie, a mnie delikatnie upominał, że dziecku nie wypada sądzić o starszych; trzeba naprzód wiele uczyć się, wiele umieć, wiele widzieć a potem można, zawsze z uwagą wielką, zdanie swoje objawić. Nie odpowiedziałem na te uwagi ani słowa i podobno dobrze zrobiłem, — domyśliłem się jednak, że mię dziadzio zdradził. Dzień cały zeszedł mi na przygotowaniach do jutrzejszych lekcji, przygotowaniach łatwych bardzo: potrzeba było książki tylko na pierwszą klasę ułożyć, kajeta poszeszywać i pióra mieć zatemperowane; — ostatni akt czynności dziadzio mi ułatwił ucząc z piór zwyczajnych robić hamburskie.

Wołyń i Zamek królowej Bony.

Na to trzecie, czy czwarte już posiedzenie, mniej zebrał pan Antoni słuchaczów; opuścił go z wyraźnym objawem niechęci liberalny akademik, właściwie mówiąc, student uniwersytetu, znudził się bowiem bardzo temi uwielbieniami dla Czackiego, nadzwyczajnym szacunkiem dla nauczycieli, wiarą w ich rozum, i taką przesadną uroczystością i w kościele i za kościołem, w obec dość pospolitej w szkołach rzeczy, jak otwarcie kursów rocznych. Miał on tam i więcej zarzutów, ale brakło mu słuchaczy do przyjęcia krytyki na te starodawne ceremonie szkolne i niewolę prawdziwą, w jakiej żyli owi zawołani krzemieńczanie. Opuścił wujaszka prezes, bo nie zwykł tak długo przesiadywać nieczynnie, kiedy bez grzechu w święta największe można było parę robrów z pożytkiem przegrać lub wygrać. Warszawiak od pierwszego posiedzenia byłby dał za wygraną Krzemieńcowi i Czackiemu, bo rad bardzo, że się raz już te szkolne czasy skończyły i swoboda bywania na każdej sztuce w teatrze niczem i nikim kępowaną być nie mogła. Ekonom wielką okazywał ciekawość, ale gospodarstwo większą widzenia jego miało potrzebę — gospodarz dotrwał na stanowisku, a Józio? Józiowi należy oddać sprawiedliwość, że umieściwszy się raz tuż przy wujaszku, pod ręką jego prawie, pilnował miejsca i słuchał z pocztewem zajęciem, chociaż dwaj z dobrými cenzurami koledzy znać mu dawali, żeby się do nich przybliżył.

No moi państwo, radzi nie radzi musimy bliżej poznać się z Wołyniem — rzekł pan Antoni na nowém posiedzeniu wcześniej zebrałym u siebie, bo jakaś wielka

tańcząca zabawa miała pociągnąć całe towarzystwo przed dziesiątą do sali bawialnej.

Zanim pan Antoni otworzył usta poważnie jak na historyka przystało, Józio wtrącił nieśmiało swoją uwagę, która pewien rodzaj loiki i słuszności miała za sobą. „Czyby wujaszek nie był łaskaw pójść już do pierwszej klasy na lekcye, czy na egzamin, a potem o Wołyniu i o królowej Bonie nam opowiedzieć.“

Może ty masz słuszność — ale tak jak tybys wolał, nie będzie; jakbyśmy weszli raz do pierwszej klasy, jużby nam stamtąd na prowincję wyjeżdżać nie wypadało, i wasan zbiegłbyś mi przed historią wołyńską.

Nie uciekłbym, proszę wujaszka — ale bym wolał już zobaczyć jak wygląda ta krzemieniecka pierwsza klasa, na którą tak długo czekamy....

Doczekasz się, rzekł wujaszek, ale musisz poznać piérwój Wołyń, bo to przeszliczna, bogata kraina, gdzie ludzie dobrzy, ziemia taka płodna, że te mazury na piaskach wychowane nie mają właściwie wyobrażenia, jak się obficie żyto i pszenica rodzić może.

Dla czego Wołyń nazywa się tak a nie inaczej, nie powiedział wyraźnie pan Stecki, z którego dzieła wyjmuję szczegóły o téj prowincyi — i ja wam nie powiem.

Już w czwartym i piątym wieku po Chrystusie, wojownicze plemiona Dulebów a następnie Wołyńców przywędrowawszy w te strony zaczęły się stale osiedlać, a gdy napiérali na nie gwałtownie dzikie hordy Awarów i Obrów, dla jakiej takiej obrony poczyniły sobie fortyfikacye niby z ziemi i gliny, nauczywszy się zaś więcej sztuki budowania, to i z kamienia. Po Awarach przyszli z Azji Chazarowie, po nich wreszcie w ósmym i dziewiątym wieku Normandowie Waragami także zwani.

Normandów wojownicze plemię, do rycerstwa zaprawione a więc do porządku i ładu sposobne, pobudowało tu pierwsze grody i zamki. Oni zapewne, bo przeciwnych że kto inny, nie ma dowodów, wzniesli potężny zamek na krzemienieckiej górze i osadzie nazwisko Krzemieńca nadali.

Ku końcowi dziewiątego wieku Włodzimierz Wielki Wareg, jak wiécie, bo was historii rossyjskiej nauczono już, wojownik dzielny podbił łatwo spokojnej natury, odpornie zawsze trzymające się plemiona słowiańskie około Drohiczyna, na Polesiu około rzeki Horynia (miejscowe przysłowie mówi: po Horyń Wołyń), nad Styrem, rzeczką dziś prawie bez wody i Bugiem osiadłe, a ziemi podbitej dał nazwę księstwa Włodzimirskiego. W naturze Waragów czy Normandów, pod jakim bądź nazwiskiem występowali i w jakim bądź czasie, choćby nam najbliższym, było, że co zagarnęli, to zaraz przezwali, aby prawdziwi właściciele i dziedzice już później do swjej własności dojść nie potrafili. Macie dzisiaj na przykład *Puławy* przechrzczone na *Nową Aleksandryę*, *Modlin* na *Nowo-Gicorgiewsk*, *Dęblin* na *Iwangorod*, szanowne i tak znane w historii do najpóźniejszych czasów *Wilno*, *Wilna* musi się nazywać, a *Częstochowa* *Częstochów*, *Piotrków*, *Petroków* itd. Do jakiego stopnia wydoskonalili tę sztukę przezywania i przekręcania nazwisk, Niemcy, praktykując ją od wieków, to już nas dziwić i gniewać nie powinno, ale raczej do litośnego śmiechu pobudzać. Włodzimierz tedy Wołyń księstwem Włodzimirskiem nazwał i natychmiast jako rzecz cudzą darował, jednemu z synów swoich. Rzeczy te w świecie i w historii dobrze znane, ale dziś więcéj jak kiedy utrzymują się we zwyczaju. Dziś skonfiskowany majątek jutro już staje się własnością na wieczne, jeśli wie-

czném co być może, czasy, jenerała, pułkownika albo nawet majora.

Bolesław Śmiały w 1073 w wyprawie na Kijów, obległ w Łucku księcia Włodzimirskiego, Ihora i hołdowniczym sobie uczynił. Odtąd różne koleje przechodząc ziemia ta odzyskała nazwę Wołynia i do polskiego państwa należéć zaczęła. W czasie wyprawy, jedne za drugimi padały miasta i miejsca warowne — a między niemi istnienie i zajęcie krzemienieckiego zamku zdaje się niewątpliwé. Zdobywcą jego na Rusinach miał być Mokosiej, jak świadczy przywilej Bolesława Śmiałego, temuż w posiadanie zamek oddający.

Jeszcze nowy dowód posiadania zamku przez Mokosieja podaje drugi przywilej znacznie późniejszy z roku 1504 — króla Aleksandra, bo rodzinie zapewnia zachowanie grobowisk przodków. Karamzyn historyk rossyjski za Cesarza Aleksandra I, wzmiankę czyni o samém mieście, jako już znaczącém, z powodu bitwy stoczonej w 1226 r. między królewiczem węgierskim Andrzejem i księciem Halickim Mściśławem Śmiałym. Od téj epoki spotykamy coraz częściej wspomnienia o zamku krzemienieckim i mieście samém, a wiek trzynasty przynosi już dowody nie tylko bytu ale i świetnego udziału w walkach z barbarzyńskimi hordami. Około roku 1240 nawiedzają dzielnice nasze, właściwe Mongoły pod wodzą Batego wnuka Dżengis-Hana. *Kijów*, *Kamieniec*, *Halicz*, *Włodzimierz* padają, jeden zamek krzemieniecki odpiéra zwycięsko wdzierającego się już na wały potężnego wroga; wówczas zamek z miastem należał do Daniela Romanowicza Halickiego. Drugi napad straszniejszy jeszcze Tatarów, w 1255 pod wodzą następcy Batego zamek odpiéra znowu. We wspomnieniach ludu przechowują się dotąd te wypadki — i pieśni smutne,

choć zapewne później utworzone, świadczą o rzetelności tych dziejów.

Przyszła na koniec najstraszniejsza burza, a z nią stanowcza klęska: bitwa nad Skałą 1260 r. poddaje książąt ruskich pod władzę zwycięzców: Wołyn ze wszystkimi grodami i warownymi miejscami sam burzyć musi te zamki na obronę swą wzniesione i zamek krzemieniecki poświęca temuż samemu losowi. W dwóch pierwszych napadach, kiedy się zamek utrzymać potrafił, mówi o zamordowaniu okrutnym od Tatarów w Krzemieńcu, dwóch błogosławionych zakonników reguły Św. Franciszka, Gerarda i Morgwilda.

W początkach czternastego wieku (1320 r.) Wołyn i Ukrainę dzisiejszą z Kijowem zdobywa Gedymin, Wielki ks. Litewski, a niedługo potem i Krzemieniec, lubo ten chwilowo, przechodzi pod panowanie Litwy i dostaje się jednemu z synów Gedymina. Panowanie Litwy nad temi prowincjami bezpośrednio lub w połączeniu z Polską zachowało dotąd pamięć jej tak niezatartą, że koroniarz nie umie odróżnić Wołynia i Podola od Litwy i każdego z prowincyi tych przybywającego nazywa Litwinem, nie wiedząc, że w części prawdę mówi historyczną, która zatrzymała się w podaniu i obyczaju.

Kazimierz Wielki kiedy Wołyn zawojował, zastał w Krzemieńcu Lubarta. Wiadomo, jeśli to z pamięci waszej nie wyszło jeszcze, że Kazimierz miał córkę Gedymina za żonę; mniej zapewne wiadomo, że Bolesław Piastowicz książę mazowiecki, przez spadek po matce księżniczce ruskiej, panował na Czerwonej Rusi. Otóż książę ów otruty przez bojarów umiera w stolicy swej, we Lwowie 25 marca 1340 r. Śmierć ta daje Kazimierzowi podwójne prawo do spadku: albowiem tak on jak Bolesław Mazowiecki mieli córki Gedymina za żony. Widzicie tedy,

że owa Ruś Czerwona, którą jeszcze Bolesław Śmiały zhołdował dla korony polskiej, przechodzi teraz i prawem spadku i prawem oręża pod panowanie Kazimierza, który w jednej wyprawie 1340 r. zdobywa Lwów i w drugiej tegoż samego roku dokonanej zagarnia ziemie: Przemyślską, Sanocką, Lubaczowską, Halicką, Trębowelską aż po Krzemieniec. Trzecia wyprawa 1346 r. posuwa zdobycze dalej jeszcze, i między innemi Krzemieniec dostaje się pod straż Starostów polskich. Pomiedzy tym rokiem a 1366 ziemia Wołyńska i Krzemieniec to pod Litwy, to pod panowanie Polski przechodzi, aż ją Kazimierz stanowczo w posiadanie bierze i siostrzeńcowi swojemu Aleksandrowi Koryatowiczowi oddaje, zachowując przy sobie prawo zwierzchnicze.

Nie koniec tym przewrotom i nieustającym zmianom panów; jeszcze ku końcowi wieku w 1377 r. — poznał Krzemieniec węgierskich żołnierzy, i wkrótce po nich dawnego pana, Lubarta, który przekupił starostów węgierskich i wszedł w posiadanie Krzemieńca roku 1382. Znowu walki i znowu zmiana panującego, bo ziemia piękna i bogata. W 1396 r. Witold samowładnie tu na zasadzie ugody z Władysławem Jagiełłą bratem stryjecznym, — rządzący, ustanawia w osobie Dymitra Korybuta władzę. Zapewne położenie szczęśliwe i dobrze obwarowany zamek wabił Witolda, bo często tu przebywa — a w 1421 r. bawi nawet dłużej i przyjmuje poselstwo, raz Pskowskie z posadnikiem Sylwestrem, drugi raz sławnego Gilberta de Lannois podróżnika, wszystkie zakątki ziemi zwiedzającego, a przybyłego na zamek krzemieniecki od Karola VI króla Francyi i zięcia jego Henryka V króla Anglii. Gilbert sprawiał w tym samym czasie poselstwo do Krzyżaków, do Jagiełły i do Sultana.

Autor, z którego te szczegóły czerpiemy, opisuje dokładnie bardzo wspaniałe uczty na zamku przez Wiktolda dawane i wylicza bogate dary w futrach i pieniądzech posłowi ofiarowane. Pamięta zamek krzemieniecki Swidrygiełłę, więzionego w nim przez lat ośm z rozkazu Jagiełły za zmwowę z Krzyżakami.

Tym sposobem do czasów Unii 1569 r. Wołyń i jeden z najwarowniejszych grodów jego, Krzemieniec zostają raz pod panowaniem wyłącznym Litwy, drugi raz pod panowaniem królów polskich, czy jako panów wszystkich ziem w jedną całość połączonych, czy jako wielkich książąt Litewskich. Zygmunt I jako król był wyłącznym panem ziemi całej i zamku, — Kazimierz Jagiellończyk, oddał je w posiadanie lenne potomkom Mokosieja; jeden z rodziny tej, Denis ustąpił znowu praw swoich Kazimierzowi Jagiellończykowi za odpowiednie nadanie i przywileje i podług Niemieckiego, rodzina Denisków posiadająca od niedawna jeszcze obszerne majątności w okolicach Krzemieńca, prawnie od owego Denisa się wywodzi. Najsrońsze napady, spustoszenia i rzezie od Turków i Tatarów na miasto i okolice, przypadają na lata 1497 i 1500 — za Jana Alberta.

Zygmunt I oddał miasto i zamek Januszowi z książąt Litewskich, biskupowi Wileńskiemu, który w 1533 roku wyjednał przywilej u króla, aby się miasto rządziło prawem magdeburskiem, jak wiele miast polskich większych i mniejszych, który przyczynił się wielce do wzmocnienia zamku i podniesienia miasta. Z jego polecenia zbudowano oddzielny dom dla załogi zamku, wzniesiono jedną basztę przy wjeździe, drugiej od strony miasta założono fundamenta, on chciał także zaopatrzyć warownię w wodę i na ten cel wykopano studnię 40 sążni głęboką; wody jednak jak mówią nie dokopano się

i dla bezpieczeństwa kazano kamieniami zarzucić. Studnia ta do dziś dnia istnieje, bajecznie głęboka, a Bóg raczy wiedzieć, czy z wodą czy bez wody. Niebyło jednego ucznia w Krzemieńcu, któryby po przybyciu do szkół, przy pierwszej sposobności nie obejrzał tej studni słynnej tysiącami strasznych bajek, które i ciekawość budzą i przerażają. Każdy tu choć zdaleka swój kamień dorzucał i słuchał pilnie jak długo spada, nim się o dno uderzy. Przystęp tu i trudny i niebezpieczny; spadziste zejście, zielskiem zarosłe zdradnym stać się może i jest podobieństwo, że kiedyś przed wiekami jaki śmiałek ciekawość swą życiem przypłacił. Jednak o tych przypadkach tylko mówią, ale pewności ich i czasu, kiedy się zdarzyły, nikt nie podaje.

Ostatecznie w roku 1536 Zygmunt Stary oddał Krzemieniec i starostwo doń należące żonie swojej Bonie, z obowiązkiem poprawiania warowni i utrzymania załogi. Otóż stąd dopiero zaczyna się pewna i mieszana z niepewnością tradycja, — stąd wiara ludu, że tu królowa Bona przemieszkiwała, stąd i nazwisko góry od tej królowej. Ilu było poetów mniejszych i małych zupełnie, a szkoła liczyła ich wielu, którzy do potomności imion swych nie podali, każdy górę opisywał, to dumą, to legendą, to w końcu, jak dał przykład Mickiewicz pisania sonetów, więc i sonetem. Góra niezbyt wysoka, a lochami podziemnymi i studnią straszną rozslawiona, wysokiego natchnienia nie zdołała obudzić, ale marzenia budziła ciągle i studenckie głowy do rymów wabiła.

Przez lat dwadzieścia, miasto, zamek i starostwo krzemienieckie, aż do 1556 r. zostawały w posiadaniu królowej Bony, która ze swego ramienia przysyłał rządców, jako Stanisława Falczewskiego i Feliksa Hercyka; oni też do wzmocnienia i rozszerzenia murów warownych

wiele się przyłożyli. Mieszczaństwo zawdzięcza królowej liczne przywileje, z wdzięczności tedy dla dawczyni zamek i góra nim uwieczniona jęj dotąd nosi imię — jakkolwiek monarchini nigdy tu nieprzebywała — i wszystkie nadania datowane są z Krakowa albo Wilna. Wymienię najważniejsze tylko: założenie kościoła farnego pod górą w 1539 r. — który następnie oddany został OO. Franciszkanom, od 1830 na cerkiew prawosławną zamieniony; szpitala w 1546 r. — z uposażeniem dwoma łanami, na których powstała wioska, *Bonówka*, do dziś istniejąca; inne przywileje miały na celu podniesienie dochodów miejskich, — miasto zaś tak często, a peryodycznie burzone i palone w czasie napadów dziczy lub wojen domowych, wdzięczne było za te nadania.

Lustracya w 1555 r. odbyta, znalazła na górze królowej Bony dwa mosty, groblą od strony wschodniej 176 sążni długą a cztery szeroką. Wysokość góry mierzyła się wówczas w ten sposób, że najsilniej wypuszczona strzała do połowy jęj nie dochodziła.

U wjazdu do zamku był most mniejszy, rzucony na przekopie, a na łańcuchach zwodzony; broniła go baszta sześcią działami uzbrojona. Wszystkich w ogóle dział na trzech basztach zastała wspomniona lustracya 29. Pod basztami istniały podziemia głębokie i obszerne, lochami u miejscowych nazywane — z przeznaczeniem na skład zapasów zamkowych. Lustrator po obejrzeniu wszystkiego zeznaje, że nietylko Łuck i Włodzimierz, ale dziesięć innych takich zamków razem wziętych, nie posiada tyle co Krzemieniec środków i materyałów do obrony. Wszystkie wsi i majątności krzemienieckiego powiatu, miały swoje na przypadek napadu albo wojny, schowania, horodniami zwane. Zamek w obrębie swoim miał młyn o sześciu stępach na sposób niemiecki

urządzony, do robienia prochu, — które jeden człowiek mógł poruszać; posiadał nadto tak zwane po dzisiejszemu *wodociągi*, sprowadzające wodę deszczową do murywaney cysterny — rzecz wielkiego znaczenia dla warowni w czasie dłuższego oblężenia.

Nie podaję wam szczegółów odnoszących się do innych okolic ziemi wołyńskiej; — liczba ich zbyt wielka, a każda ma swą bogatą i bolesną zarazem historią. Niezby o Ostrogu, o Łucku powiedzieć należało. — Ograniczam się tylko na Krzemieńcu i nieodłącznej od niego górze zamkowej. Koło tej góry była inna od północnej strony; uważana zdala, bardzo wysoka, nawet wyższa od Bony, *Czernczą* zwana, że Czerncy (mnichy) tam jakoby przed wieki mieszkali; śladu tego jednak żadnego niema, bo ani gruzów, ani podania. Spiczastość *Czernczy* łudziła oko, prawdziwa jęj małość wykazywała się z wierzchołka Bony, która wyniosłością swą i rozłożystością zdumiewała studentów, którym w tym wieku łatwo wszystko wielkiem się przedstawia. Innych gór nazwiska najrozmaitsze: jedna łysa, druga wołowica, inna jeszcze inaczej — a każda przywodziła na pamięć najmilsze wspomnienia dla uczniów, gdzie w dni rekracyjne, gonitwy, gry w piłkę odbywały się. Miasto całe zewsząd otoczone górami i samo choć w dolinie, to nierówniej, tak że jedna ulica względem drugiej górą lub doliną istotnie była.

Jeszcze kilka szczegółów o zamkowej górze. Zamek na szczycie miał obwodu wewnątrz siedmdziesiąt cztery sążnie a trzydzieści trzy szerokości; — mur otaczający go nie jednakowych był wymiarów, dwa, trzy i więcej czasem sążni, most u bramy 132 łokci długości — dziewięć szeroki. Na zamku stała niegdyś cerkiew św. Mikołaja fundacyi Gabryela Deniskowicza.

Najwięcej przywilejów otrzymało miasto z rąk Zygmunta Augusta, między innemi, jeden dziedziczny w linii męskiej Teodora Hrehorowicza Nowosiłskiego, urząd wójtoski w 1568 piastującego. Po nim przeszedł on w domy: Mysłowskich, Malinowskich, a w końcu już za Stanisława Poniatowskiego na Józefa Paulina Sanguszkę marszałka W. X. Litewskiego.

W podaniach ludu i aktach grodzkich miejscowych przechowuje się pamięć straszliwej miasta i okolic przeszłości.

Za Jana Kazimierza, wśród klęsk powszechnych, Krzemieniec doświadczył jednej ze straszniejszych, buntu Bohdana Chmielnickiego; skutki tego buntu, mianowicie po klęsce korsuńskiej, dotknęły straszliwie Wołyń, a szczególnie Krzemieniec. Sławny Krywonos niszczył i mordował na Wołyniu a z oddziału jego pułkownik Dziewałow na czele 7.000 tłuszczy w 1648 — uderzył na zamek, długo opierający się, wreszcie zdradą zdobył; wszystkie horodnie zrabowane, zapasy wszelkiego rodzaju uwieszone, a zbójcka zgraja goszcząc na zamku rozpuszczała zagony przez dziesięć tygodni po okolicznych włościach i mieście, znacząc je najohydniejszymi zbrodniami.

Dzieje tych gwałtów opisane i занiesione do akt Grodzkich — 8 Czerwca 1649 r. — i 22 Lutego 1650, przez księży Franciszkanów. Tu koniec historycznego i politycznego znaczenia Krzemieńca jako miasta rzeczypospolitej.

Do wspomnień pomyślności i chluby należą:

W 1617 r. młody Władysław syn Zygmunta III jadąc do Moskwy, tu się zatrzymał, a jako król już w r. 1642 — udarował przywilejem zrównyrującym Krzemieniec z innemi koronnemi miastami; — za panowania

tegoż króla powstała tu pierwsza drukarnia ruska (kirylicą) i pierwsza książka, gramatyka słowiańska tu drukowana.

W 1651 r. 14 Lipca przybywa tu po bitwie pod Beresteczkiem Jan Kazimierz zachęcając szlachtę do ścigania kozaków. Za Michała Wiśniowieckiego, pod Krzemieniem pobici Tatarowie przez odważnego pułkownika Piwo. W czasie bezkrólewia w 1733 r. Michał Potocki, W. Woł. poraża na głowę napastników i 1500 kładzie trupem.

Stanisław August w 1781 r. 15 Października jadąc do Wiśniowca, przyjmuje tu wspaniałą ucztę od szlachty, zwiędza pieszo potężny niegdyś zamek, a nazajutrz okazałe gmachy szkolne w kolegium jezuickim.

Śród nieustających klęsk wojennych nigdy miasto nie miało czasu zagospodarować się, pobudować; — co jeden dzień, rok przysporzył — to drugi natychmiast zniszczył i spalił. Jedyna świetna i pomyślna dla dobrobytu mieszkańców epoka była w czasie istnienia. Gimnazjum a później Liceum i licznych zakładów od 1805 do 1832 r. — Dziś ledwie cień tego pozostał, i bolesne wspomnienie po murach innego niegdyś znaczenia gmachów publicznych. Wyliczę wam te gmachy, i po kilka słów dodam o początku każdego, — kto zaś ciekawszy szczegółów może je z akt miejscowych zacerpnąć a nawet z monografii już istniejących.

Kościół i zabudowania ogromne przy nim jezuickie wzniesli około 1720 r. książęta Wiśniowieccy Michał i Janusz: w zabudowaniach trwale i kosztownie postawionych, mieściły się szkoły przez toż zgromadzenie Jezuitów utrzymywane, następnie szkoła niższa powiatowa, dalej gimnazjum, w 1819 r. Liceum, dziś na koniec seminarium prawosławne mieści się.

Kościół pierwotnie drewniany i parafialny fundacji królowej Bony, — przez Franciszka Szyszkowskiego biskupa Łuckiego na témże miejscu odmurowany i zakonnikami reguły Śgo Franciszka osadzony. Pierwsza fundacja 1539 r. druga na 1607 przypada — dziś prawosławna cerkiew.

Kościół Reformatorów na przedmieściu, fundacji Stanisława Potockiego wojewody poznańskiego w 1760 r. oddany następnie Bazylianom, kiedy mury ich jako stylizujące się a przynajmniej bliskie pojezuickich gmachów przeszły na własność gimnazjum, a w szczególności szkoły mechaników; dziś także cerkiew prawosławna.

Mały kościółek OO. Trynitarzy, później skasowany i nabyty przez rodzinę Drzewieckich zamieniony na magazyn wojskowy.

Za moich czasów wszystkie te mury z największą troskliwością utrzymywane przez swych właścicieli stanowiły moralną niejako całość między sobą. Do każdej wieżyczki, wieży i gmachu chętnie przylegało serce mieszkańca, mile spoglądało oko. Do Bazylianów często na nabożeństwo chodziliśmy, Bazylianie w dni oznaczone spowiadali nas, bo księża licealni wzywali ich z całym zaufaniem i przyjaźnią o tę pomoc w sprawach religijnych; u Bazylianów najgustowniej grób był ubierany na wielki piątek; a piękność ta zależała na bijącej fontannie wśród traw zielonych i kwiatków z ogrodu licealnego zapożyczanych: u Bazylianów organ na chórze należał do lepszych w całym naszym mieście: tu i prawosławni mieszczanie garnęli się zwykle na nabożeństwo. Bazylianie wreszcie Poczałowscy posiadając cudowny obraz Matki Boskiej w kościele, słynęli jako pobożni bardzo kapłani i srodzy bardzo w szkołach swoich nauczyciele. Czy świątobliwość czy srogość, wszystko dobrze przyjmował

lud wszelki pokorny a pobożny — i w uroczyste dni odpustu Poczałowskiego kościół niezmierniej obszerności nie mógł objąć w swoich murach dziesiątków tysięcy schizmatycznego ludu, który mijał cerkwie swoje a rad u Bazylianów pomodlił się szczerze. Dziwny to był stosunek wyznań tych; schizmatyk popa swojego nie lubił, nie ufał mu, nie szanował go — a do unickiego księdza, do Bazyliana tulił się i garnął z ufnością. Dla tego kościółek Bazylijański tak był miłym wszystkim nam studentom, czy nie studentom.

Uważcie to dobrze moi państwo, jak to ważny objaw, na owe czasy, kiedy nie tylko nie było zawiści między duchownymi i wyznawcami rzymskiego i greckiego, zawsze jednak katolickiego obrządku, ale nawet wyznawcy prawosławnej cerkwi w katolickiej owczarni uznawali wyższość, z tęsknotą ku niej lubo skrycie wyciągali ręce. Cóż się to dzisiaj dzieje, jakże to dziś patrzą na siebie, nie już schizmatycy i katolicy ale katolicy prawdziwi dwóch tylko pozornie różnych obrządków. Pamiętam fakt jeden, który z żalem najgłębszym, że to już do przeszłości należy, powtórzę państwu. Oto nieżyjący od lat wielu, można więc wspomnieć nazwisko człowieka i nie narazić go na prześladowanie, ksiądz prawosławny Cichocki, protojeriej, potulny bardzo a umiarkowanej natury człowiek, chociaż przysłany był, jako rosyjanin w charakterze postrzegacza politycznego ducha szkoły, w charakterze tym nie działał, za wołynianina, a więc za polaka chciał być uważanym. Wykładał on język rosyjski w czterech niższych klasach, wówczas już bowiem pod wpływem Nowosilcowa i rektora Uniwersytetu Wileńskiego, Pelikana, wszystko coraz jawniej ku gorszemu zmierzało, i szkoły zaopatrywać zaczęto w skrytych dozorców, rządowe oko zastępujących, więc

w popów nauczycieli do jednego przynajmniej przedmiotu. Na lekcjach jednak Cichockiego nie czuliśmy jeszcze, że nas prawosławny ksiądz nauczał, bo wykład był polski i rozmowa polska. W masie wierszy, których uczyliśmy się na pamięć, był jeden patryotyczny, *Oda* do Kutozowa pogromcy francuzów. Otóż ustęp spotwarzający wojsko polskie, kazał nam Cichocki opuszczać, usprawiedliwiając to zalecenie argumentem, bardzo uczciwym; „nie godzi się, abyśmy sami na siebie, mówili brzydkie rzeczy i niesprawiedliwe — przecież my tu wszyscy polacy — tak czegoż nam łajać siebie“ autentyczne słowa prawosławnego popa. I takie błogie dla nas usposobienie wielu istotnie z prawosławnego duchowieństwa w prowincjach ruskich, tyle dobrej woli i dobrej wiary w niwecz się obróciło! praca szkoły krzemienieckiej takimi owocami uwieńczona ulegała nie raz krytyce pierwszorzędných pisarzy, których o brak patryotyzmu, o brak uczucia i talentu pomawiać nie można, brakowało im tylko na razie, dla osobistego interesu, sprawiedliwości.

Za rektoratu Pelikana zrodziła się już była myśl cichój propagandy prawosławia i cichego nadzoru nad niebezpiecznym polskim duchem: ksiądz Cichocki nie chciał tego posłannictwa zrozumieć, inny duch owiał go w towarzystwie nauczycieli pocziwych, pocziwój, serdecznój, polskiej młodzieży.

Nie raz jeszcze wspomnieć mi wypadnie o duchu panującym w gronie nauczycieli i uczniów, bo ten właściwie duch głównie obok nauk porządnie wykładanych stanowił i wartość i wyższość szkoły nad inne współczesne polskie. Żeby panów nie nużyć historycznemi wspomnieniami, na koniec dopiero zachowuję sobie kilka słów objaśniających: — jak powstało gimnazjum, jakiemi

środkami rozporządzało i skąd je potrafiło wynaleźć: teraz zaś ponieważ widzę, że Józio i młodzi jego koledzy radziby mię zobaczyć jak najprędzej na ławkach pierwszej klasy, po tém uroczystém otwarciu Liceum wołyńskiego, więc wracam do wypadków, które właściwie do historii życia mojego jako ucznia, należą.

Pierwsza klasa.

Nie budzony, nie upominany o wczesne wybranie się na mszę i do klasy wstałem bardzo rano, opatrzyłem swój mundur, czy ten sam i taki ładny jak wczoraj, guzikom dodałem połysku, nie wiem już jakim sposobem. Zmówilem nie jeden ale kilka paciérzy, aby mi się powiodło pierwsze spotkanie z profesorem łaciny i polskiego; śniadania jeść nie mogłem, chociaż apetyt nigdy mię o żadnej porze dnia nie zawodził, i żeby się nie spóźnić — wyszedłem na dziedziniec przysłuchiwać się pierwszym uderzeniom dzwonka, który jak państwo powinniście pamiętać, zwał się sygnaturką. Wybiła siódma na licealnym zegarze, w téjże chwili sygnaturka się ozwała i dreszczem mię głos jój przejął. Posłuchawszy krótko tych dźwięków znaczących, wróciłem do mojej izdebki, do której na stałe mieszkanie przyjął mię był w pierwszym dniu instalacji najserdeczniej dziadzio; zebrałem wszystkie książki, jakie tylko w bibliotece mojej miałem — żeby być gotowym na wszystko i wyszedłem znowu na dziedziniec oczekiwać uderzenia w dzwon duży. Za bramą domu naszego mieszkali

uczniowie różnych klas ze swoim dozorcą, pod którego opieką udać się miałem do szkoły tak dawno upragnionej, marzonej, która dziś wreszcie była już moją, ja rzeczywistym jej uczniem, uczniem Krzemieńca. Odtąd cokolwiek kto pochlebnego mówić będzie o Krzemieńcu, część zaszczytu i pochwał na mnie spadnie. Sygnaturka wydzwoniła swoje i dzwon duży zabrzmiał, a mnie znowu trwoga ogarnęła; ale nie ma czasu na uspokojenie, — trzeba iść i pobiegłem szybkim krokiem za bramę. Tam koledzy moi już stali przygotowani, nie tak wprawdzie strwożeni, nie tak niespokojnie wyczekujący tej stanowczej chwili, — bo dla nich te dzwony i dzwonki po raz setny uderzały. Wyszedł i dozorca, młodzieniec może szesnastoletni, z pierwszego kursu uczeń medalowy. Uczeń, a taki poważny, zamysłony; młodszą drużynę swoją uszykował przed sobą, mnie obok siebie iść kazał — i była gromadka wszystkich nas z dozorcą sześciu, gdyśmy ruszyli z miejsca. Nie daleko było do gmachu licealnego, bo miasto, choć bardzo rozrzucone, przecież razem wzięwszy nawet z przedmieściami, gdzie dosyć młodzieży po małych domkach mieściło się, odległości większych nie miało, jak dziesięć do dwunastu minut drogi. — Droga, jak powiadam, niedaleka; jedna ulica, druga króciutka, trzeci szerokość tylko do przebycia i przez furtkę na dziedzińce szkoły mechaników, trzech różnej pochyłości płaszczyzny, tak, że z jednego na drugi po kilkudziesięciu schodach środkiem gmachu i korytarzy jego przechodząc, wyszliśmy na płaszczyznę koło skromniutkięj, ledwie widocznej prawosławnej cerkwi, na Karuzel. Miejsce obszerne, baryerami otoczone, na którym w dni rekreacyjne grywaliśmy w piłkę; i znowu przez dziedziniec koło cerkiewnych dzwonów, wrzaskliwie w ówczas wła-

śnie rozbijających się, z powodu jakichś imienin kogoś z cesarskiej rodziny — i już po schodach znowu kilku, i jeszcze furtką byliśmy na rynku głównym, na który kościół i gmachy licealne z góry poważnie poglądały. W drodze z różnych stron przybywały nowe grupy, po trzech, czterech i więcej uczniów; — wszystkie z pewną szykownością i ładem żwawo się posuwały, a w żadnej najmniejszej niesforności, hałaśliwości niedojrzałości i niedosłyszano najsurowsze ucho i oko. Przed kościołem na dolnej galeryi było nas już kilkudziesięciu, i dalej i dalej gdzie okiem rzucić, rola się młodzież i znikła w załamach kilku oddziałów jednej przykościelnej galeryi i znowu wypływała na górnej u drzwi kościoła. W kościele grupy te bocznemi nawami lub środkową dzieliły się inaczej podług klas i zbierały na przeznaczone sobie miejsca. Moje miejsce było najdalsze od drzwi kościoła, przed kratkami prezbiterium.

Jak już państwo wiecie, pierwsza klasa stała najbliżej wielkiego ołtarza, trzeci kurs blisko drzwi wchodowych. Na przebywaniu tych wszystkich stacyi po kolei, ubiegały zwolna piękne dni życia młodzieńczego; każdy krok okupywał się praktyką cnoty i pracy, przepłataną rozrywką, marzeniami, nieraz smutkiem krótkotrwałym i tuż za nim serdeczną radością. Zwracało się z utęsknieniem oko dziecka na szeregi starszych towarzyszy, starsi z zadowoleniem, z dumą pewną poglądali na dziatwę, radzi, że przebyli już tyle stacyj i zbliżyli się do świata.

Nie wiem kto, bo już dozorcę chwilowego straciłem z oczu, postawił mię w pierwszym szeregu. Każda klasa miała kilku, których brak zdolności a czasem próżniactwo zatrzymuje na drugi rok w tej samej sali: ci nowicuszów uczyli porządku, przyjęty obyczaj wskazy-

wali. Ruchy dziatwy pierwszej klasy były z początku niezręczne, niewyrobione, jako przybylców z domu lub z innej szkoły. W domu obyczaj inny a w szkole inny. Z innej nawet szkoły uczniowie nim się obyli z miejscem, lekkością śmieszyli dawnych krzemieńczan i parę miesięcy pierwszych dotkliwie żarty i upokorzenia za swą parafiańszczyzną znosić musieli. Msza wyszła, księdzka Kulikowskiego poprzedziło dwóch uczniów starszych w komeszkach; organy wraz z śpiewem chóralnym zabrzmiały, i cichy szmer powszechniej modlitwy pokryły.

Obejrzałem się po chwili na kościół nie z lekko-myślności ale z ciekawości, i ujrzałem cały wypełniony szeregami równymi przed i po za ławkami a nikogo w ławkach. Na ranną mszę studencką w dni powszednie mało kto przychodził: pod amboną tylko siedział emeryt Ści-borski, a przy drzwiach daleko zdało mi się, że dojrzał prefekta. Obejrząc się w kościele, zdaje się rzecz zwyczajna, niezdrowa, uczułem jednak, że nim rozpa-trzyć się mogłem, gdzie kto siedzi lub stoi, że mię ktoś zlekka pociągnął za poję; zwróciłem się niechętnie do napastnika — a ten rzekł pocichu: „nie wolno się oglą-dać, weź książkę i módl się.“ Wdzięczny byłem za prze-strogę, bo nieradbym był przewinąć na wstępie samym i mimowoli — ale książki do nabożeństwa nie miałem i modlić się nie mogłem: odpowiedziałem tedy w pro-stocie ducha, że niemogę czytać, bo nie mam na czém — „to mów paciérz, a nie gadaj i nie oglądaj się.“

Już mi téj nauki było dosyć — robiłem odtąd jak inni robili, żegnałem się jak oni, klękałem, schylałem się i powstawałem uważając pilnie na drugich — a drża-łem, czy mię jaka kara podobna do znanych mi w szkole ewanielickiej, nie spotka za to oglądanie się po kościele i nieczytanie na książce. Skończyła się msza, ilem

potém obliczył, że dwadzieścia dwie lub trzy minuty. Od pierwszego odgłosu dzwonka przy ołtarzu do osta-tniego po *Pater Noster* klęczeli wszyscy i modlili się uważnie; resztę części mszy stali w swoich ordynkach nie niemówiąc do siebie. Po przeżegnaniu ruch jak w każdym kościele; zbierano z posadzki książki i kajeta, otrzepywano czapki i chustki, któreśmy dla ochrony klę-cząc podkładali, — i w jednej chwili znowu wszystko uci-chło do wyjścia gotowe. Porządek już wam wiadomy: — klasa za klasą w pewnych odstępach, aby się godności różne nie mieszały z sobą, — największy między kur-sami a klasą czwartą. Na kursach to sami wielcy ludzie, z tamtych szeregów wychodzą dozorczy domowi z taką prawie władzą za szkołą jak profesorowie w szkole, tam Uldyński historią wykladał a uczniowie sami sobie z no-tatek własnych kurs wyrabiają bez pomocy książki; — tam algebra, fizyka, literatura polska, ekonomija poli-tyczna, prawo itd. — słowem takie mądre rzeczy, że o nich klasista ani słyszeć ani rozumieć nie może, a do tych wszystkich nauk choć wielkie, uczniowie sami przygo-towują sobie skrypta podług wykładów nauczycieli — nie z książki, — wszystko z głowy i uwagi uczniów! Kursu więc w większym odstepie od klas, ale także w ordynku iść mu-szą, a każdy i wszyscy koło prefekta przechodzą i z jego wzrokiem się spotykają. Zaledwie pierwsza para znikła w korytarzu, ozwał się chrapliwie dzwonek szkolny na wieży, ów sławny po wszystkie lata, na lekcye, na po-grzeby i na majówkę wzywający jednym zawsze przeraźli-wym głosem. Sala pierwszej klasy najbliżej drzwi bocznych kościoła — jestem już w niej pierwszy prawie. Wszyst-kiego od razu widzieć i zrozumieć niepodobna, właści-wie niewiem na co spojrzeć pierwój, choć nie wiele w każdej klasie jest do widzenia. Jedna rzecz przecież

inna, jak u nas na Królewskiej ulicy; — sala duża i bardzo wysoka a sufit wypukły jak w kościele. Stałem wpatrując się gapiowato może w ten sufit wypukły, gdy mię ręka jakaś za ramię bierze i z podziwienia wyrwa. Pan inspektor, urzędownie nazywany, a w naszym języku pedel, przy szpadzie i w mundurze biorąc mię łagodnie za rękę i prowadząc mówi — „nie stawaj waspan a idź do ławki, bo zaraz przyjdzie pan prefekt, — nie wolno stawać na środku.“ Znowu nie wolno — wszystko, wszystko nie wolno! Pierwszy raz to usłyszałem, gdy m zrobił wycieczkę na górę zamkową, drugi raz małe powiedział, że się oglądać w kościele nie wolno, a teraz mówi jakiś jegomość przy szpadzie, że na środku klasy stać nie wolno; za wiele tego niewolno; — czy tak ma być wszędzie i zawsze? nie: bywały chwile wolności kiedyśmy sobie tę niewolę powetować mogli: dni i godziny rekreacji.

Zczasem trzeba się było pogodzić z tą zasadą i nauczyć się raz na zawsze: że każde miejsce, godzina każda ma swoje prawa, których porządny uczeń, następnie dojrzały człowiek nie przekracza: rzecz niewinna w domu, zdrożną bywa w szkole, w kościele itd., dozwolona na rekreacji, zabrania się w klasie.

Poszedłem, zaprowadzono mię raczej do ławek i posadzono w pierwszej, po prawej ręce od katedry: stona ta nazywała się w języku szkolnym dobrą, albo prawą — przeciwna lewą, albo złą. Już obok mnie, za mną i przedemną we wszystkich w ogóle częściach sali posiadali uczniowie i wrzawa przy wejściu sprawiona prędko ustała. Nie miałem czasu obejrzeć się po klasie, poznać i wymierzyć okiem ję wielkości, gdy wszedł pan prefekt, mężczyzna bardzo przystojny, wysoki, w mundurze zgrabnie ubierającym całą jego wyniosłą postać, przy-

szpadzie; te szpady profesorskie zachwycaly mię niezmiernie. Ustąpił na bok inspektor czyli pedel, drzwi za panem prefektem niezamknięte zostały i dziatwa zmieszana, to się tuliła ku sobie, to wstawała lub siadała, nie wiedząc rzetelnie co począć ję wypada: prawdziwe rekruty na pierwszej mustrze. Pedel uspokoił zamieszanie, zbliżając się na palcach do jednej i drugiej strony ławek, i szepcąc zcicha, „wstańcie waspanowie“ aż waspanowie powstali. Prefekt nieuważał niby roboty tęg pedela, zbliżył się ku nam stojącym, zlekka kiwnął głową tak, że można to było wziąć za ukłon czy powitanie, albo rzucone oko po klasie dla obejrzenia świeżo wyglądającej, czysto a ładnie ubranęj młodzieży: — i przemówił dźwięcznym niezmiernie, basowym głosem w te mnię więcej słowa: „Lekcyje rozpoczynają się od dziś; rano będziecie panowie mieli język łaciński, polski i religią, — po obiedzie od 2 do 4 artymetykę i rosyjski; plan na cały tydzień macie wywieszony przy wejściu do gmachu za kratkami. Msza odprawia się co dzień o w pół do ósmęj, — każdy z panów powinien mieć książkę do nabożeństwa, książki szkolne przepisane, nie spóźniać się na mszę, w czasie mszy stać albo klęczyć, jak wam ksiądz kapelan wskaże, nie oglądać się po kościele; w czasie lekcyi siedzieć spokojnie, uważać, nie odzywać się aż pan profesor wezwie, po lekcyi wychodzić z klasy przyzwolicie, bez wrzawy, parami i czekać przed gmachem na swoich dozorców (drugie o wymówił jak u, trzecie jak o, — (i to zdawało mi się nie bez znaczenia, bo tu wszystko coś znaczy i na wszystko uważać każą); o trzy kwadrans na 2gą dzwonek szkolny da wam znać, żebyście szli do klasy.“ Wypowiedziałszy to wszystko zwolna, dobitnie i poważnie bez groźby i miękości w głosie — obrócił się do jednego z uczniów

starszych, który dla utwierdzenia się w nauce na drugi rok pozostał i rzekł: „Panie Stefański! nazwisko nie historyczne, ale dla mnie niezmierniej wagi — bo to tak zwany cenzor, dozorca porządku w klasie, mój dobrodziej, który mię objaśniał jak się mam zachować, jak mówić, jak stać; otóż rzekł pan prefekt: Panie Stefański, spisz waspan uczniów i utrzymuj dziennik porządku”; co znaczy porządku, Stefański już wiedział, jako drugoletni uczeń w tej samej klasie. To rzekłszy skłonił się wyraźniej jak na początku i z powagą, jakiej dotąd nie widziałem, o jakiej dotąd nie miałem wyobrażenia, wolnym krokiem wychodził mówiąc coś ciszej do pedela, który szedł za nim nie śmiejąc zbliżyć się na równą linią. Po wyjściu tego dygnitarza, objął władzę nad nami Stefański i kazał nam usiąść i siedzieć cicho, nierozmawiać — bo rozmawiającego zapisze. Pan prefekt zdawał mi się tak groźny i tak potężny jak Wielki książę Konstanty w Warszawie, o którym słyszałem, że go się tam wszyscy okrutnie bali, że uciekali, kiedy z daleka dał się słyszeć głuchy turkot jego powozu, że wszystkich strasznie łajał i brał do kozy. Tylko przed księciem uciekali, aby go nie widzieć, bo miał być nie tylko bardzo srogi i okrutny, ale i niezmiernie brzydki; przed tym naszym panem, choć był groźny na pozór, uciekać nikt niepotrzebował, jeśli się we wszystkiem zachował jak należy, aże miał rysy twarzy piękne i wzrost wspaniały, oko nasze chętnie się zwracało ku niemu. Co się stało z prefektem, jak od nas wyszedł, gdzie i co do kogo potem mówił tym samym dzwięcznym basowym głosem, który mię zachwyił, nikt nic nie wiedział.

Świat ten szkoły naszej tak był ogromny, tak rozległy, że w czasie lekcji żadne nie dochodziły nas wiadomości z innych krain, to jest z drugiej i trzeciej

klasy; o krainie kursów najmniej parę miesięcy nie wiedzieliśmy, którą okolicę tego wielkiego świata zamieszkuje; widywaliśmy się, spotykali w kościele z tą arystokracją licealną, dumniejszą stokroć od arystokracji rodowej, nawet bankierskiej, kiedy się wśród chudej inteligencji znajdzie.

Tyle wypadków zaszło od wejścia do klasy, dla mnie szczególnie znaczących, że jeszcze nie miałem czasu przypatrzeć się tak zwaną *katedrze*, a jednak o *dwa* stopnie aż nad poziom klasy wyniesiona była; zmierzyć okien ogromnych a za kratami na ogród jakiś wychodzących, zastanowić się nad piecem tak wysokim i szerokim, że wszystkie, jakie dotąd oko moje widziało, nazwiska pieców nie warte były. Serce mi biło gwałtownie; bo to jeszcze nie koniec samemu temu początkowi: miał wejść profesor łaciny i w ciągu tegoż jeszcze dnia miało ich być trzech, a na drugi dzień znowu inni i także trzech. U naszych ewangelików poczcwiych na Królewskiej ulicy, w podpiérwszej klasie jak wszedł jeden, tak pozostał na dzień cały i na wszystkie dni miesiąca i roku całego.

Wszedł wreszcie profesor długo oczekiwany, wysoki człowiek, nie siwy jeszcze, ponurzej fizyonomii, szczupły, w mundurze podobnym do naszego także, ale przy szpadzie; szedł, nie oglądał się na żadną stronę, krokiem powolnym, aż stanął na wysokości dwóch stopni katedry: my wstaliśmy wszyscy, bo nas Stefański już nauczył po wyjściu prefekta, wszelkiego porządku; opowiadał długo jak który profesor wygląda, co lubi a czego nie lubi, kiedy wstać należy a kiedy siedzieć, jak odpowiadać kiedy listę czytają; tak zresztą wiele ważnych nauk i szczegółów do obyczaju należących, dawał, że ich tu od razu panom powtórzyć bym niepotrafił. Teraz wiedzieliśmy, że jak profesor stanie na katedrze, to nam

wypada uklęknąć do pacierza przed rozpoczęciem lekcji odmawianego. Uklękliśmy więc, nawet Stefański, co wszystko wiedział i wszystkich uczył, ukląkł — a ja nie czekając aż się ktoś odezwie, a pałając straszną żądzą robienia wszystkiego dobrze i natychmiast, odezwałem się, niestety pierwszy, *Ojcze nasz, któryś jest w niebie!* Na te pierwsze wyrazy modlitwy Pańskiej powstał nagle szmer i śmiech w klasie, było bowiem drugoletnich kilku świadomych dobrze obyczaju — i kilkunastu z innych szkół przybyłych: Stefański przytłumionym głosem zawołał na mnie — *cicho!* profesor spojrzął niechętnie skrzywiwszy się ku mnie i machnął ręką, co miało znaczyć, abym milczał, — słowem, narobiło się hałasu, a co najgorsza, wstydu — dla mnie jednego, wśród pięćdziesięciu ośmiu uczniów, których już policzyłem, zaledwie usiedli. Porządek wrócił w klasie, ale do serca mego wszedł niepokój największy; twarz pałała, oczy łzami zaszyły: widziałem to wyraźnie, że zrobiłem coś złego, chcąc zrobić jak najlepiej. Stefański objął komendę przy modlitwie, on mówił, a wszyscy milczeli klęcząc; nie słyszałem i nie rozumiałem ani słowa owiej modlitwy klasowej: wstałem jak wszyscy wstali i czekałem strasznego sądu. Minęła jedna i druga chwila, sądu nie było, kary nie było, choć widocznie stało się wykroczenie. Może w pół godziny albo i więcej, oświadczył poważnie pan profesor po skończonym wykładzie lekcji, którego przyznam się nawiasem, na ten raz nic nie rozumiałem, że pacierz właściwy przed lekcją i po lekcji mówi jeden, a wszyscy w myśli powtarzają za nim, — pacierz ten jest inny w szkole, a inny w kościele; modlitwy tej każdy z uczniów nauczyć się powinien, aby mógł ją powiedzieć głośno, gdy przyjdzie na niego kolej.

Upowiedziałem nieco porządek wypadków. Ze świadectw, na małym, jednakić formy papierze, które każdy z nas przy zapisie do wielkiej księgi przez pewnego starszaka, nazwiskiem *Olenicz* prowadzonej, otrzymał, uformował Stefański dwie listy: jedną dla profesora, drugą dla siebie. Swoję czytał głośno a przy każdym wymienionym nazwisku z imieniem chrzestnym, odzywał się głos cienki i trwożliwy — jestem albo jest, jakto bywa we wszystkich szkołach. Profesor wzięwszy swoją listę kiedy już skończyło się czytanie, wpatrywał się w nią długo a trwoga ogarniała klasę, czyli na którego ze spisanych nie padnie wyrok, że wezwanym zostanie. Szczęściem skończyło się na obejrzeniu i profesor odezwał się dość cicho ale wyraźnie: „przyniesiecie na następną lekcją gramatykę polską i łacińską p. *Jakubowicza*, sprzedają się w kancelarii pana prefekta, a teraz uważajcie.“ Ledwie rzekł: *uważajcie*, wzięłem się do wyszukania Jakubowicza z największym pośpiechem i gorącością; ażem przyniósł całą moją księgarnię, przerzucając więc w masie książek zrzuciłem jedną na ziemię, za nią spadła i druga, wreszcie wszystkie, gdym je przerażony od upadku ratowałem; znaleźć na prędce nie mogłem, czegom szukał i narobiłem najniewinniej hałasu. Znowu ze zbytku żarliwości a braku uwagi naraziłem się na ostrzeżenie, które mię więcej kosztowało zgrzyoty i wstydu jak przebolełe razy linii warszawskich. Chciałem być gotów na wszelkie wypadki a źle byłem przygotowany na jeden najpotrzebniejszy. Powstał szmer, zdawał się tém większy, że najzupełniejsza panowała cisza. Na ruch ten niezwykle obrócił się profesor, straszliwie skrzywił się i powiedział jakiś wyraz łaciński, któremu nie zrozumiał, ale haniebny zapewne, bo wielu rozśmieszył. Z mojej więc przyczyny zaszła przerwa w lekcji, która się już rozpoczęła. Rze-

czywiście jakiś fatalizm mię ścigał, los wyraźnie nie miał mi być przychylnym w tym sławnym Krzemieńcu. Już drugi wypadek zwrócił na mnie uwagę klasy całej i sławę warszawiaka okropnie naraził. Jak Warszawa w pewnym przynajmniej kółku wielkie miała wyobrażenie o Krzemieńcu, tak Krzemieniec o Warszawie. Jeżeli nie mógł zadziwić w pierwszej klasie rozumem, to jako wychowawiec stolicy, powinienem był okazać więcej zręczności i szykowności; tymczasem niezgrabność szła jedna za drugą i klasa cała mogła mię słusznie za niedołęgę ogłosić. Przeszło to jednak jak wszystko na tym świecie przechodzi, najgorsze, najboleśniejse i najlepsze. Już do końca lekcji nie ruszyłem ani ręką ani nogą: — oczy błagalne wlepiłem w profesora, który widać dojrzał, co się w duszy mojej działo i kilka razy z umysłu może spojrzął na mnie łagodnie. Ochłonałem — ale po książce nieschyliłem się i niepodniosłem żadnej, bom już w praktyce doznał tego; że każdy ruch wśród ogólnej ciszy głośniejszym się staje, każda niewinna poprawa, złe na gorsze przerabia. Po długim opowiadaniu, zdaje się o częściach mowy, znalazła się wreszcie w ustach profesora uwaga moją niezgrabnością wywołana o zachowaniu się uczniów w czasie wykładu, i znowu cała klasa zwróciła na mnie oczy. Po tym ustępie wezwany został sam Stefański! którego odtąd, żeby nie szarzać tak szanownego nazwiska, cenzorem tylko nazywać będziemy, do powtórzenia tego, co mówił profesor. Powtórzył wszystko krócej naturalnie, odpowiadając na pytania głośno i dobitnie. Po tych odpowiedziach zapisał coś profesor przy jego nazwisku w liście swojej. Powtarzał drugi i trzeci i dziesiąty, różnie ale dobrze zawsze; był jeden, a nazwisko jego dotąd pamiętam doskonale, który tak powtórzył, że mię zazdrość ogarnęła, bo nigdy

tak nie potrafiłbym powiedzieć. Gorzej było: jam słuchał wszystkiego i tyle razy a jeszcze nic w głowie mojej nie zostało: opadły mię straszne myśli, co ja pocznę jak się uczyć będę, kiedy nic nie pojmuję z tego co mówią. Krzemieniec w tej chwili stał mi się straszny, niepojęty w mądrości swych ludzi, którzy tu się rodzą i żyją. — Pamiętam, że w Warszawie mówiono o mnie w domu przynajmniej, że bardzo zdolny, że lubię bardzo uczyć się — a ja wiedziałem tyle, że o tych zdolnościach nic sam nie wiedziałem, i nieznośne były mi te pochwały; wiedziałem nadto, że miał próżności wiele i ambicji, że się lękał więcej jak razów najboleśniejszych, publicznego wstydu, i rumieńca wobec kolegów. Męczyłem się nad książką bynajmniej nie z miłości do książki. Otóż to panowie moi, ta bojaźń wstydu publicznego uratowała mię, ocaliła, z niedołęgi wyrobiła wielce zręcznego, z tępego w istocie, bardzo pojętnego. Gotowicie szanowni państwo osądzić, że szkoły złe były, że wykładali profesorowie tak górną, iż dzieci zrozumieć wykładu nie mogły. Rzecz to zwyczajna, iż rodzice i opiekunowie próżniactwo i nieuctwo swych najdroższych, zwalają na nauczycieli, niedbałość swoją, często nieznamość rzeczy, nauki i swoich obowiązków spędzają na szkołę, na niedozór, na korepetytora — gdy po większej części sami i złego postępu w przedmiotach wykładanych i niesforności w obyczajach są winni. Zapewnienia matki mojej, że się dobrze uczę, że skończyłem dwie klasy w najlepszej elementarnej szkole warszawskiej, wreszcie pewna łatwość w tłumaczeniu się, śmiałość w obejściu i odpowiedziach, przyjęte zostały za dobrą monetę, za zdolność, jako też za dostateczne przygotowanie do pierwszej klasy. Nikt mię o nic po przyjeździe do Krzemieńca nie zapytał, bo wierzano zapewnieniom i metryce

która wskazywała wiek na tę klasę nie za młody, podziwiano biegłość w obliczaniu na oko wszelkich miar, z pamięci wszelkich liczb, i ufano zaręczeniu rodziny całej, że się doskonale i chętnie uczyłem dotąd. Na słowo mojego opiekuna bez egzaminu przyjęto mię do szkoły, — opiekun zaś najzacniejszy zresztą człowiek, pełen serca i dobrej woli, ale poeta i ojciec rodziny rozkwitającej dopiero, tyle miał miłego sercu zajęcia po powrocie do domu, tyle przez drogę nagromadziło się w głowie jego marzeń i myśli, że je co najprędzej czuł potrzebę przelać na papier. Na zbadanie moich rzeczywistych zdolności i usposobienia mojego nie miał czasu, wreszcie nie chciał o nich wątpić. Tymczasem wszystkie kłęski i zawody jakie mię na wstępie i w pierwszych tygodniach nauki w szkole spotkały, były owocem, były koniecznym następstwem tego, że właściwie nie a nie nie umiał, prócz płynnego czytania po polsku i po niemiecku, bo Niemcy mię uczyli, prócz łatwości słowa, która w błąd wprowadzała zbyt interesowanych albo zbyt obojętnych słuchaczy, że zdolnym być muszę.

O gramatyce nie słyszałem, więc chociaż to był wykład początkowy, jednak dla takich, którzy już pierwsze zasady znać powinni; było to wreszcie powtórzenie, aby pewniejszym krokiem pójść dalej; dla innych było powtórzenie, więc zrozumiałe, dla mnie rzecz nowa, więc nie do pojęcia od razu. Podług przyjętego zwyczaju w każdej klasie powtarzano w ciągu pierwszego miesiąca cały kurs klasy poprzedniej; dla nowo wstępujących było to prawie koniecznym, bo prostowało rzeczy niedokładnie lub mylnie wyłożone w domu, dopełniało niedostatków i wprowadzało w tryb wykładu właściwy w szkole tej praktykowany; dla uczniów tej samej krzemienieckiej

szkoły odświeżało w pamięci to wszystko, co przez czas wakacyi ulotnić się lub przyćmić mogło. Słabsi wzmacniali się, mocni od razu pewnym krokiem szli dalej.

Po lekcyi polskiej i łacińskiej nastąpiła nauka religii, w której prócz doskonałej znajomości paciérza wzbogaconego dodatkami domowego wyrobu, nic z zasad prawdziwych religii nieznałem, bo o to ewangelicy moi nie troszczyli się wcale, a w domu wierzone, że tam wszystko jak najlepiej idzie. Wiara w rozum niemiecki utrzymywała się długo po 1813 i 15tym roku, jako zabytek pruskich rządów, które masę Niemców na bruk warszawski wyrzuciły. Ale ksiądz Kulikowski był doskonałym nauczycielem; człowiek młody, wykształcony bardzo, wielkich zdolności, ścisły w pełnieniu obowiązków i kapłan całą duszą powołaniu swemu oddany, mówił wyraźnie, energicznie, każdą rzecz co raz w innej formie, innemi wyrazami po kilka razy powtarzał; patrzył w oczy słuchających uczniów i z ich wyrazu niejako odgadywał, czy był zrozumiany dobrze — i zawsze prawie przeniknąć potrafił, badając te niewyraźne fizjonomie młode, czy już dosyć pojęły, czy jeszcze objaśnień potrzebują. Pytaniami tu i owdzie rzucanemi utrzymywał nas w ciągłej uwadze — a razem dowiadywał się o skłonnościach charakteru złych i dobrych. Na lekcyi nauki religii nie było złych uczniów, a jeśli były kary jakie, to za przewinienia moralne, za niesforność na innych lekcyach, za nie dość ściśle pełnienie religijnych obowiązków. Cokolwiek mówili starsi uczniowie o surowości i niesprawiedliwości księdza Kulikowskiego, mówili bez zasady, broniąc raczej swojej opieszałości i lenistwa w rzeczach wiary, jak słusznie oceniając jego postępowanie i zamiary. Dziś widzę, że to był znakomity cnoty i wielkiej zdolności nauczyciel. Stosunek je-

go do kapucyna, kaznodziei licealnego był obojętnością nacechowany, ale nigdy nieprzyjaźnią i nieuznaniem zasług. Różnica w charakterach sprowadzała też i różnicę w zapatrywaniu się i działaniu. Kapucyn łagodny, cichy i serdeczny — bliższych stosunków z młodzieżą nie miał, jak nie miał stosunków z nikim, prócz w konfesyjone i na ambonie. Ksiądz Kulikowski zostawał w bezpośrednim stosunku z uczniami, patrzył na ich czynności, starał się poznać usposobienie indywiduów i nie raz te usposobienia, jeśli złe, skrzywione zwalczać musiał. Nie było mu obojętnym, co uczeń w domu robi, jakie są jego obyczaje, jaka prawdziwa, wewnętrzna moralność, więc się narażał często, karząc... nie na lekcji; — stąd niechęci i gadania ale tylko winnych lub tych, co się lekali, żeby ich wina na jaw niewyszła. Nieraz nauczyciel łaciny, arytmetyki, historii udawał się poufnie do księdza Kulikowskiego, aby wspólną z nim pracą złamać lenistwo i niesforność, nim rzecz jako wina, jako wykroczenie powtarzające się poszła pod sąd surowszy prefekta. Sesye czyli obrady w końcu roku i półrocza nad obyczajami poprzedzały obradę nad nauką i to stanowczo na los ucznia wpływało. niesprawiedliwości, nie-miłosierdzia, niepobłażliwości dla win przechodnich, dziecinnych, młodzieńczych nie było przykładu; wielkiej owszém oględności i cierpliwości sam na sobie dowód miałem.

Po lekcji księdza Kulikowskiego wyszedłem po-krzepiony na duchu; wróciła mi wiara w siebie, zrozumiałem wszystko, co mówił i byłem gotowy najwierniej wszystko powtórzyć: dziś wiem dlaczego. Do łaciny i polskiego języka, jako nauki, trzeba było mieć pewne drobne wprowadzie, na wiek mój jednak nie łatwe naukowe przygotowanie, słowem — trzeba było coś umieć do-

kładnie: do religii, to jest do pojęcia rzeczy, czy to nadprzyrodzonych, czy w sferach codziennego życia zawartych, do zrozumienia prawideł moralności i rozróżnienia dobrego od złego, wystarczał umysł choćby nie wiele rozwinięty, byle zdrowy i jasny. W religii zaczyna-liśmy od samych początków, więc przy uwadze pilnej, gorącej chęci, zasady chociaż wzniosłe, lecz jasno, właściwymi do pojęcia słowami wyłożone, pojąć się dały; w łacinie i polskim języku słyszałem wyrazy i zdania po raz pierwszy obijające się o moje uszy, niepoprzedzone objaśnieniem, bo z treścią ich i rozumieniem wejść do klasy byłem powinien. Wszedłem do klasy pierwszej nieprawnie, drogą protekcji i już na wstępie, uczulem skutki nieprawności.

Po południu miałem po raz pierwszy ujrzyć straszego Strzeleckiego. Cuda istotnie opowiadano o jego srogości i cuda o jego mądrości: powiadali sami uczniowie Strzeleckiego, którzy doznawali nie raz krzywdy od niego, że mierny na jego lekcji jeszcze byłby celującym na każdej innej. Rzecz szczególna; ta niepraktykowana surowość nauczyciela, wymagania graniczące prawie z niesprawiedliwością, były przedmiotem nieustannej między uczniami gawędy, były postrachem na najśmielszych nawet, nienawiści jednak nie obudzały wcale, przywiązania doń dziecięcego prawdziwie nie osłabiały i na zmniejszenie szacunku dla tyrana niewpłynęły, bo dziwnym sposobem połączone były z najściślejszą sprawiedliwością i pobyłaniem rozumnym bez szkody na zasłużoną promocją ucznia. W ciągu pracy, w czasie roku szkolnego dręczył nas bez miłosierdzia, wyrazu jednego źle użytego nie puścił bezkarnie, szmer najlżejszy ści-gał tak, jak umyślną, nieobyczajną swawolę; przy promocyach zaś pamiętał o jednej zasadzie, o której nauczyciel

dobry nigdy nie zapomina, że się *niezatrzymuje ucznia na rok cały* w tej samej klasie, jeśli ma tyle usposobienia i zdolności, iż dalszego wykładu w następnej klasie z korzyścią słuchać może. Niesforność wszelką karał surowo, o żadnej nie pamiętał na promocyjnej sesyi, jeżeli granic młodzieńczych przewinień nieprzekraczała. Ujrzałem tedy groźnego Strzeleckiego o godzinie drugiej po południu, dnia 2go Września, roku Pańskiego 1824 a przedostatniego panowania Cesarza Aleksandra I. Wypadek to nie mały dla mnie, o którym krewni, znajomi i przyjaciele (zwykle za pogrzebem tylko chodzący) mówili, że będzie z niego wielki matematyk. Tak byłem pewny siebie w tym niby matematycznym przedmiocie, tak wierzyłem w pochwały mi oddawane, jak kłamca wierzy na koniec w swoje kłamstwo, kiedy je sam po raz setny któryś powtórzy, — zem się Strzeleckiego nie bał, tylko z nieopisaną ciekawością oczekiwałem jego przybycia. W jednej wszakże okoliczności uległem pocziwym ostrzeżeniom kolegów; zrzuciłem jakieś świecidełko w ucho czy na palcu błyszczące, bo za takie głupstwo Strzelecki karał bez litości, — prawie — prawie — śmiercią — po studencku pojmovaną, wydaleniem na godzinę z klasy.

Drzwi bardzo po cichu i zwolna się otworzyły, potem także pocichu i zwolna zamknęły i ukazał się ów tyran, chudy, blady, pochylony, wzrostu dość słusznego, zapięty na wszystkie guziki munduru, i nim postąpił krok jeden odedrzwi, powstali wszyscy, ale tak ostrożnie, że za ledwie lekkim szmerem ruch ten dałby się nazwać. Pocziwy cenzor wyuczył nas tego sposobu wstawania bez hałasu i wdzięcznie a pojętnie przyjęliśmy zbawieną naukę. Już był za tablicą, a więc w połowie drogi do katedry, kiedy cenzor zniknął nagle ze środka sali,

bo Strzelecki instytucją cenzorów potępiał; gdy stanął jedną nogą na pierwszym stopniu katedry, my owieczki potulne zsunęliśmy się cicho na klęczki: Strzelecki stanawszy na drugim stopniu, przeżegnał się, głośno wymawiając wyrazy: *W Imię Ojca i Syna* itd. po nim jeden z uczniów mówił modlitwę przedlekcijną zwolna, wyraźnie a nie krzykliwie, potem przeżegnaliśmy się wszyscy razem nie wyjmując profesora i zaczęło się czytanie *Listy*.

W czasie tego studenckiego apelu bardzo wyraźnie i bardzo powoli zwracał się Strzelecki w tę stronę, skąd głos wychodził: *jestem* — i zdawał się uważnie wpatrywać w twarz ucznia: gdy przeczytano moje nazwisko, odezwałem się, pomimo owej śmiałości, w którą się uzbroiłem przed wejściem do klasy, dość niewyraźnie; gdy spojrzał na mnie ten, którego, przypominając sobie straszłą chwilę, nazwiska wymówić nie śmiem, rumieniec gorący wystąpił na twarz, łyzy zasłoniły oczy, bo blisko siedząc, za blisko ze spojrzeniem jego się spotkałem — a nadto długa choroba oczu do takiej wrażliwości organ ten usposobiła.

Bez żadnej przemowy, złożywszy ręce jak przy namyśle, nachylony ku tablicy zdala na przeciw stojącej, zaczął wykład Strzelecki. Nowość dla mnie nadzwyczajna: arytmetyka bez tablicy i bez kredy — sama mowa! Słuchałem zdziwiony — a potem zachwycony. Mówił głosem przytłumionym, jakby po ciężkiej chorobie pierwszy raz się odzywał, jednak wyraźnie bardzo i tak płynnie, tak zdało mi się pięknie, jakby ciekawą jaką opowiadał historią. W pierwszej chwili, nie będąc przygotowany na taką metodę wykładu arytmetyki, bez kredy i pisania, nie wiedziałem co mówi, nie rozumiałem; powoli zaczęło mi się rozwidniać w głowie, już coś poj-

mować zacząłem; po kilku minutach mowy, wrócił jeszcze raz do początku, powtarzał to samo inaczej, innemi słowy, ale zawsze takimi, jakich dotąd przy arytmetyce w Warszawie niesłyszałem. Był to wykład arytmetyki podług *Czecha* zaczynający się w książce od wyrazów: „Rzeczą nauk matematycznych w ogólności jest uwaga wielkości itd.” Tak było w książce, ale Strzelecki mówił to samo jaśniej, zupełnie jasno a tak zwiększył, że prawie ta sama była tam liczba wyrazów, a nie te same. Pierwszy kilkowierszowy ustęp książki był omawiany na wszystkie sposoby — a bogactwo wyrażenia zdawało się coraz nowe, nieprzebrane. Słuchała działy tych mądrości arytmetycznych jak powieści — a chociaż było nas sześćdziesięciu blisko, słyszano tylko głos jeden, który coraz stawał się donośniejszy, coraz wyższy, — dźwięk mowy przenikliwy i oryginalny, bo Strzelecki łagodnie niedomawiał, chociaż je starał się wyćiskać. Póki mówił, zdawało mi się, szczególnie po kilkakrotnem powtórzeniu tej samej myśli, że doskonale rozumiem — czułem jednak, że powtórzyć niepotrafiłbym nigdy. Przyszła jednak chwila powtarzania, chwila uroczysta, ale jak się pokazało, straszna prawdziwie, sądna. Przedmiotem wykładu na pierwszej lekcji był systemat *liczenia*, nazywania i pisania liczb — ów systemat dziesiętkowy, powszechny, wyjaśniony tak, że go pierwsza klasa gruntownie zrozumiała. Zapytał Strzelecki — kto powtórzy? — nie było wszakże tak odważnego, żeby chciał powtórzyć, — milczenie głębokie odpowiedziało na to zapytanie. Strzelecki czekał i rozpatrywał się między słuchaczami, których oczy wszystkie skromnie i trwożliwie na dół były spuszczone. Po rozpatrzeniu się dłuższem wybrał jedną ofiarę, zdala, pod tablicą schowaną i nazwał ją po imieniu i nazwisku.

Czy znał ucznia już dawniej, choć był pierwszoletnim, czy zapamiętał z listy, nie wiem, ale mnie tém zadziwił i przestraszył. Wszakże ten człowiek mógł być i moje nazwisko zapamiętać, a ja dotąd tylko imię moje słyszałem wymawiane, wymówienie nazwiska zawsze mię przerażało. W Warszawie u Ewanielików wskazywano palcem na mającego powstać i mówić, w domu imię samo naturalnie było na wszelkie usługi — tu nazwisko z imieniem. Wprawdzie czytanie listy już mię powinno było z tą rzeczą oswoić, ale to czytał uczeń, prędko i nie tak dobitnie. Ofiara nazwana do powtórzenia powstała i od razu mówić coś zaczęła. „Czekaj, aż cię zapytam,” rzekł Strzelecki — stojący i błąd czekał: „Cóż to jest wielkość?” zapytał Strzelecki. „Wielkością nazywamy to wszystko, cokolwiek powiększyć się i... i...” zająknął się odpowiadający i dalej mówić nie mógł. „A skąd to wzięłeś?” — rzekł groźnie Strzelecki — czytasz z książki, zamknąć książkę! oślina patrzyła w książkę kiedy ja mówiłem, i z książki powtarza, oj biedna ty głowo! siadaj sobie!” Wydobył z kąta drugą ofiarę — i ta bąknęła kilka wyrazów z książki i usiadła na rozkaz; przyszła trzecia i dziesiąta, każda ledwie usta otworzyła, już jej kazano milczeć, aż znalazł się jeden bystrzejszy i powiedział słów kilka roztropnie tak, że widać było, iż rozumie dobrze co mówi, odpowiadał bardzo wyraźnie, przejął doskonale mowę Strzeleckiego. Niestety, ten ostatni blisko mnie siedział, niebezpieczeństwo było groźne, mogłem być zapytany — a po tylu niefortunnych wypadkach mogłem doznać losu pierwszego i dziesiątego. Inaczej się stało: ten jeden, który nie źle na jedno pytanie odpowiedział, stał już do końca lekcji — i mówił, i poprawiany co chwila, powtarzał, aż wreszcie na wszystkie pytania najrozmaiciiej zmieniane i przera-

biane, odpowiedział dokładnie tak, jak tłumaczył Strzelecki a całkiem inaczej co do słów jak w książce. Nie raz z odpowiedzi widać było, że mówiący rozumie, to jednak niewystarczało, musiał mówić tak i tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, aby mowa była jasna i treściwa. Były to prawdziwe męczarnie dla każdego bédaka, co do mówienia lekcyi był wezwany, ale wychodził z nich oczyszczony z owych próżnych słów, których matematyka niższa czy wyższa nie znosi. Rachunek zwyczajny, rzemieślniczy, sprawa mechaniczna z liczbami należała do podrzędnych zadań nauki, którą wykładał Strzelecki, a najdokładniejsze rozumienie tego, co się na liczbach wykazywało oraz właściwe, zwięzłe i jasne wypowiedzenie rzeczy, stanowiło warunek główny. Skutek takiej metody uczenia był zadziwiający: mechanizm rachunkowy niewyrabiany wyłącznie, wyrabiał się i był najłatwiejszą częścią zadania u dzieci pierwszej i drugiej klasy, nie mówiąc już o wyższych, tak, że na egzaminach publicznych, gdzie wolno było obcym z po za granic szkoły zadawać pytania, fachowi ludzie nieraz zdumieni byli szybkością i dokładnością w rozwiązywaniu obok wystawienia wzorowego. Strzelecki właściwie uczył nas i nauczył mówić, był on ściśle mówiąc pomocnikiem wszystkich swoich kolegów wyższych i równych, ułatwiał im pracę najważniejszą: rozwijania sił umysłowych i zdobywania daru wystąpienia. Nigdy z uczniem razem nie mówił, ani po słówku niepoddawał, ani pytań nie rozbił na cząsteczki, ale raz uczyniwszy zapytanie jasne i doskonale określone, czekał odpowiedzi zupełnej, także jasnej i ściśle określonej. Wielka praca, wielka wytrwałość towarzyszyć musiały takiej metodzie uczenia, wielka nadto miłość przedmiotu i wysokie pojęcie obowiązku nauczycielskiego zadanie takie ułatwiać. Jeden taki nau-

czyciel w szkole, to podstawa naukowego zakładu najtrwalsza — a Krzemieniec, zapewnić was mogę z zupełną sumiennnością, miał tak pojmujących powołanie nauczycielskie większą połowę; mniejszość zdążała za takimi wzorami i jeśli nie zasługiwała na miłość i cześć powszechną, szacunku nikt jej odmówić nie mógł. Brak wysiłonej pracy zastępowali przynajmniej akuratnością i sprawiedliwością. Życie całego grona przykładne, budujące prawdziwie, wzajemna życzliwość jeśli nie przyjaźń, sumienne i ciągle przygotowywanie się na wykład nawet w klasach najniższych, widoczne, doskonaliło mierzonych, podnosiło do rzeczywistej sławy zdolniejszych a dla uczniów było żywym przykładem jak żyć dobrze i słowem i czynem. Rozumięcie moi panowie, że w pierwszej i drugiej klasie tych zasług i cnót pojmować nie mógł, ale już w dalszym czasie umieliśmy to widzieć i szanować — a dziś stwierdzić to, jako uczeń tej szkoły mam obowiązek z sumienia i wdzięczności wypływający.

Mimo woli odstępuję czasem od wypadków dzieciennego wieku i przybieram ton nauczyciela i postrzegacza; trzeba to wybaczyć wiekowi mojemu i tej głębokiej czci, jaką mam dla przewodników, a której obowiązkiem chciałbym przejąć i czytelników młodych.

Skończyła się trudna lekcja arytmetyki, w czasie której byliśmy niezawodnie wszyscy w nieustającej trwodze, aby nas niezapytano, i gorącej chęci, aby zrozumieć dobrze, czego uczą i dobrze odpowiedzieć.

Lekcja języka rosyjskiego, nie mogła być tak trudną jak arytmetyki. Nie trzeba tu było pojęcia bystrego, tylko uwagi i pamięci. Otworzyły się książki przed nami — a stało się to w zadziwiającej cichości, chociaż byliśmy sami nowicjusze prawie. Próba czytania powinna się była udać każdemu, co czytać po pol-

sku umieć; składanie liter takie samo, wszystko się niemal tak czyta jak napisane. Słyszałem to nie raz, że czytanie po rosyjsku łatwem jest bardzo i uwierzyłem niespróbowawszy; rozumiałem wreszcie, że tu zaczniemy od nauki czytania. Zawód okazał się straszny, bo już czytać dobrze powinien był każdy, co do klasy téj przychodził. Jakiś przypadek, którego już sobie nieprzypominam nauczył mię poznania kilku liter; powiedziano mi np., że nasze *p* jest w rosyjskim języku *р*, nasze *c*, w rosyjskim *с*, — *e*, *а*, *и*, *о*, itd. miały być takie jak nasze. Z takim zasobem stanąłem do boju i to w obec Strzeleckiego! Rozłożywszy książkę, którą dopiero przed samą lekcją nabyłem i przypatrzeć się jęj zbliżona nie miałem czasu, czekałem spokojnie kolei, która na mnie do czytania przypaść miała. Słyszac jak inni czytają, rzecz niezadawała mi się trudną. Poprzedzający mię w téj ławce uczniowie, a siedziałem jak już wiecie, w piérwszój, często się zatrzymywali przy każdym niemal wyrazie, bo Strzelecki nieustannie poprawiał wymawianie a szczególnie *akcent* (udarenije). Tak ucho moje niemuzykalnie utworzone było, że całkiem nie rozumiał, jaka różnica zachodziła między przyciskiem ucznia na jednéj zgłosce a poprawą profesora na innéj. Nie pojmowałem, żeby to coś ważnego być mogło: mówiłem przecież po polsku i wcale płynnie i łatwo, a nigdy nie myślałem o tém, gdzie przycisk położyć i przycisk zawsze był dobry; — dlaczegóżby tedy z tym samym przyciskiem nie można sobie dać rady i w rosyjskiém czytaniu. Praktyka niestety przekonała mię, że ta rzecz łatwa z pozoru była bardzo trudną i że z trudnością akcentowania nieprędko się oswaja polak. Myślałem sobie nader po prostu: innych poprawia i mnie poprawi a czytać będę. Wpatrując się jednak w książkę,

którą czytali, dojrzałem tylko niektóre litery do naszych podobne, zresztą palki jakieś, haczyki, poprzewracane jakby przypadkiem znaczki przeraziły mię niesłychanie. Jużem się modlił od kilku minut najgoręcej, żeby mię kolój minęła, żeby godzina wybiła przed czasem, żeby ktoś zachorował, hałasu narobił, słowem, żeby się stało coś nadzwyczajnego, coby mię uwolniło od wyczytywania tych haczyków. Niestety jednak i śmierć nie mija człowieka i mnie rosyjskie czytanie nie minęło: — zawołał zgryźliwym tonem Strzelecki, *następujący*; — a tym następującym byłem ja i wstałem z gotowym zawrotem głowy, szumem w uszach, bliźutki omdlenia: ale i omdlenie na rozkaz i w potrzebie nieprzychodzi; — stanowcza chwila przywróciła mi wszystkie władze — tylko liter nieznanych w znane nie zamieniła. Pokazał mi sąsiad wiersz, od którego miałem mój popis zacząć. Piérwsza litera była *k* podobniutecznie do naszego, druga owe *p* znaczące *р*, trzecia *e* najzwyczajniejsze nasze, czwarta *c*, a u nich *с* — więc z odwagą i stanowczo zebrawszy to wszystko wymówiłem — *kres*; tu rzeczywiście był *kres* mojego czytania i mojej jakiejś takiej pomyślności małemi niepowodzeniami przeplatanéj. Za owém *kres*, były jakieś trzy palki niby przekreślone w górze, niby odosobnione, rzecz całkiem do litery niepodobna, dalej coś zaczętego ale niewyraźnego, jeszcze dalej *R* duże ale odwrócone w przeciwną stronę — słowem trudności, którychby żaden geniusz niepokonał nie znając dziwnego abecadła rosyjskiego, i ja ich niepokonałem. Powtórzyłem po raz drugi *kres* i po raz trzeci *kres*... w nadziei, że los, kolega, profesor się zmiłuje i dopowie: nie i nikt nie dopomógł. Los nigdy nie był moim przyjacielem, kolega wolałby dzień cały przebyć o głodzie, a ust nieodwa-

żyłby się bez woli Strzeleckiego otworzyć, Strzelecki sam, wiadomo panom, że dopiero w końcu roku, przy promocyach był miłosiernym, a w początku i rok cały tyranem: zginąłem więc bez ratunku i bez chwały. — Zniecierpliwiony Strzelecki zawołał mocniejszym jak zwykle głosem „*siedź mi oślino, będziesz mi tu kresał bez końca; po coś tu wlaźł, kiedy nic nie umiesz.*“ Następujący po mnie już stał i przeczytał zaczęty przemnie wyraz z taką swobodą i płynnością, jakby tam tych pałek i tych haczyków nie było, jakby rzecz najprostszą i najłatwiejszą — *Krestjanie*. Szczęśliwy chłopiec! On który pewnie nie miał zamiarów tak silnych i wielkich jak ja, żeby się uczyć jaknajdoskonalej, pokonał z łatwością to, czego ja ledwie dotknąć zdołałem. Rzecz naturalna, że kiedy mój następca czytał *Krestjanie*, ja topiłem się we łzach i wstydzie, wstydzie publicznym, gorszym jak rano na łacinie, kiedy mi książki spadły — bom otrzymał wyraźny tytuł po polsku jasno i głośno wyrzeczony: *oślina*.

Jaka nieżycliwość losu, okrucieństwo wyraźne! zaledwie parę wierszy przeczytał po mnie siedzący, wybiła czwarta, zadzwoniono, i lekcya się skończyła: czemuż ta czwarta nie wybiła przed chwilą mojego wstydu? Przez całą drogę wyraz ten haniebny w pierwszym dniu życia przypięty do mnie nie opuszczał mię ani na chwilę; szedłem z nim przez wszystkie ulice, a zdało mi się, że go czytają na mnie — i mogli czytać, bom płakać nie przestawał, chociaż koledzy pocieszali mię ciągle; że to jeszcze nieraz mię spotka od Strzeleckiego choć się nawet czytać nauczę a akcentu dobrego nie zachowam. Przyszedłem do domu — i na wstępie poznali wszyscy, sługi nawet, że jakieś nieszczęście warszawskiego panicza spotkało. Przedstawiłem szczerze stan

sprawy mojej zacnemu opiekunowi, który zrozumiał, że czytać nie mogłem, skorom liter nie znał; starał się mię uspokoić, przyrzekł że panu Strzeleckiemu wytłumaczy moje niepowodzenie i przyrzecze poprawę, że wreszcie na drugą lekcją już mię czytać nauczy, i pan profesor *ośliną* mię nie nazwie. Tak się stało: tego samego dnia już umiałem wszystkie litery i czytałem na wszystkich kartkach książki nie łatwo ale dokładnie. Takie to już było moje przeznaczenie, żebym troski życia zaczął od tych rossyjskich haczyków, od tych pałek nieprzekreślonych, czy przekreślonych i skończył w najważniejszej chwili bytu kraju pod grozą, oby ostatnią! takichże haczyków, takich pałek, takiego płotu bez podstawy i bez pokrycia, bo to jest rzeczywiste ruskie *t.* (III).

Oto dzień pierwszy w Krzemieńcu przebyty, bo dni poprzednie nie stanowiły Krzemieńca, który stał szkołą i dla téj szkoły znany był światu i mnie do siebie pociągnął. Historia pierwszego dnia trwała zbyt długo, ale uważcie państwo kochani, że to podstawa, w której poznaliście wszystkie prawie gatunki materiałów na których wznieść się ma budynek całego mojego opowiadania o charakterze szkoły, o jej szczególnych właściwościach, różnych cokolwiek od właściwości szkół współczesnych krzemienieckiej i dzisiejszych. Widzicie tu wielki porządek, który raz zaprowadzony przez wielkiego założyciela utrzymywał się stale przez samą tradycją, przestrzegany pilnie przez samych uczniów, którzy uważali się za szczęśliwych, że tu się uczą, nadzorowany ściśle, jednak bez grozy, samą powagą zwierzchników, powagą imienia i przykładem ich życia.

Nie potrzebujecie się lękać, żebym was dzień po dniu prowadził po wszystkich lekcjach, dzień po dniu opowiadał te drobne, w szkole jednak znaczące wypadki,

które dla was już ważności wielkiej mieć nie mogą. Jeszcze parę szczegółów o początku w moim zawodzie nauczą was nie jednej prawdy, o której dziś rodzice zapominają oddając dzieci swe do szkół publicznych.

Smutne doświadczenie dnia pierwszego nabawiło mię wielu zgryzot, ale nienauczyło jeszcze jak należy korzystać z niepowodzeń, boć to podobno najtrudniejsza nauka i u nas szczególnie nie już pomiędzy dziećmi samými, najprędzej w niepamięć przechodząca. Prusacy tylko skorzystali z klęski pod Jeną a Francya taka rozumna i pyszna z siebie, po Waterloo niczego się nienauczyła. Przepraszam, to polityka a nam czas wracać do szkoły.

Po rosyjsku czytać nauczyłem się prędko, ale nie umiałem nic po francusku, bo i tego ewanielicy nie uczyli. Na lekcyi francuskiej powtórzyła się, niema wprawdzie, ale fatalna scena z czytaniem. Francuz Lefort, pocziwy człowiek niezmiernie, udawał tylko srogiego, z charakteru zaś był łagodny — a jako cudzoziemiec, śmieszny w wymawianiu polskich wyrazów powagę swą tą śmiesznością paraliżował. W czasie czytania uważając pilnie w książce, przekonałem się, że zupełnie co innego wymawiano jak było wydrukowane; przy największej domyślności nie mogłem dojść gdzie co wymówić, jak zmienić: gdy jednak przyszła kolej na mnie, nauczyli mię koledzy, abym się schował — a już tu rozmowa cicha łatwiej się udawała jak na innych lekcyach. — Lefort był stary, miał wzrok krótki a udawał że wszystko widzi i wie nawet co kto myśli. Starych ludzi udawaniem często bardzo w błąd wprowadzić można, dzieci, studentów mianowicie: szkół publicznych, oszukać nie łatwo, prędkiej sami oszukać potrafią. Naród to przebiegły potrzebuje bystrych i doświadczonych wielce kie-

rowników. Zrobiłem jak mię nauczono, przesunąłem się na miejsce mojego poprzednika, ten puścił mię dalej i znalazłem się na drugiem miejscu, w którym już czytanie się odbyło a tymczasem siedzący za mną powstał i czytał śmiało jakby się żadna szacherka nie popełniła. Zastanowiło to cokolwiek francuza, bo przed chwilą widział inną twarz, a teraz inna mu się ukazała; poprawił się na krześle, jakby coś chciał powiedzieć, ale niepewny siebie a mianowicie oczu swoich, pozwolił czytać dalej nieprawemu następcy; mojej fizynomii szukał jeszcze po ławce, ale tak była ukryta i zanurzona w książce, że jój wzrok krótki dojrzyć nie mógł. Otóż macie panowie naukę nie nową dla was zapewne, jakto łatwo, jak z pobudek nieprzewidzianych uczą się chłopcy oszukiwać starszych. Ile mię kosztowała ta zamiana miejsca, nikt pojąć nie potrafi, kto się nie dopuścił winy jawnego oszukaństwa, a w naturze tego usposobienia nie miał. Oszukałem zmuszony strachem, powodowany wreszcie ambicyą, żeby się nienarazić na nowy wstyd, że nic nie umiem. Nie wiem dla czego, miałem z początku u kolegów jakąś względność, jakiś rodzaj sympatyi, lubiono mię jako istotę nową dla nich, bo przybyłą z Warszawy — z kraju dalekiego, o którym młodzi bardzo wołyniacy wysokie mieli wyobrażenie. Jedną okoliczność muszę panom wyjaśnić — dla czego ta pierwsza klasa okazywała tak wiele z początku samego karności, roztropności i znajomości życia studenckiego. Oto, przybyłych z domowego wychowania bywała nie wielka zwykle liczba, z domów obywatelskich przygotowywali guwernerowie najczęściej do trzeciej i czwartej klasy — pierwsza zaś klasa rekrutowała się najwięcej uczniami szkół prowincjonalnych, którzy już do ładu szkolnego wszędzie przez Czackiego zaprowadzonego, byli

przywykli i w Krzemieńcu, dumni że parafię opuścili, odznaczeni się i dobrými obyczajami i wielką pilnością. Wszystkie tedy figle i przebiegi studenckie przechowywały się między parafianami i drugoletniemi uczniami w klasie, i prędko bardzo udzielały się większości nowój zupełnie. Nauka złego i dobrego łatwiej udziela się od młodych, od kolegów jak od starszych. Uniknąłem tedy wstydu na lekcyi francuskiej a za powrotem do domu wyznałem z pokorą że i po francusku czytać nie umiém, bo mię nie uczono.

Jeżeli w pierwszej chwili mało o los mój dbali opiekunowie, przypuszczając, że w wieku moim do pierwszej klasy powinienem być być przygotowanym, za to przyznać muszę z wdzięcznością, że dowiedziawszy się, jak nie nie umiém a widząc szczerę i gorącą chęć, uczucie wstydu i ambicyi, z największą troskliwością pracowali, aby dopełnić wielkich braków w mojem wykształceniu. Nie czas było z całą systematycznością uczyć mię prawideł wymawiania, które w ciągu jednodniowej przerwy między lekcyą a lekcyą dokonaćby się nie dało; musiałem przez kilka tygodni wyuczać się każdego zadanego kawałka czytać, do każdego wyrazu mieć wypisane odpowiednich liter wymawianie i umiść to na pamięć. Tak przygotowany stawiałem w klasie pewny przynajmniej tych kilku wiérzsy, które były zadane. Przyznając innym zasługi, przyznać muszę i sobie, że pierwsze miesiące pracowałem z taką zawziętością, z takim uporem, aby wyrównać naprzód niedostatki a potem rozpocząć walkę rywalizacyi z kolegami, iż to zjednało bardzo i serca moich opiekunów i pracę ich dla mnie sporszą i chętniejszą czyniło. Za wielkich wprawdzie ludzi miałem w domu do korepetycyi na pierwszą klasę: ich znaczenie przerażało moją małość; prędszej nieraz byłbym coś pojął od młodego kolegi;

chciałem zrozumieć od razu wszystko a nie mogłem, widząc przed sobą ciągle same znakomitości to wieku, to płci, to urzędu. Uczył mię dziadzio łaciny a zapomniał dawno być cierpliwym nauczycielem a może nigdy nikogo nie uczył, tylko był uczony; — uczyła mię po francusku sama żona opiekuna, kobieta bardzo światła i dowcipna, ale dowcip jój łzy mi wyciskał, światło przerażało. Arytmetykę przerabiał mi profesor kursowy, sam opiekun nad którego mędrszego nie przypuszczałem, aby był na świecie — i ten nie mógł być tyle cierpliwym, ile moja słaba z początku głowa wymagała; trudne więc ciągle położenie w domu, trudne i niebezpieczne w klasie, jednak szło to jakkolwiek, chociaż każda korepetycja łzami mojemi była okupiona, każda lekcyja tajemną febrą poprzedzona. Przyszła wreszcie wielka katastrofa — a po niej.... ale mówmy naprzód o katastrofie i o hańbie, która raz jeszcze spadła na mnie, chociaż wspomnienie samo boli mię dotąd, chociaż zdaje mi się, że potoki łez które wylałem, na twarzy mojej dotąd zostawiły ślady.

Wszystko szło czas jakiś trybem zwyczajnym, z którym już oswoili się dobrze nowo przybyli, a starsi, dawniejsi uczniowie ciężaru karbów jego nie czuli. Taż sama msza codzien o w pół do ósmej, ten sam chrapliwy dzwonek wzywający do lekcyi jeszcze w ostatnich chwilach nabożeństwa, te same grupami wędrowki z lekcyi i na lekcyę, nawet niezmiennający nigdy stanowiska przy galerii dwa żydki: Pekunia i Czarny ze sterczącemi skrzynkami, pełnemi ciastek i przekąsek, w czasie dzie sięcio — minutowej pauzy, — tylko w losach moich cisza zapanowała, żadnemi nieprzerwaną wypadkami uwagi godniejszymi, — aż przyszedł dzień fatalny, tém fatalniejszy, że nastąpił po małym tryumfie na lekcyi religii odniesionym, którego mi nawet koledzy powinszowali.

Był koniec Października podług starego stylu — dzień pochmurny i słotny; przyszlśmy do klasy i nad zwykły termin dłużej czekali na Olędzkiego. Wieść rozszła się, że chory i któryś z guwernerów prywatnych ma go zastąpić; tak nawet utrzymywał cenzor, który zdawało się że wie wszystko. Wtém drzwi się otwierają i wchodzi z ponurém jak zwykle wejrzeniem już niespodziewany profesor. Twarze się zasępiły, pewien szmer zdziwienia i nieukontentowania z doznanego zawodu. Nie przez niechęć ale dla zobaczenia nowój twarzy, dla usłyszenia innego głosu mniej ponurego, nie radzi byliśmy Olędzkiemu. Zasiadł na katedrze, modlitwę odmówić kazał i nie pozwalając czytać listy, aby nagrodzić czas stracony, rozpoczął lekcję.

Rzadko wrywał, jak się to po studencku u nas mówiło, z rejestru, ale zaczynał koleją, ławkami słuchać raz od prawej, drugi raz od lewej zaczynając strony. Czy przyszedł już z pewnym zamiarem, czy go powziął w chwili rozpoczęcia lekcji — dość że nie słuchał lekcji zadanej ale powtarzać kazał przypadkowanie zaimków, które wehodząc do klasy umieć byliśmy powinni. Dla mnie była to rzecz całkiem nowa, dla innych dobrze wiadoma: ja powoli doganiałem w domu to, czego mi brakowało. Nieszczęsne *hic*, *haec*, *hoc* przypadło na mnie, na mnie.... nieprzygotowanego, jak panom wiadomo. Pierwsi przypadkowali oddzielnie każdy rodzaj, mnie kazano przypadkować wszystkie trzy rodzaje współcześnie: z jednym byłbym sobie może dał radę, z trzema — nigdy. Uciekłem się tedy do wybiegu, innego już jak na francuskiej lekcji; — udałem, że nie rozumiem pytania i zacząłem odmieniać samo *hic* (*hik*); Olędzki powtórzył znowu żądanie, aby wszystkie rodzaje połączyć; zapewniłem go z wielką efronterją, że połączę i zacząłem znowu samo

hic odmieniać; rzekł więc znudzony i gniewny: — ale *nequam* odmieniaj wszystkie trzy razem; — odpowiedziałem znowu z równą uległością: dobrze panie profesorze i robiłem swoje. Z mojej strony była wielka zuchwałość, którą pokryć chciałem naiwnością i dobroduszością. Raz już wykręt studencki udał się przy krótko widzącym starcu, ośmielony powodzeniem pierwszym a dbały nadzwyczaj o mój studencki honor, postanowiłem i wykrętem nowym do zuchwałości posuniętym i uporem w naiwność ustrojonym przemódz złe, które spaść na mnie miało. Zawołał Olędzki z największym gniewem: „*ach ty mi nequam, nequissimum caput* (niecnoto jakiś, tępą głową; zamiast *hebes* używał zawsze *nequam*) i nic nie umie, i uparty; — po coś tu usiadł pomiędzy dobrymi, idź stąd precz, żebym cię tu nie widział — precz stąd między osłów,“ i wskazał mi palcem złą stronę, to jest po lewej ręce od katedry ławki ustawione — i tam ostatnim w pierwszej ławce usiąść kazał. Zabrawszy wszystko co moje, nie widząc drogi przed sobą, bo i w oczach mi się zaćmiło, szedłem jak kaléka, a właściwie niewiedziałem gdzie idę. „Pokażcie temu *nequam*, gdzie ma usiąść,“ rzekł Olędzki, i usłudni kole-dzy pokazali i posadzili, a ten, którego miejsce zająłem, przeniósł się na moje miejsce z woli tegoż samego Olędzkiego. Ostatni rozkaz dobił mię: więc to nie kara chwilowa, ale wyrok potępiający na zawsze, bo miejsce moje zajęte. Żem sobie tak rozumował nie w tych zapewne wyrazach, to pewna — i usiadłem zasłoniwszy oczy i głowę rękami, aby nikt wstydu mojego i łez moich nie widział. Możecie sobie państwo sądzić, że przesadzam w malowaniu nieszczęścia mojego, ale Bóg mi świadkiem dzisiaj, że więcej i boleśniej zraniony byłem, niż wam to nawet wyrazić potrafię. To co ludzie dojrza-

nazywają rozpaczą, która ich dotyka po najsroźszej klęsce w rodzinie, w kraju doznanej, taki stan musiał być w mojem sercu i mojej głowie. Po to jechałem blisko sześćdziesiąt mil drogi, do sławnego Krzemieńca, aby w Krzemieńcu siedzieć w ławce między osłami. Jakkolwiek nie byli to wcale osłowie, jak podobało się w gniewie nazywać tę ławkę Olędzkiemu, byli to tylko słabięcy uczący się, ale zawsze dobrzy; — osłów prawdziwych bywało w klasie dwóch, najwięcej trzech — i to zwykle indiwidua upośledzone od natury, których to uczucie wstydu tak bardzo nie dotykało, zresztą chwilowo tylko, za brak pilności, téj kary degradacyi używano. Osła ławka przy drzwiach nieurzędownie i bez wyższego na to upoważnienia, bywała najczęściej pusta. Jedynie w czasie lekcyi miejsca haniebne zajęte były; — gdy prefekt wchodził, zesłańcy podedrzwiami zsuwali się zrzęcznie ku bliższym miejscom katedry, aby zewnątrz murów klasy o téj niesławie niewiedziiano, aby prefekta oko nie dojrzało piętnowanych za próżniactwo. Były to środkiki domowej karności, o których wyższe władze licealne wiedzieć nie potrzebowały, chyba że one niewystarczały, i trzeba było uciec się do energiczniejszych. Szanowano wstyd dziecka i młodzieńca, oszczędzano uczucie to, bo z niego później miał się wyrobić tak zwany *honor* studencki, ambicya szlachetna bez której jak pojedynczy człowiek istnieć nie może, tak tém bardziej zakład naukowy, społeczność ludzka. Dziś to panowie nazywacie dobrze zrozumianym interesem własnym; bo dziś wszystko stało się interesem jak w handlu, jak w sklepie z cygarami i zapalkami; dziś podobno kupiec stara się być rzetelnym, na termin płaci, aby nie stracił kredytu, dla własnego interesu; ale nie dla tego głównie, iż jest rzeczą nieuczciwą zabierać cudze i cu-

dzego używać, nie z bojaźni wyrzutów sumienia, z pogardy dla wszelkiego niecnego uczynku.

Położenie moje było rzeczywiście okropne, już nie w studenckiem znaczeniu. Jeśli tak dalej pójdzie, co powie moja matka, z jakim czołem zasiądę do napisania listu i doniosę jej o sprawowaniu się i nauce. Jestem tu wśród ludzi obcych, przychylnych tylko, ale rodzicielskiej pobłażliwości spodziewać się niepowiniennem; — tyle mię znoszą i serca mi ofiarują, ile zasłużę, nie dobrémi chęciami, ale uczynkami. Kto wiedzieć i przeczuć może, co się dzieje w głębi mego serca, ile cierpię; wprowadź łyż świadczą o cierpieniu, ale łyż świadczą i o bojaźni kary. Siedząc w rozpaczach jeszcze blisko półtorej godziny nic nie słyszałem, co się działo w klasie i słyszeć nie mogłem w tém usposobieniu. Niewiem skąd tyle się łyż wzięło, ale istotnie strumieniami płynęły. W klasie kary nie bałem się żadnej, wiedziałem że żadna mię nie spotka. Wszyscy, od najstarszego do najmłodszego, do sług nawet widzieli, że czasu nie marnuję, że książka i pióro z rąk moich nie wychodzą, — za cóż więc karać było? Ale w domu tym powiedzą sobie może pocichu, że niedołączny, może do Warszawy o tém napiszą! Przy końcu lekcyi tak byłem nieszczęściem przygnębiony, że nie wiedział w którą stronę z klasy udać się na spotkanie mego przybranego do odprowadzania i przyprowadzania dozorczy. Widzieli to koledzy i ze współczuciem wcale niedzielnym, odprowadzili do miejsca, do mego honorowego przewodnika. Przeląkł się pocziwy młodzieńiec twarz meą zobaczywszy, — byłem jakby w masce; policzki nabrzmiały, z za łyż oczu nie było widać — i oczu też podnieść nie śmiałem, — odpowiedzi żadnej na zapytanie dać nie mogłem, bo jakimże głosem się odezwę,

jakie tu słowa znaleźć na usprawiedliwienie — i czego? naprzód tego, że nie umiał, com już powinien umieć, a powtóre tego, że chciałem profesora oszukać! Bo jeszcze cokolwiek się stało i jak się stało, tego usprawiedliwić niepodobna, że miał zamiar oszukania: sumienie mi to mówiło i z tem sumieniem nie starałem się nawet wchodzić w układy żadne. Postępek był zły, i uczułem to sam w sobie, że mię pan Bóg ukarał — i nie powiem, żeby zbyt srogo. Gdybym z jakimś takim powodzeniem użył wykrętu, niezawodnie byłbym próbował tą drogą próbować szczęścia może jeszcze nieraz; tymczasem łaska Pana Boga była dotąd ze mną — i na wstępie do zawodu, który pewni ludzie szanownymi na świecie zwani, całe życie praktykują, wstrzymany zostałem.

W drodze opowiedzieli koledzy moi wypadek cały z Olędzkim, nie dodając, czego istotnie nie przypuszczali, że chciałem profesora oszukać; — przewodnik wysłuchawszy ich, wziął za rękę, starał się uspokoić i przyrzekł, że sam wszystko opowie mojemu opiekunowi. Słaba, żadna pociecha, bo opiekun chociaż mię karać nie będzie, ale z ławek haniebnych nie wyprowadzi, wstydu, który mię spotkał nie wróci i nie zatrze a przyszłości jaką sobie w głowie ułożyłem — *być pierwszym* w klasie, nie da.

Kiedym wszedł do pokoju mego, jak na nieść szczęście, czy może na szczęście, całe grono dom składające zastałem tam zebrane: dziadzio, syn i synowa, dzieci, jedno pełne życia i szczebiotliwości, drugie niemowlę, ale już umiejące z wdziękiem wyciągać rączki, służba nawet, która jest zawsze kiedy niepotrzebna, wszyscy tam jakby umyślnie na świadków wstydu mego zejść się musieli. Czego ci ludzie tam chcieli, o czém radzili,

wiedzieć wówczas nie mogłem i nie dowiedziałem się już nigdy, ale to fakt, że byli tam, i wszyscy na raz zwrócili się ku wchodzącemu, a naprzód Zygmunt przybiegł do mnie i zdawał się chcieć pożałować, bo poznał że zapłakany. Istotnie trudno było nie poznać, trudno było widokiem moim nie przerazić się: wyglądałem jak po ciężko przebytym ospie — z dodatkiem obrzmienia na twarzy i schowanych głęboko pod wstydem — oczu. Dozorca uprzedził pana profesora o moim wypadku, — chciał go nawet prosić za mną, aby mię jaka kara lub nawet nagana nie dotknęła, — ale to było całkiem zbyt; widok twarzy mojej świadczył o nieszczęściu i o głębokim żalu, i o upokorzeniu dumy, która mię trawiła, a która chociaż dobrze wróżyć mogła na przyszłość o uczuciu zbyt delikatnym i pełnym wrażliwości, w dziecku może zanadto rozwiniętym, ale oszczędzania go i uszanowania godnym. Ani wymówek, ani pytań żadnych nie słyszałem; — kazano przynieść wody zimnej, gąbki, ugotować rumianku, dać tymczasem drugie śniadanie, — pierogi hreczane, opiekane z serem, których widok umiędzającego z rozpacz krzemieńzanina, jeszczeby życiem i nadzieją natchnąć potrafił: dziadzio obejrzał moje oczy, sama pani trapiła się wyraźnie rozpaloną głową moją — a opiekun widocznie wzruszony, pomagał krzątającym się i ubolewającym nademną.

Przyznam się, że takiego przyjęcia nie spodziewałem się wcale; mogłem liczyć na pobłażliwe słowa, na zupełne milczenie, na lekkie, w najlepszym razie upomnienie, ale na sympatyę, na litość, na tak gorące zajęcie się losem moim, fizyonomią moją zeszpeconą, — nie liczyłem; — i to była niespodzianka tak wielka i tak radosna, że za nią najszczerząca wdzięczność obudziła się w sercu mojem. W tak bolesnym, publicznym upokorze-

niu, jakie mię dotknęło, w tój rozpacz, która w wieku moim i życiu studenckiem była i wielką i rzeczywistą, tylko serdeczne słowa pociechy z ust poważniejszych, ulgę przynieść mogły. W późniejszym czasie zdarzają się większe do rozpacz powody, większe klęski i niepowodzenia, boleści stokroć trudniejsze do przeniesienia — ale w tym późniejszym wieku, jest i siła i dojrzałość umysłu i doświadczenie, któremi pokonywamy zawody i odrzucamy przeciwności. W wieku dziecinnym, młodzieńczym, w szkole, cóż może być dotkliwszego nad wstyd publiczny, co smutniejszego jak widzieć pracę swoją szczera, gorliwą i ciąglą nienagrodzoną przychylnym słowem profesora? Boć to przecie i w języku studenckim jest wyrażenie najdoskonalej myśli oddające: wszak dziecko inaczej nie mówi, tylko że się nauczyło *dla pana* Ołędzkiego, Ostrowskiego, Strzeleckiego, ale nigdy nie myśli i nieprzypuszcza, że uczy się *dla siebie*; wszak ono o tём tylko marzy, jeżeli pocziwe i kochające swoich rodziców, jak ci rodzice przyjmą cenzurę czy świadectwo ze szkół przywiezione. — Ja, w mojem położeniu czém się pochwalić mogłem matce zdala myśląc o mnie i płacząc może, że mię nie widzi? z czém stanąć miałem przed opiekunem, który nie był mi ojcem a więc surowszym i sprawiedliwszym być musiał? Jak jutro wejść do tój klasy, gdzie wszyscy byli świadkami wygnania mego na ławkę hańby. Trzeba niemić najmniejszego uczucia godności osobistój, trzeba niemić serca dla łez i miłości matki, szlachetnej bojaźni dla smutku i gniewu ojca, żeby tego nie czuć. Im to uczucie jest drażliwsze, miększe, delikatniejsze, tём boleść i wstyd dotkliwiej dojmują i dręczą — tём bardziej, powtarzam raz jeszcze, szanowaniem i oszczędzaniem być powinno.

Nie znalazłem tedy w domu dalszego ciągu wyrzutów, ale serdeczną pobłażliwość, widoczną o moje zdrowie troskliwość i współczucie dla nieszczęścia. To pierwsza nagroda za pracę, którą wszyscy widzieli, jak tam w szkole była pierwsza, widocznie kara Boża, za nierzetelność w postępowaniu. Tym trybem szło mi życie i praca zawsze; zawsze wysileniem największym zdobywałem każdy szczebel w zasłudze, każdy uznania wyraz. Na los spuszczać się nie mogłem; — o tём już dowiedziałem się w szkole; — a powiedzcie państwo sumiennie, czy to nie znakomita nauka dla każdego, czy to nie najważniejsze ostrzeżenie, iż życie człowieka powinno być ciągiem rzetelnej pracy i ciągiem prawości a nie szalbierstwem, którym radzi próbujemy czy się świat odurzyć nie da. Możem tu co za wiele powiedział, przepraszam, pójdziemy natychmiast dalej i przygotujemy się lepiej na następną lekcję łacińską.

Pierwsze dni po smutnym wypadku przeżyłem w takim odosobnieniu od kolegów, że dowcipni i złośliwi, których zawsze każda klasa dosyć liczy, zaczęli szydzić z mojego smutku i przezywać: to samotnikiem, to puktnikiem, to pustelnikiem warszawskim; — jam jednak nieodpowiadał moim prześladowcom, nie pytał o nie i nie zbliżał się do żadnego. Trwała ta żałoba kilkanaście dni i więcej a usposobienie moje i położenie w niczym się niezmieniło. Lekcje rossyjskie już mię na szyderstwo nienarażały, na francuskim języku zrównałem się z najlepszymi, a na religii byłem pierwszym istotnie. Zajmowałem na wszystkich przedmiotach czwarte miejsce w pierwszej ławce, chociaż nie na wszystkich należało mi się słuszniej; na łacinie tylko i polskim przechodziłem skromnie do złej ławki i czekałem cierpliwie zmiany losu.

Od kilku dni byłem zawsze tak przygotowany na wszelki wypadek, że słuchając jak inni odpowiadali, czułem, iż odpowiedziałbym lepiej. Zwyczaj jednak przyjęty od Olędzkiego słuchania ławkami i z kolei pozbawiał mnie możliwości pokazania co i jak umiem. Zwyczaj, przyznać muszę nie bardzo dobry, bo ci sami ciągle mówili a przeszło dwudziestu zostawało w opuszczeniu i zapomnieniu zupełnym. Przyczyna tej metody bez metody tłumaczyła się nienormalnym stanem profesora, który doznawszy jakiegś bolesnej w rodzinie swojej straty, zmienił się do niepoznania od niejakiego czasu, zaniedbał, i z najzdolniejszego nauczyciela stał się najnieużyteczniejszym. Ten stan chorobliwy trwał jeszcze przy mnie dwa lata, aż skończył się śmiercią nieszczęśliwego, prawdziwie żalu godnego człowieka.

Recytowano z kolei ławkami i kilka razy już tylko jeden numer oddzielał mnie od chwili, kiedybym mógł być zapytany — a dzwonek korytarzowy zabijał moje nadzieje popisania się, przypominając zmianę lekcji. Nadszedł wreszcie dzień straszny dla wielu: — lekcja była trudna, z gramatyki łacińskiej czasowanie bierne formy trzeciej i gramatyka polska z jakimś długim wierszowanym przykładem. Jeżeli panom moim przypomnieć wypadła pierwszą Olędzkiego lekcją, to odwołam się do niej — że gramatyka polska i łacińska Kopczyńskiego już zarzucone zostały w Krzemieńcu; uczyliśmy się podług gramatyki Maksymiliana Jakubowicza, profesora literatury łacińskiej i starożytności (*antiquitates*) na kursach. Obie gramatyki dla dzieci trudniejsze były od Kopczyńskiego, szczególnie polska, dziś w świecie naukowym mało znana, chociaż wielkimi zaletami gruntowności i ścisłości górująca nad wielą innymi po szkołach polskich upowszechnionymi.

Było wyrażenie Krzemieńcowi tylko właściwe, kiedy który z uczniów nieumiał lekcji i mówił Bóg wie po jakiemu — że się *pyli*; nieumiał nic, więc się *spylił*, umiał słabo, więc *pylił się*. Wyrażenie dość charakterystyczne i bardzo łagodnie obok dobitności malowało ten stan moralny przykry bardzo, gdy uczeń nie mogąc wybrnąć z kłopotu, jako źle przygotowany, pokrywał się niejako — *pyłem* — wstydu. Zdaje mi się, jeśli jakie wyrażenie na podobny wypadek jest potrzebne, to przyzwoitsza nazwa jego byłaby *pylić się*, jak gburowate w niektórych szkołach używane, *zrył*, które powinny być zakazanym. Lekcja tedy jak powiedziałem, była trudna i pylił się studenci jeden po drugim we wszystkich dobrych ławkach, spylił się jeden nawet drugoletni w pierwszej ławce. Ponieważ *pylenie się* było powszechne, więc prędko przechodziła kolęj — i po trzykroć aż do mnie sięgała, i na mnie się kończyła.

W drugiej kolejce, z *czasowania* spylił się okropnie siedzący na pierwszego w trzeciej ławce: — proszę mi wybaczyć ten styl szkolny i studencki, ale nie potrafiłbym rzetelnie odmalować wypadków i oddać myśli, gdybym się wyrażał po światowemu. Spylił się jeszcze dobry wcale uczeń w drugiej ławce, spylił się po nim mniej lub więcej nie jeden i otrzymał przydomek *nequam* i *nequissimum caput*, którym Olędzki nieuków obdarzał; ale gdy na mnie kolęj przyszła, odpowiedziałem bez zająknięcia z pewnością i dobitnością uderzającą. Już w pierwszej kolejce potrafiłem zwrócić uwagę Olędzkiego, że zapytał cenzora, jak się ten *nequam* nazywa: przy drugim popisie sam zapytać się raczył w pewnym tonie nieukontentowania, „*jak ty się nazywasz*”, po coś tam usiadł tak daleko? — jam milczał spuszczaając oczy, zaś cenzor a za nim z wielkim hałasem cała klasa odpowiedziała: *pan profesor*

kazał! Hałas taki mógł się zdarzyć tylko na łacinie, jużby w tym stopniu zdarzyć się nie mógł nawet na francuskiej lekcji lub kaligrafii. Pytał mię tedy Olędzki, po com tak daleka usiadł, jak się nazywam! Mój Boże! on nawet nie wiedział, nie pamiętał, że mię sam posadził, niepamiętał nazwiska mojego! — a ja, — tak do serca wziąłem ten wyrok z największą obojętnością wydany, tak szczerze i gorzko opłakałem go łzami! Być bardzo może, że ta obojętność była udaną, kara dobrze obmyślana, czas pokuty za lekceważenie obowiązku, za zamiar oszustwa, naprzód dobrze określony i oznaczony, — bo często przy pozornej, zupełnej obojętności, przy jakimś uspianiu zmysłów, człowiek ten wiedział wszystko, co się wokoło niego działo; — nie uważał niby, jednak pamiętał i w swoim czasie najnie spodziewaniej wypominał. Mniejsza zresztą o to, z jakim celem wyrok był wydany: — czy ze świadomością czy bez niej, czy protekcyja opiekuna mojego wpłynęła co na skrócenie lub przedłużenie kary, dość że zbliżył się dzień i godzina ostatnia pokuty a i zupełny tryumf zdawał się niedaleki.

Po spyleniu się dobrego ucznia w trzeciej dobrej ławce, mnie miejsce jego zająć kazano — a zawsze z tą zgryźliwością tonu, z tą zwykłą obojętnością dobrym i złym dekretów towarzyszącą. Z inną teraz miną zbierałem książki moje, kajeta i czapkę dla przeniesienia ich na zdobyte pracą i łzami stanowisko. Od miejsca, którem zajął z początku samowolnie, któregom z usposobienia nie był godzien, a którego nieumiałem utrzymać koniecznym wszystkich sił i czasu nakładem, oddziało mię jeszcze 20 numerów wyższych, — a jednak byłem szczęśliwy, dumny, bom je sobie sam zdobył. Nadeszła trzecia kolej mówienia gramatyki polskiej, naj-

trudniejszego przedmiotu; zaledwie kilku dobrze powiedział, jam powiedział najlepiej i zająłem miejsce w drugiej ławce dobrej, i jeszcze nieusadowił się w nowej godności, kiedy Olędzki z energiją zawołał: „ty wart jesteś nawet zająć miejsce tego *nequam* Prosofskiego: (nazwisko prawdziwe i pamiętne mi na całe życie) bo on dotąd ani razu dobrze mi nie odpowiedział; — idź na jego miejsce“; a było to miejsce moje niegdyś, z którego tak haniebnie a sprawiedliwie spędzony zostałem. Oduurzony byłem tém powodzeniem, cała klasa patrzyła w zdumieniu na moje co chwila nowo zdobywane zaszczyty, na tryumf prawdziwy, — jednak nie dziękowałem za nie, nie przyszło mi to do głowy; — brałem i brałem nagrody jako należną mi własność nieoglądając się, że łzy nieszczęśliwych, zdegradowanych szły za mną, nie pomyślawszy, że nie jeden może tak cierpiał i tyle czuł, co ja przed kilku tygodniami. Nie tu był koniec tryumfu mojego; los chciał mię sowiciej wynagrodzić za pokorę, żal i boleść — a najwięcej, za rzetelną, spokojną bez szemrania na losy, — pracę. Uczeń na pierwszym miejscu siedzący, — darujcie, że i to wielkie imię podam do wiadomości waszej, *Kiejs Michał*, młodzieniec istotnie zdolny bardzo, wybornie przygotowany, pierwszy matematyk na lekcji Strzeleckiego, ufając zbyt cennie może siłom swoim, nadto pewny swoich zasług, spokojnie przypatrywał się tej prawdziwej rewolucji w klasie i właśnie w tej chwili, kiedy zajmował miejsce w pierwszej ławce, wychylił się, aby mi powinszować gestem i spojrzeniem, — a dobry był chłopiec pod każdym względem, gdy postrzegł to Olędzki. „I ty mi tu *nequam* kręcisz się i hałas robisz, ty, coś powinien być przykładem dla wszystkich, — zawołał tonem znacznie groźniejszym jak kiedykolwiek; — idź stąd, oddaj rejestr jemu (wska-

zując na mnie) i siadaj na jego miejscu.“ Posłuszny prymus, jak to dziś nazywają, zabrał swoje książki i szedł ku mnie — a ja nie wierząc szczęściu mojemu, teraz już nad zasługi goniącemu za mną, siedziałem jeszcze, gdy niecierpliwy gest Olędzkiego obudził mię z marzenia: zabrałem rejestr zapominając o książkach i stanąłem na czele klasy pierwszej! Łacina i polski, przedmioty najważniejsze po religii, w której dalszy numer zajmując, do najlepszych jednak liczyłem się uczniów, stanowiły podstawę niewzruszoną do wszystkich zaszczytów. W ręku moim rejestr całej klasy! rejestr własny profesora, w którym zapisywał stopnie i prymusowi straż ich powierzał. Buława marszałkowska niemoże być droższą szczęśliwemu wodzowi, jak mnie była lista uczniów ze stopniami ich nauki. Tak nagradzał Olędzki ucznia celującego z celujących; nagroda hojna zaprawdę, dowodząca najwyższego zaufania, na które, jeżeli dotąd nie miał sposobności zasłużyć, to postanowiłem sobie w duchu, że godnym się jęj stanę. Oddawać listę uczniów z ich stopniami, tylko Olędzki miał zwyczaj, i to nie od dawna. Kiedy całej klasy oczy na mnie się zwracały, byłem przekonany, że i świat cały widzi moję sławę, że już wie o niej i moja matka w Warszawie, bo tam właściwie świat mój się kończył, a dowie się także zacny opiekun, który czule krzątał się około łez moich, gdy mi całą twarz w dniu nieszczęścia zalały i zeszpeciły. Czekałem niecierpliwie ale w najgłębszym milczeniu uderzenia 10tej godziny, bo lękałem się nowego zwrotu w losie; potrzebowałem co prędzej stanąć w domu z twarzą rozjaśnioną, z listą uczniów pierwszej klasy w ręku!

Powodzenie to, może większe nad zasługę, umiałem usprawiedliwić pilnością stałą, która mię już nic nie kosztowała, uwagą w czasie lekcji, która tak mi się

opłacała, że korrepetycyi przestał potrzebować, i łatwością w nauce do tego stopnia rozwiniętą, że właściwie bez trudu i wysilenia, tylko samą dbałością, aby nic nie opuścić, o żadnym najdrobniejszym szczególe w żadnej lekcji niezapomnieć, utrzymałem się na zajętem stanowisku. Nieszczęście wielkie i powodzenie wielkie jakąś dojrzałość dały umysłowi mojemu. Nie rozumowałem, bo do tego za wzięte jeszcze było usposobienie moje, ale instynktem wiedziony, podczas lekcji, tylko tej lekcji czas poświęcałem. Przekonałem się, że najlepsza korepetycya w domu nie wyrówna objaśnieniu, jakie w klasie miałem — i dziś powtarzam to zawsze młodemu i starszemu, póki są studentami, — że tajemnicą powodzenia w naukach szkół publicznych, postępu niezawodnego i niezawodnej promocyi, jest uwaga w klasie. Już o tém w inném miejscu mówiłem Józiovi i dziś przy wspomnieniach szkolnych z mojego życia, gdy sobie żywo wystawiam te czasy złote, kiedy, chociaż dotknęła niekiedy umysłna lub przypadkowa niesprawiedliwość od przewodników, wszystko zawsze zależało, złe i dobre odemnie samego, — upominam i proszę młodych czytelników moich, uczniów jakiegobądź klasy, — uważajcie najpilniej w klasie a połowę pracy, jeśli wam praca nie miła, oszczędzicie sobie, i promocyja, pochwała albo nagroda, w miarę zdolności waszych nigdy was nie minie.

Już tu panom opowiadać nie będę, jakie w domu spotkało mię przyjęcie — jak w drodze do domu już wieść o wielkim wypadku w pierwszej klasie, przeniknąwszy w dalsze sfery, gromadziła koło mnie kolegów nawet z klas wyższych. Dowiedział się o nim mój honorowy dozorca, dowiedzieli się jego uczniowie, ci podali go innym... i jak tryumfator wśród powinszowań i wykrzykników wszedłem na dziedziniec domowy.

Jakże inne stało się od tej chwili moje położenie, jak inny na drugi dzień wchodziłem do klasy; — nie ów ponury melancholik, nie samotnik, odludek ale protektor życzliwy, przyjazny wszystkim niższemu odemnie. Rzeczywiście ubiegano się o moje względy, w każdej trudności przed wejściem nauczyciela szukano mojej rady, objaśnienia, a ja doprawdy i wyrozumiałym i lepszym się stałem od tego dnia tryumfu. Nie jest to bynajmniej bajka, że jednym pieniądzem, drugim powodzenie przysparza rozum, daje im pewność ruchu, słowa i siłę przekonywania. Gdybym był przed tryumfem powiedział to samo, co potem kolegom radzącym się mojej głowy mówiłem, aniby wierzyli, ani słuchali, — teraz słuchali, wierzyli i dziękowali. Nieraz jeszcze w tej samej klasie i w dalszych zdarzały się chwile, że potrafił zwrócić uwagę wszystkich kolegów dobrą odpowiedzią, kiedy nikt odpowiedzieć nie umiał, nawet szczególną jakąś pochwałę samego profesora zyskać: — były to już jednak tryumfy drugiego rzędu.

Pamięć nieszczęścia znika zwykle, zacięra się czasem zupełnie z chwilą pomyślności — i ja o moich biędach prędko zapomniałem zajmując od kilku tygodni pierwsze miejsce w klasie; godność ta już zdawała się tak dawno otrzymaną, tak do niej przywykłem, że inne położenie choćby zaszczytne, jeśli nie to samo, byłoby mi prawie nieznośnem. Na utrzymanie jego potrzebowałem tylko trwać w dotychczasowej, spokojnej pracy, bez nadzwyczajnych wysiłów. Ważniejszych wypadków klasa nasza nie była świadkiem przez czas długi... aż do wizyty Dyrektora Lewickiego.

Postrzeżliście panowie zapewne, że dotąd ledwie lekką wzmiankę uczyniłem o dyrektorze: wszystko załatwiał prefekt, wszystkie większe sprawy on rozstrzygał, wszystkie rozporządzenia z jego podpisem wycho-

dziły. W ustach uczniów był tylko prefekt, do niego zwykle ostatnie odwołanie się i ostatni wyrok. Powaga nauczycieli była tak wielką, szacunek tak powszechny i tak naturalny, tak z obyczajem szkoły i uczniów zrosły, że rzadko kiedy słowo ich niewystarczało, rzadko kiedy władza prefekta potrzebną była. W ręku prefekta był cały zarząd maturalny, kontrola nad obyczajami uczniów za szkołą, do której pomagali mu z powołania dwaj inspektorowie rozkazy jego wykonywający i zdający mu raporta o tem, co zaszło a narażało porządek na kwaterach uczniów. Inną kary, prócz klęczenia w klasie, nieznano, a straszniejsza i dotkliwsza, gdy musiała być zastosowaną, odbywała się gdzieś daleko w drugim gmachu o kilkadziesiąt kroków od klas odległym. Być powołanym do kancelaryi równało się ostatecznej hańbie, bo karze cielesnej, która zniesioną wówczas nie była, ale używaną nadzwyczaj rzadko i za wykroczenia wielkie. Już w trzeciej klasie wypadki takiej kary zdarzały się zaledwie parę razy do roku, o czwartoklasniku tak surowo ukaranym jeśli się wieść rozeszła, to zgrozą i oburzeniem przejmowała szkołę nie przeciw prefektowi, który ją wymierzał, ale uczniowi, który na nią zasłużył. Na kursach mowy nawet być niemogło ani o tego rodzaju wykroczeniu, któreby hańbiącą ścigało karę, ani o samej karze. Znajdę jeszcze sposobność powiedzenia wam w końcu tej historii, o rodzajach wykroczeń i o porządku kar, — tu chciałem panom dać objaśnienie, dla czego o dyrektorze tak mało dotąd mówiłem, dla czego tak do ważniejszych wypadków policzyłem wizytę jego w klasie.

Nauczyciel w rzeczach nauki i moralności był wszystkiem — prefekt rządem i kontrolą nad obyczajami.

Dyrektor był reprezentacją Liceum zewnątrz jego, miał tytuł dyrektora Liceum i szkół gubernii wołyń-

skie, — czuwać więc musiał nad kierunkiem naukowym wszystkich szkół całej prowincyi, odwiedzać je kiedy niekiedy, odwiedzając zachęcać zwierzchników do trwałości w pracy i czuwania nad moralnym kierunkiem szkoły, uczniów zagrzewać do nauki i cnoty, do szanowania tych, którzy im przewodniczą. Wizyta dyrektora w szkole powiatowej lub parafialnej stanowiła epokę dla tej szkoły, — a odbywała się zawsze z taką uroczystością, że na każdą prawie grono znakomitszych obywateli kraju zjeżdżało i tym sposobem świetności jej dodawało. Działanie więc dyrektora było rozległe, bo zarząd kilkudziesięciu szkołami i liczna korespondencya z uniwersytetem Wileńskim, jako władzą najwyższą. Stąd szczegóły drobne codziennego biegu życia, raz w kole, właściwą wprowadzonego dochodzić do niego nie mogły. Skład profesorów był wyborowy, zaufanie posiadali zupełnie, wszyscy prawie jeszcze staraniem Czackiego samego sprowadzeni z różnych dzielnic kraju, po zagranicami naszej prowincyi. Dyrektor niepotrzebował czuwać nad takimi ludźmi, czuwał nad nimi własny ich honor, wielkie pojęcie obowiązków dla szkoły tej a więc dla kraju spełnianych. Nie mieliśmy rzemieślników w zawodzie nauczycielskim, którzy dla chleba tylko zawód ten obierali, ale ludzi kochających swój przedmiot i uprawiających go z prawdziwem zamiłowaniem i kochających młodzież, która w nich na prawdę nietylko przewodników w nauce ale zastępstwo rodziców swych widziała. To nie przesada, to nie urojenie, ale prawda, jaką wam tu mówię. Czytajcie pamiętniki o Krzemieńcu najbliższych świadków dziejów tej szkoły a przekonacie się, że takich mieliśmy nauczycieli, jakich tu opisałem. Mogła w początku założenia gimnazjum potrzebną być instrukcyja dyrektora dla nowych nauczy-

cieli, czynniejsze jego wglądanie w wykład i kierunek moralny; — po latach dziesięciu już taka kontrola była zbyt zbyteczną a byłaby nawet ubliżającą powadze nauczycielskiej.

Rozeszła się wieść od rana, że dyrektor miał być na lekcji języka polskiego: — już drugi kwartał prac szkolnych był na schyłku a nikt z nas dyrektora nie widział. Jeśli tak wielką figurą był każdy nauczyciel, jeśli taką potęgą był prefekt, — cóż to za człowiek musiał być dyrektor, jak wyglądał, jak mówił, jak chodził! Oczekiwanie to zaostrzył i pewien rodzaj czci ku dyrektorowi obudził pocziwy Lefort, który przed kilku dniami zasłyszawszy coś o tym niezwykłym wypadku, o honorze, jaki spaść miał na klasę, — opowiadał nam, ile to uczeń pracować powinien, jak być spokojnym w klasie, jak obyczajnym, żeby godzin był stanąć przed dyrektorem i być od niego pochwalonym. Chociaż mówił o tém połamaną i niezmiernie śmieszną polszczyzną, rzecz jednak sama była nadzwyczaj ważna, dyrektor istotnie mógł przyjść do klasy i klasa być uszczęśliwioną bytnością jego. Prefekta widywaliśmy co dzień na korytarzu, w kościele, przychodził czasem do klasy z jakimś krótkim poleceniem, a jednak dreszcze nas przejmowały, gdy się ukazał; i wolelibyśmy z całego serca jak najrzadziej go widywać u siebie, bo chociaż nie często zwywał nas na poufną, zbyt dotkliwą konferencyą, zawsze jednak gdy wchodził, mógł kogoś wezwać.

Miał tedy przybyć dyrektor. Nikt nie uprzedzał nas, że będzie, jednak wieść ta zamieniła się wkrótce w wiadomość, aż nakoniec stała się pewnością. Drzwi klasy rozwarły się na oścież i ukazał się naprzód... wielki fotel oburącz przez szwajcara niesiony, za szwajcarem jeszcze jeden i drugi sługa z krzesłami w ręku,

z uroczystym wyrazem na samą ich twarz wrytym. Olędzki zdawał się niekontent, wstał jednak ze swego miejsca, zeszedł z katedry — i jego fotel i stół zestawione na środek sali, umieszczono z boku; — poruszenie było ogólne: uczniowie porządkowali swoje książki i kajeta, zapinali mundury, choć nikt tego nie wymagał i nie nakazywał, przybierali pokorną minę wielkiej skromności i potulności, i mnie, choć pierwszemu a więc pewnemu znaczeniu swego serce żywiej biło. Cenzor zajął miejsce widoczniejsze, aby być gotowym do odpowiedzi, gdy zapytają o dziennik, o liczbę uczniów, o liczbę chorych, opuszczających lekcye itd. Wszystko to notował sobie na karteczce dla podania jej, gdy dyrektor zażąda. Znowu cisza — lekcya odbywała się spokojnie ale leniwo, — bo niepokój trapił i górował zupełnie nad niecierpliwym wypadku oczekiwaniem i ciekawością. W tém szmer wielki powstał na korytarzu — stąpania coraz wyraźniejsze licznych nóg posuwających się ku drzwiom naszym — i gwar rozmowy ożywionej — aż nagle wszystko ucichło. Obie połowy drzwi otworzyły się szeroko i ukazała się poważna postać człowieka, którego dyrektorem zwano. Postać nie wyniosła, jednak imponująca — twarz blada, łagodna, cierpieniem naznaczona, krzyż świecący na szyi ciekawszy w pierwszej chwili nad wszystko i podziwienie wzbudzający, bośmy jako dzieci mało święcidełek, czyli orderów widywali dotąd, stosunków z władcami rossyjskimi niemiejąc żadnych. W czasie otwarcia Liceum na początku roku szkolnego, gwiazd, orderów, wstęg nawet było kilka, ale wtenczas wszystkiego, co nadzwyczajne, świetne ukazało się tak wiele, że na szczegóły niepodobna było zwrócić uwagi. Tu jeden człowiek ściągnął uwagę wszystkich, cokolwiek więc go różniło od pospolitego świata, od osób, które w codziennych zostawały z nami stosunkach,

musiało zajmować więcej i zadziwiać. Szedł dyrektor krokiem poważnym i dość skorym; — chodu jego nie było słyhać, albo może ginał w szmerze licznych orszaków. Towarzyszył mu prefekt, sekretarz, jeden z nauczycieli kursów, któregośmy dotąd nie znali, mówiono, że Wyżewski, niezwykle miła i uroczysta figura — wysoki, chudy z wielką trzciniową laską w rękę; miał takąż i dyrektor ale ze złotą gałką: na końcu szli pedele, którzy jednak nie posunęli się do środka sali, ale zajęli miejsca przy drzwiach niesiadając przez cały czas wizyty. Nie u progu drzwi, jakto później w innych szkołach w zwyczaj wchodziło, gdy zapomniano, że podstawą dobrej szkoły i dobrej nauki i moralności, jest powaga nauczyciela, szacunek, którym go tak zwierzchnik jak i publiczność odznaczać powinni; — więc nie w progu, ale w pośrodku sali przyjmował Olędzki władzę najwyższą Liceum. Uprzejmy obustronny ukłon jednakię zdawało się miary i podanie ręki dyrektorskiej nauczycielowi — stanowiło powitanie. Dyrektor Lewicki, radca kollegialny, doktor filozofii zasiadł na przygotowanym krześle, obok niego tuż wykładający przedmiot nauczyciel, — dalej z jednej i drugiej strony, prefekt, profesor Wyżewski, sekretarz kancelaryi dyrektorskiej w pewnym od tego poważnego grona oddaleniu: — wszyscy w mundurach codziennie używanych, przy szpadach, dyrektor bez szpady w mundurowym fraku. Co się w sercu mojem i głowie działo, to samo zapewne i w innych głowach i sercach. Obawa jak przed sądem, który ma stanowić o honorze ucznia. Na zapytanie, ilu uczniów ma klasa, ilu słabych, ilu bez dostatecznie usprawiedliwionej przyczyny opuściło lekcye od początku roku, ilu było na wykazach niedbałych w nauce i obyczajach, — odpowiedział cenzor podaniem przygotowanej kartki; — nazwisk

kartka nie zawierała, tylko liczby, bo niedbali jeszcze poprawić się mogli. Następnie podał nauczyciel listę uczniów, w której codzienny postęp był zapisywany i wskazał na mnie, że ja byłem jój stróżem. Oko dyrektora spoczęło na mnie krótko i odwróciło się do profesora, który oświadczył pół głosem kto jestem z nazwiska i imienia.

Znowu milczenie i trwożne oczekiwanie, aż dzwicznym i donośnym głosem, nieco deklamacyjnie, jak to sobie później nazwać ośmieliłem się, po latach wielu i zawodach większych jak w pierwszej klasie a tryumfach, niestety! żadnych, — wywołał dyrektor na środek jednego z lepszych uczniów i sam zadał mu pytanie z gramatyki polskiej; — po nim stanął drugi i trzeci i tak dalej, — a wszyscy odpowiadali z bojaźnią widoczną i pomieszaniem, które starał się ułagodzić egzaminujący zwierzchnik powtarzaniem pytania w coraz nowych zwrotach i wyrażeniach. Przyznaję dziś jeszcze, że mówił pięknie i jasno, tonem łagodnym a zawsze uroczystym, ośmielał i poprawiał bez nagany, wtenczas nawet, kiedy odpowiedź ucznia była zła zupełnie. Po półgodzinnym egzaminie opamiętaliśmy się wszyscy i przytomniej zaczęli odpowiadać; — zauważył tę zmianę Lewicki i w kilku pochlebnych wyrazach przemówił do profesora, który uprzejmym ukłonem za komplement podziękował. Znowu mała pauza i cisza; zająć miała zmiana przedmiotu; — dyrektor wziął książkę do ręki, z której czytaliśmy zwykle i odezwał się zwracając na obie strony ławek, gdzie kilkadziesiąt zapłonionych twarzy spojrzeniem ku niemu odpowiedziało: „Teraz pokazacie mi asanowie — (a z tych *asanów* najstarszy nie miał lat trzynastu) jak czytać umiecie. Myślicie sobie, że to będzie egzamin łatwy, że czytać umie tu każdy,

a mnie się zdaje, że to łatwe nie będzie, żaden z was dobrém czytaniem się nie pochwali; spróbujemy; może się mylę, asanowie postarajcie się przekonać mię, że się myliłem.“ Dziwna wydała nam się ta odezwa, bo czytaliśmy wszyscy płynnie i wyraźnie wymawiać umieli. Wyrwał najbliższego z pierwszej lewej ławki, — ten wstał i czytał dobrze... po swojemu; — wezwał drugiego z innej ławki a pierwszemu nie powiedział, czy źle czy dobrze czytał: drugi szedł dalej od miejsca, na którym pierwszy skończył: — po jednym, po dwa peryody przeczytało kilkunastu a z ruchów pana dyrektora dojść nie mogliśmy, czy go to czytanie zaspokajało lub nie. Po tej próbie podniosłszy książkę do oczu swoich złotymi okularami zasłoniętych: rzekł poważnie: „proszę uważać — ja wam przeczytam tak, jak chciałbym, żebyście i wy czytali.“ Czytał więc sam — a my po pierwszych kilku wyrazach, po jednym i drugim peryodzie zauważyliśmy, że czytanie było inne. Głos dyrektora podnosił się i spadał lekko bez widocznych przyrękowań, jednak doskonale malował znaczenie wyrazów i myśli, żeśmy zdziwieni poznali, jak dalekiem było nasze czytanie od jego, i niestety! jak daleko jaśniejszém i przyjemniejszém. Po przeczytaniu kilkadziesiątu wierszy, co jednak parę minut trwało, przestał i rzucił okiem na słuchaczów zdziwionych i oczarowanych prawie — i zapytał: „kto z asanów powtórzy tak, jak słyszał i zrozumiał“ — nikt na razie niechciał odezwać się, że powtórzyć potrafi, — dyrektor czekał jednak: *ja* powtórzę, rzekłem zcichą drżącym głosem; — „powtórzysz asan? — a! to słucham,“ odezwał się dyrektor z powątpiewaniem, które dostrzegłem w głosie — i które, wyznaję — obraziło mię. Tém zapalczywiej rzuciłem się na ów ustęp i przeczytałem zachowując najściślej wszelkie załamania głosu, ton nawet dyrektora naśladować; czułem, że czy-

tam dobrze i t $\acute{e}$ m pewniej i śmiej $\acute{e}$ j dobijałem do końca. „Nie można lepij $\acute{e}$ j, rzekł dyrektor zwracając się ku mnie, bardzo dobrze, jak się wasan nazywasz“ — zapytał — powiedziałem nazwisko znowu z tą samą bojaźliwością, jaka mi $\acute{e}$ nieodstępowała w kaźd $\acute{e}$ j waźniejsz $\acute{e}$ j chwili życia — chociaź wiedziałem, że $\acute{m}$ wygrał sprawę. Juź wam moi panowie, wspomniałem nieraz, że fortuna w ściślej przyjaźni żyć ze mną nie chciała, musiałem z najwi $\acute{e}$ ksz $\acute{e}$ m wysileni $\acute{e}$ m zdobywać ją, i zdobyta jeszcze się wydierała, i szyderczy pokazywała mi uśmiej $\acute{e}$ ch. Tak zwani przyjaciele, jeśli mi jakąś drobną sprawiedliwość oddać byli zmuszeni, pochwalić i zaśluzenie, czynili to zawsze na p $\acute{o$ ł z ironiją, pokazując, że i oni dokonali $\acute{b}$ y tego, gdyby chcieli, ale nie raczą, więc nie czynią; zawsze dawali mi uczuć najdelikatniej, że ich kieszenie daleko pełniejsze od moich.

Gdy $\acute{m}$ powiedział nazwisko, profesor pospieszył dodać, że się odznaczam szczególną pilnością, że słabo z początku usposobiony, dogoniłem najlepszych i zostałem pi $\acute{e$ rwszym. Słuchał dyrektor t $\acute{e}$ j relacji, raz jeszcze obrócił się na mnie, nast $\acute{e}$ pnie dobył pugilares — i mówiąc — „o takim młodzi $\acute{e}$ ncu chcia $\acute{b}$ y $\acute{m}$ pamiętać“ nazwisko moje, widziałem to sam na własne oczy, dot $\acute{e}$ go pugilaresu, czerwonego! duzego zapisał. Prefekt z daleka kiwnął mi głową, Wyżewski spojrzeć raczył, a była to postawa dumniejsza i wspanialsza od samego dyrektora, — pedele wychylili się z za tablicy i wyraźnie jeden drugiemu powiedział, jak się nazywa ten warszawiak, co często płacze: tak mówiono o mnie powszechnie między starszyzną i kolegami. Na t $\acute{e}$ m skończył się egzamin — powstał dyrektor, pożegnał uprzejmie Ol $\acute{e}$ dzkiego, kilka słów serdecznych zachęty do pracy wyrzekł do nas i tym samym powaźnym krokiem wyszedł z sali z całym or-

szakiem, unosząc z sobą w pugilaresie nazwisko moje. Długo oczekiwałem wielkich skutków *zapisania* — i nie-
doczekałem się niestety! Czy nie było sposobności nagrodzić niezwykłą pilność moją jakimś szczególnym darem łaski, czy słabość dyrektora powtarzająca się często, aż go przemogła, po długich cierpieniach w parę lat późn $\acute{e}$ j, nie pozwoliła pomyśleć o zapisanym w pugilaresie, — dość że na t $\acute{e}$ m się skończyło.

Juź półrocze miało się ku końcowi, — nastał egzamin z wielką scisłością odbywające się, po których otrzymałem wszystkie pi $\acute{e$ rwsze stopnie, prócz z rosyjskiego za kaleczenie akcentu. Jeżeli za dobrą naukę, pilność stała i wzorowe obyczaje nagroda jaka jest konieczną, to niezawodnie w wieku dziecin $\acute{e}$ m i młodzi $\acute{e}$ nczym nawet, kiedy dobre zrozumienie pożytku z uczciwości osobist $\acute{e}$ j i nauki gruntown $\acute{e}$ j wyrobion $\acute{e}$ m być nie może, bo znaczenia tych cn $\acute{o$ t społecznych właściwego uczy dopiero twarda szkoła życia. Dziś ta sprawa inaczej podobno jest uważana, dziś wymagać się ma od dziecka, aby pojmowało nauki wartość dla sam $\acute{e}$ j nauki; — o sprawowanie się za klasą szkoła mni $\acute{e}$ j dbać obowiązana. Czy to post $\acute{e}$ p? zapewne, ale czy do celu zamierzonego prowadzi?.. wątpię. W dziecku obudzić tak wysoki szacunek dla nauki, rzecz nieoceniona, gdyby tylko podobną była — że zaś to jest racz $\acute{e}$ j marzenie na teorii oparte a praktyka od wieków inaczej świadczy, więc wielka pedagogia w obec przecząc $\acute{e}$ j zasadom j $\acute{e}$ j praktyki, powinna przestać marzyć, — a do nauki, obyczajności i moralności, wszelkimi godziwymi sposobami zachęcać, nagradzać ją publicz $\acute{n}$ em uznaniem, wyraźną oznaką, słowem: za dobry czyn czynem płacić. Czyli zaś o przykła $\acute{d}$ ne post $\acute{e}$ powanie nietylko w szkole ale i za szkołą, władze edukacyjne

dbać powinny, czy kierunek wychowania ma zostawać pod dwoma różnemi w środkach i staraniach wpływami: — dobrym w szkole — żadnym nieraz, nieroztropnym często, a niekiedy zgubnym w domu, — nie sędzę. Naprzód, jest prawie rzeczą niemożliwą korzystne prawdziwie osiągnąć skutki z postępu w naukach, przy braku dobrych obyczajów i moralności młodzieńca, — wie o tém szkoła i dla tego karze surowo nieobyczajność widoczną i niemoralność dowiedzioną. Możnaż te dobre obyczaje i moralność należycie wpoić w serce i umysł młody, jeśli się go ciągle i na każdym kroku opieką i przestrogą nie wspiera? Władza przeto szkolna działanie swe i dozór obowiązana rozciągać po za mury swych gmachów, opatrzyć się w stosowne do tego środki, ułatwiać sobie dozór i kierunek wszelkiemi ucziwami, jawnymi środkami, a przedewszystkiem wybierać na nauczycieli nie tylko naukowo dobrze usposobionych ale naprzód nieposzlakowanych pod względem charakteru i moralności — ludzi. Takim rodzina i dom prywatny chętnie zaufa, takich szkoła śmiało po za szkołą do dozoru użyć może. Dzisiaj nie wątpię, że szkoły w kraju wolnością udarowanym posiadają takich ludzi, — potrzeba tylko na nich prawnie ciężar téj pozaszkolnej opieki złożyć.

W związku z powyższemi zasadami w szkole dzisiejszej jest przekonanie, że i egzamina częściowe, w ciągu roku lub na końcu, prócz ostatecznego dojrzałości, do szkodliwych przeszłości zabytków należą. Inaczej ściślej badanie na doświadczeniu oparte wskazywać zdaje się. Uczeń zostając w ciągłych stosunkach z nauczycielem przy wykładzie, oswaja się za nadto z jego surowością lub łagodnością, przywłaszcza sobie jego język, jego wszystkie indywidualne przymioty i z jednego stale punktu na przedmiot nauki spogląda, albo raczój

za wzrokiem i myślą nauczyciela swego niewolniczo posuwa się. Szkoła, to dom zamknięty, w którym jednę rodzinę uczniowie z nauczycielem stanowią. Konieczną jest przeto rzeczą kiedy niekiedy wychylać się na świat inny z tego zamknięcia, inną atmosferą odetchnąć, inne obaczyć twarze, inaczej wyrażonych sądów i zdań posłuchać. Egzamin właściwie urządzony następcza do téj pożytecznej odmiany szerokie pole. Obok jednego na jednym zawsze przedmiocie nauczyciela zasiąść powinien kilka razy na rok areopag sądzący ze zwierzchników szkoły, innych w tychże samych przedmiotach nauczycieli a czasem obcego zupełnie szkole a światłego męża złożony. Nauczyciel, który spodziewa się takiego publicznego niejako sądu, troskliwiej nad uczniami swoimi pracuje; uczeń oswaja umysł swój z różnostronniejszymi widokami, słyszy rzecz znaną sobie inaczej wystawioną, odmiennie nieco wyrażoną, naturalną bojaźliwość zatracą zwolna, śmieliej uczy się myśleć, przenikać, zgadywać myśl nowego egzaminatora, słowem — ćwiczy i wyrabia umysł swój, zmusza, aby umiał i zdolny był być posłusznym różnym w tym samym zawsze przedmiocie kierunkom i zachceniom.

Widzieliście łaskawi panowie jak liczną była wizyta dyrektorska, — a wiedzieć macie, że takim był każdy egzamin. Pożyteczną wreszcie jest rzeczą, aby społeczność zostawała w ciągłym stosunku ze szkołą, która jej członków przygotowuje, aby się nią interesowała — a zdaje mi się, że na tych stosunkach zyska i szkoła i społeczność. Egzamina częste i pod okiem różnych obserwatorów nie są częścią komedją jak utrzymują niektórzy, ale prawdziwym dramatem z życia — obrazem życia samego.

Strata nauczyciela.

Trzy miesiące pomiędzy Bożem Narodzeniem i Wielką nocą nie przeszły tak jednostajnie, jak jednostajnie życie studenckie płynie; zdarzyły się wypadki nawet bolesne: straciliśmy jednego kolegę z wyższej klasy i profesora, z którego imieniem związane było założenie tej szkoły i pewna rzeczywista wartość jej w początkowej nauce. Umarł Strzelecki — a chociaż cierpkim był i surowym dla swych uczniów — tak wielkie zdobyły go przymioty jako nauczyciela i człowieka, że w chwili pierwszej wieści o jego zgonie, żal szczery i powszechny obudził się w sercach naszych. Uderzenie we wszystkie dzwony kościoła licealnego w połączeniu ze dzwonem szkolnym potwierdziło aż nadto wyraźnie smutną wiadomość i przeraziło mieszkańców miasta. Krzemieniec, jak każde mniejsze miasteczko, gdzie jest większy jakiś zakład naukowy, najściślej losy swoje z tym zakładem łączy — cały na wskroś był niejako licealną kolonią. Nie było domu znaczniejszego, któryby nie należał albo do profesora Liceum, albo profesora nie miał za mieszkańca głównego, któryby nie należał do kogoś co w szkole ma swego syna, krewnego, lub wreszcie nie był przeważnie przez uczniów zajęty. Mnóstwo obywatelskich rodzin rok cały, prócz wakacji, przemieszczało w Krzemieńcu dla edukacji dzieci. Nawet te parę tysięcy Polaków mojżeszowego wyznania, z uczniów, miało cały swój zarobek, jako rzemieślnicy, kupcy, właściciele domów zajezdnych itp. Wypadek tedy smutny lub radośny jaki się zdarzył w szkole, obchodził całe

miasto i obudzał smutek i radość nieudane. Śmierć profesora, który tu od lat dwudziestu zamieszkał, który pamiętał i znany był osobiście Czackiemu, który przez niezwykłą swoją zdolność nauczania i niezwykłą także surowość względem uczniów, stał się popularnym i głośnym, odbiła się boleśnie w całej tej szkolnej osadzie najrozmaiciiej złożonej.

Na pierwsze żałobne uderzenie dzwonów zbiegli się słudzy w domu naszym strwożeni dając znać, że ktoś z panów naszych, jak nazywali profesorów, umarł. Ponieważ Strzelecki od kilku tygodni już złożony był chorobą — a wszystko, co się działo w szkole wiadomym było najmniejszej z tej wielkiej rodziny istocie, więc słudzy owi wyrażając niepokój — dodali zaraz, pewnie pan Strzelecki umarł. Rzecz to na pozór mała ale znacząca, jak każda rzeczywiście myśl wyższa, moralna łatwo najróżnorodniejsze żywioły — połączyć i zbrać może. Krzemieniec miał do ośmiu tysięcy mieszkańców, więc w stosunku do wielkości miast polskich, liczył się wówczas do większych — a ta cała masa żyła pod wpływem i władzą jednej wyższej idei, której nie pojmowała zapewne, ale dobroczynną jej siłę czuła i brała w siebie.

Przyszliśmy do klasy poważni, — do żartów nie było humoru, lekcya odbywała się ponuro — nauczyciel, Lefort, najzacniejsza dusza w świecie, miał łzy w oczach gdy mówił żeśmy stracili dobrodzieja. „Moje dzieci, rzekł, trzeba, żebyśmy się pomodlili za pana Strzeleckiego, uklękniście i zmówcie paciérz.“ Zmówiliśmy paciérz serdecznie i w nie jednym oku dziecka łza się zakręciła, na widok prawdziwej boleści starca, który na czele potulnej dziatwy głośno modlitwę mówić zaczął. W pierwszej chwili nie słuchał i niewykładał lekcyi, rejestra

uczniów czytać niekazał — a mówił nam, jak dobrym był, jak miłosiernym zmarły, — kiedy tu przybył, jak szanował go sam Czacki, — pan dyrektor każdy.

Exportacya ciała odbyła się o godzinie szóstej wieczór, na której niebrakło nikogo ani z uczniów ani z profesorów. Józef Korzeniowski nauczyciel wymowy i literatury polskiej, umiał z tego życia skromnego w ciasnem zawartego kole, ale z życia użytecznego dla kraju, osnuć mowę piękną, do głębi serca przejmującą. Głos jego dźwięczny, sposób mówienia wytworny a prosty, elektryzowały słuchacza; — miał on rzeczywiste przymioty na mowcę publicznego; daru improwizacyi nie posiadał, ale rzecz przygotowaną znakomicie umiał podnieść sztuką mowcom większym właściwą. Pamiętam ustęp jeden z tej mowy, a powtarzali go uczniowie na drugi dzień wszyscy. „Nie wyniosła go sława za granice tych murów, za wierzchołki gór naszych, lecz z nie jednym westchnieniem żebraka przeszło imię jego do Pana niebios.“ Strzelecki był bardzo miłosiernym, zawsze jakiś biędny uczeń na koszcie jego kształcił się w szkołach, ale taką tajemnicą miłosierdzie to było pokryte, że szczególnie tylko wypadek wykrywał je czasami; żebraka nigdy obojętnie nie mijał, — podziękowania nieprzyjmował, prośby słuchać nie lubił, — starał się ją uprzedzając, datkiem na ustach zamknąć. Tę stronę charakteru odbił szczególnie w mowie pogrzebowej Korzeniowski — bo zresztą co więcej można było powiedzieć o życiu pracowitem a cichem nauczyciela arytmetyki. Że pełnił te obowiązki z poświęceniem rzadkiem, to powinność każdego, że praca zgon jego przyspieszyła, i to rzecz zwyczajna w zawodzie poczcziwych ludzi; — giną z pracy bezowocnej tysiącami — a jedyną nad niemi

mową pogrzebową — bywa kilka kropel święconej wody na trumnę spryskniętej.

Najstraszniejszą, najwięcej przejmującą chwilą w exportacyi, bywała muzyka w głębi kościoła ukryta, która odzywała się wtenczas, gdy już ucichły mowy pogrzebowe, śpiewy kapłanów, posępne brzmienie organów. Była to nuta z rodowością tych krain i ludu rusińskiego związana — na wyrazy: Hospody pomiluj. Kiedy ta muzyka zagrała śród ciemności ogólnej po przygaszeniu światła, rwała się młodzież i starsi co prędzej do wyjścia, żeby nie słuchać długo przenikających dźwięków, chociaż nuta piękna i tkliwa.

Nazajutrz o dziesiątej nabożeństwo i następnie pogrzeb. W czasie mszy kazanie kapucyna tym rzewnym i miękim głosem wypowiedziane z tém religijnem namaszczeniem i uznaniem skromnych zasług zmarłego, które w obec nieba zaważą więcej na szali sprawiedliwości nad wielkie tryumfy, głębokie sprawiła wrażenie. Na nabożeństwie i na pogrzebie prócz nauczycieli i uczniów byli wszyscy znakomitsi mieszkańcy miasta. Profesorowie w mundurach galowych jak na exportacyi, uczniowie wszystkich klas i kursów w porządku zwykłym, parami — każda klasa i kursa ze swoją chorągwią. Przy grobie przemówienie jeszcze jednego z dawnych uczniów, dziś kończącego już nauki, zamknęło tę smutną i piękną zarazem uroczystość.

Tak chowaliśmy naszych przewodników, gdy nie- szczęście chciało, aby nas osierocali, tak kolegów, gdy się podobało Bogu oszczędzić im twardszych prób dal- szego życia. Co rok dwóch lub trzech uszczuplało nasze szeregi — był to procent konieczny na 600 z górą uczących się. Nie raz wysilenie w pracy było przyczyną przedwczesnej śmierci; kilku takich straciła szkoła, gdy

mieli już wkrótce otrzymać jawną nagrodę swęj nadzwyczajnej pilności, wielkiego postępu w naukach i bez zarzutu obyczajów; nad ich grobem i w kościele podnosiły się serdeczne współtowarzyszów głosy, często wyraźne zarody talentu wymowy objawiające. Zwierzchność szkolna takich mów pogrzebowych niewzbraniała i uprzedniej cenzurze niepoddawała, a nie było wypadku nadużycia wolności téj słowa; nigdy niesforna fantazja młodzieńcza nie obraziła ucha poważnych słuchaczy, surowego niewywołała sądu.

Po Strzeleckim mieliśmy do końca roku zastępcę w jednym z guwernerów, których Krzemieniec i Wilno dostarczały młodszemu pokoleniu. Znakomitsze rodziny kraju nie mogąc same bawić cały rok szkolny w Krzemieńcu a chcąc w doświadczonej prawości ręce powierzyć swe dzieci — oddawały je w zupełnym zaufaniu pod wyłączny dozór starszych wychowawców, którzy tu przed laty ukończyli nauki. Ci prowadzili w zastępstwie rodziców dom cały i gospodarstwo na małą skalę, jak dla studentów. Żadna okolica kraju nie posiadała tylu i tak zacnych prywatnych przewodników, jak Krzemieniec. Była ich zawsze pewna liczba słynniejszych — którym wynagradzano hojnie czujność i pracę — tak, że niejednen po kilkunastu latach téj prywatnej a najzaćniejszjej służby, oszczędnością przychodził do funduszu, na dalsze bez wielkiej troski życie wystarczającego. Był to zawód szlachetny jak każdy inny a tém zaszczytniejszy, że nieskazitelnego charakteru i zdolności wielkich wymagał. Już zaledwie kilku takich pozostało przy życiu — pamiętamy jednego, który po trzydziestym pierwszym roku przeniósł się za granicę i do wychowania młodych Radziwiłłów, z królewsko-pruską rodziną skoligaconych, został powołany. Reputacya Podlewskiego musiała być

bardzo zasłużoną i zaszczytną, kiedy dom taki niewahał się zaufać mu zupełnie, chociaż to wychowaniec Krzemieńca w świecie niegłósnego jeszcze, do Berlina, Ate-nami północy zwanego, przybywał. Może nadużyłem bardzo swobody słowa i druku, gdym poważył się wymie-nić czcigodnego już dziś starca nazwisko. Któż go nie zna z przybywających do Berlina Polaków, komu on odmówił swęj uczciwej i rozumnej rady — a w potrzebie skutecznej opieki? O wychowawcach szkoły krzemienieckiej w ogóle zachowajmy rzecz nakoniec.

Tacy guwernerowie bywali zwykle obecnymi na lekcyach w liceum i mieli swoję wyłączną ławkę lub kącik w ławce, gdzie przysłuchając się wykładom, w domu potem podług wykładu szkoły, uczniów swoich do lekcyi gruntownie przygotować mogli. Ponieważ bez wiedzy i upoważnienia władzy szkolnej nikt wychowaniem młodzieży trudnić się nie miał prawa — znali więc tych ludzi profesorowie i zwierzchność i ufali im zupełnie. — W razie choroby którego z nauczycieli pierwszych czterech klas, powoływał prefekt takiego prywatnego pedagoga na zastępstwo. Powołanie do zastępstwa było zaszczytem, o który nieubiegano się ale chętnie przyjmowano — bez wynagrodzenia.

Po Strzeleckim zaproszony został Perłowski, jako znany ze szczególnych do matematyki zdolności. Może język wykładu jego nie był tak ścisły i wyrobiony, jak poprzednika jego, ale sam wykład pod względem jasności nic do życzenia nie zostawiał. Żałowaliśmy szczerze, że nam dłużej nieprzewodniczył — bo jak się potem okazało, przedmiot nie znalazł już tak doskonałego nauczyciela — jak zmarły Strzelecki i chwilowy jego zastępca Perłowski. Wspomnieć o tém, zdało mi się rzeczą potrzebną, bo

i to do zasług szkoły naszej należy, że umiała wykształcić tę klasę ludzi wielce użyteczną i szanowną a dziś już prawie zatraconą. Bierze się teraz do tak zwanego guwernerki młodzieniec niewypróbowanej często moralności, niewykończonej nauki, bez zamiłowania do zawodu ale raczej z potrzeby, póki się coś zyskowniejszego nie nadarzy. Zaspokoiwszy chwilowy niedostatek rzuca zawód i zostawia drugiemu równie niepoświęconemu, dalsze próby na chłopięcych umysłach i sercach. Człowiek taki, guwerner z potrzeby myśli o tém tylko, aby się utrzymać czas jakiś na posadzie i dla zyskania względów rodzicielskich schlebia im a dzieciom daje przykład niesumienności i zgubnego pobłażania w próżniactwie i czémś gorszym nie raz.

Może wam się zdaje moi panowie, że to do opowiadania mojego należeć nie powinno, muszę was przeto zapewnić, że w dziejach studenckich te pomocy domowe, prywatne, wielkiego są wpływu i znaczenia na moralność uczniów. Dobry guwerner, dobrzy korrepetytorowie, to poniekąd podstawa dobrej szkoły — a ja muszę się pochwalić, żeśmy taką dobrą podstawę, oprócz innych wielu, posiadali.

Jeszcze kilka wypadków z życia mojego w pierwszej klasie mógłbym przytoczyć, ale się lękam posądzenia, że się wujaszek chwali; chociaż... zastanowiwszy się przyznacie, że dziś sława dobrego ucznia pierwszej klasy, nawet w Krzemieńcu na wiele zdać mi się nie może; ani mój gorzelany, ani ekonom więcej mię słuchać a mniej oszukiwać nie będą, powagi mojej w obec naczelnika wojennego nie podniosą, najprostszemu nawet policyantowi niezaimponują. Nie dla próżności, o którą proszę was, już mię niepomawiajcie, ale dla pożytku Józia, który to wszystko swoją nienajlepszą cenzurą i swoim

tłumaczeniem dziecinnym wywołał. Chcę go przekonać w najrozmaitszy sposób, że powodzenia i niepowodzenia ucznia w szkole od niego samego zależą, że bajką jest zbyt pospolitą, jakoby nauczyciel miał złość czasem do dziecka, że najniesprawiedliwszy, jeśli to być może, da się pokonać wytrwałą pilnością i dobrými obyczajami studenta, że dziecko, czy młodzieniec, czy dorosły człowiek dbać powinien zawsze o swoją dobrą sławę, dążyć do pierwszeństwa tylko pracą, tylko prawością, bo prędzej czy później, czas i ludzie próżniactwo i niecnosć srodze pomszczą i odpłacą; szczęście największe, jeśli wcześniej da dziecku upamiętanie taka przestroga, choćby najsurowsza, jakie mnie dała rossyjska i łacińska lekcyja. Warunkiem jest także najpierwszym pomyślności i sławy zakładu naukowego, aby władze jego bliższe i dalsze baczyły z nieznużoną czujnością na ścisły wymiar sprawiedliwości w drobiazgach nawet; żadnej tu usterki być nie może, bo dziecko traci natychmiast wiarę w mądrość nauczyciela i szacunek dla jego charakteru. Tą zaś wiarą i szacunkiem utrzymywanemi w uczniu, utrzymuje się porządek, karność, obyczajność i ochocza nauka. Prawdą jest również, że szczególnie młodzież naszą nagradzać trzeba wyraźnie za jej pilność i obyczajność; że obojętny, zimny sąd o jej postępowaniu w końcu dopiero roku objawiony ogłoszeniem promocyi i celujących, nie jest dostateczną zachętą do pracy; — że trzeba ten sąd zaraz i w uroczysty sposób wyrażać przy każdej okazji; — nie pomijać nigdy widocznnej pracy i poprawy w nauce, poważnym milczeniem. Powaga zimna i wymiar tylko sprawiedliwości w ostatecznych chwilach, dla dojrzałych uczniów, którzy obowiązek obywatelski pojmują, wystarczać może, dla dzieci i młodzieży nie wystarcza. Plemię germańskie arcy doj-

rzale od samego dzieciństwa, ma prawo rządzić się zasadami tak wysoko i głęboko zrozumianej pedagogii — dla nas żywszych, żywszego, z uczucia, z samego serca płynącego słowa i czynu potrzeba. Prawdą jest na koniec wielkiej wartości, że szkołą wogóle — uczniami i nauczycielami — rządzi pewna tradycja dobra, sława nabyta, którą radzi wszyscy starają się utrzymać i pomnażać. W szkole jak w pułku — odznaczeniem go za wielkie męstwo, utrzymuje się pamięć tego męstwa i męstwo w żołnierzu i wodzu, choć się zmieniają jedni i drudzy. Takiego ducha dbałego o zaszczyt, o honor swojej chorągwi wyrobić w szkole — rzeczą jest przewodników, chwałą ich i nagrodą; jeśli o te zaszczyty sami dbać będą, pomogą im w ówczas do utrzymania szkoły w kwitnieniu wychowawcy sami młodości swój zapałem. Pod urokiem wiary téj, że być uczniem szkoły krzemienieckiej, to zaszczyt, to chluba, ja dzieckiem przybyłem do Krzemieńca. Przybywszy widziałem wszystkich od najmłodszego do najstarszego tą wiarą przejętych; przekonałem się, że nie łatwo wśród téj pysznej przeszłości swojej szkoły młodości, zdobyć sobie imię — i tém goręcej pomimo przeciwności, do zdobycia wziąłem się; — wskazała mi drogę i środki szlachetne sama szkoła, pomogło siéroctwo i pamięć na matkę.

Wy tłumaczyłem się jak umiałem, że dla dobra Józia tylko, sam siebie chwale; jeśli to nie dosyć, wspomóżcie mię swoim pobłażaniem.

Jeszcze raz i drugi spotkał mię wielki zaszczyt. Na lekcji religii w końcu drugiego kwartału zapytał ksiądz Kulikowski, ktoby potrafił dobrze a krótko powtórzyć wszystko, cośmy z historii biblijnej przeszli od początku roku. Po niedługim namyśle, przebiegłszy szybko w głowie mojej porządek wypadków i nazwisk —

stanąłem gotowy do powtórzenia, — i w rzeczy samej opowiedziałem bez pomocy profesora, bez poddawania mi półsłówek, półzdań do uzupełnienia, — historią całą, — książeczkę na pierwszą klasę przepisaną — a opowiadanie to trwało godzinę. Nie badałem w twarzy księdza Kulikowskiego wrażenia, bom myśl moję skupił na rzecz wielkiej dla mnie wagi, — chciałem przekonać go, że chociaż zadanie trudne, siły moje wystarczyć mu mogą. A więc dla czego ja tak dobrze opowiedziałem cały ten drobny kurs z historii? bom każdą lekcję pojedynczą umiał w swoim czasie doskonale, bo każde zadane powtórzenie, sumiennie i głośno odczytałem, bo przez ciągłą pracę tak przywykłem do niej i tak ją polubiłem, że nauka była mi rozrywką tém miłszą, że z trudnej stawała się coraz łatwiejszą: miałem odwagę, bo tak umiałem wszystko, czegom się uczył, że w każdej chwili gotów byłem zdać z tego sprawę: odpowiadać — nie umiem tego, bo na dziś zadane nie było — zabroniono u nas pod karą, że uczeń wcale pytany nie będzie. Na lekcjach arytmetyki nauczyliśmy się mówić bez pomocy: wychodzący do tablicy zostawiony był własnym siłom; po zadaniu pytania raz — czekano na odpowiedź całą i dokładną. Wymaganie téj ścisłości i płynności wysłowienia na jednym przedmiocie, służyło i innym za zasadę: na arytmetyce najwięcej.

System powtarzania ciągłego obok nowych lekcji, pomagał dzielnie do porządnéj nauki i wielkiego w niej postępu; ten system zdaje mi się koniecznym dla młodych umysłów, których pamięć łatwo ogarnia treść rzeczy, ale z niej często po pewnym przeciągu czasu ledwo same wyrazy zachować zdoła; powtórzenie dopiero jedno i drugie wiąże ściślej części nauki i uzupełnia

braki, które przy nowej lekcji bywają zwykle w większości nieuniknione.

Kiedym opowiadał historią, jedną tylko pomoc w tak trudnym zadaniu miałem, że w pewnych ustępach skinieniem głowy życzliwem, pochwałą krótką, spojrzeniem przyjaznem dodawał mi książdz odwagi do prowadzenia śmiało opowiadania mego; po skończeniu zwrócił się do całej klasy i rzekł: widzicie jak to uczeń mówić może, kiedy ciągle pracował sumiennie i chętnie — to mi uczeń! przyjdźże do mnie moje dziecko, znajdę dla ciebie twojego patrona, żebyś się mógł w każdej chwili polecić jego opiece.

Już po mnie nikt mówić nie mógł, bo zadzwoniono, ale następnej lekcji powtarzali wszyscy prawie po dość znacznych ustępach mniej więcej dobrze, — coby wedle dzisiejszego wymagania za wyborne uchodzić mogło — ale ja zawsze utrzymałem moje pierwszeństwo.

Gotowicie teraz przypuścić, że do najzdolniejszych należałem, że miałem wielką pamięć i pojęcie: niestety! pamięć mi z początku bardzo niesłużyła, pojętności brak trapił mię długo. Praca dopiero i najdokładniejsze wyuczanie się lekcji pamięć wyrobiło do tego stopnia, że leniwszi zazdrościli mi jej głośno a bez zasady. Nie przeczyłem, dziecinnie dumnym będąc z zazdrości; przypisywano mi to, czego nie miałem, — a nie wyznałem prawdy, która zaszczytniejsza dla mnie była, że trud tylko wielki i pilność wielka w czasie lekcji dały mi tę dobrą naukę i pierwszeństwo nad innymi. Pojętność wyrobiła się uwagą w czasie lekcji — i wyrobić się zaprawdę mogła, — bośmy mieli profesorów o swój przedmiot i o swoją sławę dbałych. Wykładali tak jasno, starannie i gorliwie, że chyba nieuk prawdziwy mógł nieodnieść korzyści, i nie być w stanie po

niejakim czasie obejść się bez wszelkiej w domu pomocy. Nie wszyscy jednak tak rozumieli obowiązek uważania na lekcji, — wielu siedziało spokojnie w czasie godzin klasowych, ale o niebieskich migdałkach myślało, spuszczać się na korepetycją w domu.

Wartoby z czasem obmyśleć system nauczania, któryby zapewniał gruntowną naukę, dobry w niej postęp — a pomocy w domu niedopuszczał; pomoc jest konieczną, ale tylko opieki, dozoru — nie zaś wspólnej z uczniami korepetytorów roboty. Najlepsi prawie uczniowie w szkołach naszych żadnej pomocy w domu nie mieli, prócz honorowego dozoru, którego prawo szkolne wymagało. Z tych uczniów, którym korepetytorowie domowi niekładli nauki w głowę, tworzyli się później najdzielniejsi dozorczy — i guwernerowie, bo co dziecko, młodzieniec, człowiek sam zdobędzie, najtrwalsze: wiadome to panom i światu całemu. Rzadko kiedy fortuny wielkie z loteryi i lichwy nabyte przechodzą i utrzymują się u dzieci, nawet sami szczęśliwcy tracą je prędko; rzadko drobne bankiery nasze dzieciom swym majątek przekazają, a już o trzecim pokoleniu, któreby dziedziczyło nienaruszone owe miliony, dotąd niewiemy. Próbuje mój Józiu uczyć się sam, niechaj twój korepetytor dopilnuje, żebyś pracował, niechaj przypomina, żebyś nie ustał w pracy — ale niechaj ci niepomaga.

Dość będzie tej nauki na dzisiaj, — bobyście myśleli, że krzemieńczanie, to istne jakieś rabiny i hussyty, dni i nocy nad książką trawiący; mielibyście nawet prawo niewierzyć mi, że to wszystko prawda, co wam powiadam, bo czyż podobna przypuścić i żądać, żeby dziecko nie było dzieckiem, żeby więc nie poswawoliło i psoty jakiej nie zrobiło, żeby wszelkiej wolności i za-

bawy było pozbawione. Brakło krzemieńczanom wolności, raczej sposobności... do złego i do szkodliwej roboty, bo czuwano nad nimi ciągle: za to wolność dobrego była wielka, — a obok tego i szerokie bardzo pole do zabawy. O zabawach więc pogadamy na przyszłym posiedzeniu — a już tych posiedzeń nie będzie wiele; — o psotach powiem cokolwiek także, bo i bez tego nie obeszło się, — tylko o rzeczywistej rozpuszcie, o występkach, do których wiek młody niema nawet skłonności, nie wam powiedzieć nie mogę dla tej prostej przyczyny, że ich nie pamiętam wcale, — aże niepamiętam, więc zapewne ich nie było.

Zabawy studenckie.

Rozeszła się wieść między gośćmi na święta Bożego Narodzenia, do państwa Janowstwa przybyłymi, że p. Antoni mówić będzie o zabawach w Krzemieńcu, więc na ten wieczór miał słuchaczów tylu, jak na najlepszej komedyi w małym miasteczku. Miejsce jednak niepozwalalo przyjąć wszystkich łaskawych, — na korytarzu audytorium urządzić się nie dało, bo zimno, — musieliśmy się tedy ograniczyć na jednym pokoiku, w którym starsi zgromadzili się — a młodzi, prócz studentów poszli tańczyć. A trzeba wam wiedzieć szanowni czytelnicy, pewnie nawet domyślaliście się tego, że ostatnie, przed opowiadaniem o zabawach, posiedzenie było, prawie puste: trzech studentów, gospodarz, sąsiad i proboszcz.

Do zabaw studenckich, to już chyba pora letnia, rzekł wujaszek, najwłaściwsza. Zabawy młodzieży potrze-

bują powietrza, przestrzeni i gwaru; — o wszystkie te warunki w Krzemieńcu nie było trudno. Powietrze doskonałe, zdrowe, wśród gór lub na ich szczytach przestrzenie wielkie, a tem miłsze, że od miejskiego porządku, gdzie co krok o coś zaczepić się, zepsuć, przewrócić można, dalekie; gwaru, — gwar był ogromny, rokoszny prawdziwie, bo całemi gromadami w niektórych miejscach po stu i więcej schodziło się razem. Podróż na plac zabawy najczęściej uczęszczany, koło Maćkowej doliny za miastem, bezpieczna i wygodna, bo tylko w późnej jesieni wśród deszczów nieustających, lub na wiosnę, w czasie puszczania lodów i zmarzniętej ziemi, topiły się na Maćkowej dolinie ludzie czasem, konie często; — już w Maju, Czerwcu i Wrześniu, to wszystko suche, równe, twarde a szerokie. Zabawą główną i najprzyjemniejszą była piłka, dziś zapomniana lub miękkością cywilizacji do tak zniewieściałej zabawki sprowadzona, że uczeń dawniejszy wstydziłby się wziąć ją do ręki jako rzeczy, która od jednego silniejszego uścisku, energiczniejszego uderzenia, pęka. Piłka nasza w domu się wyrabiała niewymyślnym ale doświadczoną trwałości kunsztem. Gummy elastycznej dobry kawałek we środek, na to wełny nie angielskiej parę łątów w nitkach, i jeszcze na to rekawiczka ojca, dziadzi, wuja dobrze obciągnięta, we dwa kółka i jeden w około wiążący je pasek mocny, i — rzecz gotowa, trwała, w miarę odskakująca od ziemi i muru, w ogóle od ciała twardszego, np. głowy studenckiej, lub od pleców jego, — postaci doskonale okrągłej, barwy zawsze szarzej. To odskakiwanie, czyli odbijanie się nosi miano w języku technicznym gry w piłkę, kozła; sprężystość odskakująca zwie się kozlistą. Z tem jednym narzędziem głównem ogromna liczba gier da się urządzić; jeżeli dodamy jeszcze kij gruby, prosto z plotu

wyłamany, żadną nieuszlachetniony sztuką, pięć ćwierci długości, pół trzecia cała obwodu, okrągły, suchy, broń-Boże ostrugany, bo takich używają baby i pieszczochy; więcej do prawdziwego szczęścia doskonałego ucznia niepotrzeba. Z domu wychodzi się po podwieczorku, więc żadne pierniczki, bułeczki, ciasta nie przystoją zwawemu chłopcu, krzywdę męskości jego przynoszą; gdyby zdarzyły wiśnie ku środkowi Czerwca albo czeresznie, gardzić niemi niewypada, śliwki dobre we Wrześniu nie są do odrzucenia. Wychodzą tedy drobne gromadki z różnych domów i domków, każda bez wyjątku pod wodzą swego dozorca; — na Szerokiej ulicy już się spotykają i mieszają nieco, bez względu na klasy i kursa czasem, — a już na Maćkowej dolinie staje się to jednem wielkiem ciałem na różnej wielkości, siły i spojności atomy rozbitém i nieustannie wirującym ku sobie lub od siebie. Tu dopiero na ogromnej przestrzeni gładkiej, z jednej strony ograniczonej publiczną drogą, z drugiej głębokim jarem, gdzie strumień jakowyś płynie, a za jarem góra, niższego gatunku krzewiem zarosła, — rozwija się cała ruchawka. Tu jeszcze większe pomieszanie rodów: — silniejsi i wyżsi mistrze w piłce, choć czasem nie dygnitarze w nauce, biorą prym przed celującymi i medalowymi dostojnikami. Jeśli gra w palanta, to matką może być trzecioklaśnik, byle zwinny, a dzieckiem jego kursak nieobrotny lub z natury czasem niezdolny do téj sztuki, nad którą wyższej i pożyteczniejszej wiek młody i potrzeby jego nie znają. Wszakże tu trzeba tak dzielnie i trafnie uderzyć palantem piłkę, aby szybkością strzały szła daleko — i wysoko! daleko, aby znużyć przeciwnika biegiem, — wysoko, aby oko jego niełatwo kierunek jój rozeznało. Zwinnie i zręcznie najrozmaitsze zmieniają się w jednej chwili kierunki i postawy ciała,

bo przeciwnik bystry — nie żartuje, może trafić i sprawa wszystkich przegrana. Trzeba umieć biegać, uderzać, w czas przypaść do ziemi, w czas podskoczyć, — w bok się rzucić lub podlatując w odwrocie mieć ciągle mierzącego na oku — i wreszcie dojść do bezpiecznego zawsze schronienia, do matki. Może tańce estetyczniej wyrabiają ruchy i postawę, gimnastyka wzmacnia muskularność i rozwija słabsze części organizmu; piłka wszystkie ruchy tańca i gimnastyki bez systematu wprowadzie, ale dzielniej łącząc w sobie, wykształca, a tém milsza i pożyteczniejsza, że nie ma charakteru lekcyi, więc nie ma przymusu. Przy grze w piłkę, powtarzam raz jeszcze, wszystkie członki ciała są w nieustającym i mieniającym się ciągle ruchu; chodzi się krokiem szybkim, przyspieszonym, zapędnym ile siły wystarczą, — a wtenczas i ręce są w działaniu bezwiednie metodycznem, pomagając korpusowi i nogom do wspólnego celu. Ręce się wyciągają w górę i na dół, w tył i naprzód, a to wszystko nie pod komendą przymusową metra, ale pod wpływem wolnej woli, koniecznej potrzeby, którą honor studencki dobrego gracza nakazuje. Już was dziś uwolnię od większej liczby szczegółów gry w palanta, znacie ją wszyscy, tylko skarykaturowaną, zmalatą, spieszczoną, bo używacie do niej wydeitych, najgłupszych piłek, które prostego kierunku, — siły rzutu niewytrzymują a więc należyście wymierzone być i ugodzić przeciwnika nie mogą.

Paręset szermierzy na jednym polu walczą w oddziałach osobnych o honor zwycięstwa; zwycięstwo przenosi się z armii do armii wśród serdecznego śmiechu, który równie tryumfowi jak porażce towarzyszy. Palantów organizuje się najwięcej, bo to gra rycerska, wielkiej sztuki, siły i odwagi wymagająca: małe chło-

pięta z dwóch pierwszych klass nie zawsze zdadne do niej; młodzieżyto już od 15 do 22 lat wieku popis właściwy; — i żaden z takich od gry się nie uchyla, uważając ją jakoby za niską na swą godność; w kącik lub jawnie na fajeczkę nie schodzi; światowej, cichiej nie szuka rozmowy, ale z zapałem nieudany bawi się jak dziecko, choć wasy gwałtem wytryskują na wierzch a bakenbardy zdają się nie do poskromienia i ukrycia. Nawet powaga uczniów ekonomii, prawa, wyższej matematyki, literatury nieprzeszkadza w jednym szeregu z uczniem nad gramatyką ślęczącym stanąć do piłki. I dozorczy na równi z uczniami swymi, bez względu na swój wysoki urząd od zabawy wspólnej wymawiać się nie śmieją — bo też w zabawie wpływ ich znaczny niepozwoili, aby przybrała charakter nieprzyzwoity, aby się wyrodziła w bójkę zaciętą i w granicę złości i zemsty wkroczyła.

Rzecz szczególna i miła razem wspomnieć: że najlepsi uczniowie, wzorowi w nauce i obyczajach najdoskonalej często grali w piłkę i z zawziętością śmieszna nieraz o zaszczyt pierwszeństwa walczyli tu, na tych obszarach Maćkowej doliny, jak w sali fizycznej: w dolinie szło o pochwycenie piłki w locie, w sali fizycznej o medal srebrny lub złoty. Pamiętam, że do najdzielniejszych graczy należał A. T. Olizarowski, że niedoścignionym był Breza Achilles na trzecim kursie medalem złotym zaszczycony, — a potem na polach Grochowskich czy Ostrołęckich jako dzielny oficer artylerii krzyżem złotym polskim. Nie wiele ustępował najpierwszym Piotr Falkenhagen (Zaleski); gorący do piłki w ostatnich jeszcze chwilach pobytu w Liceum, — zdolnym był jednocześnie poważniej sięgnąć myślą tam, gdzie wyższa powinność wzywała. Ten sam zawzięty szermierz na Maćkowej dolinie, kiedy po 1831 r. znalazł się wśród pierw-

szorzędnych, głębokich rozumów angielskich, uznanie ich prędko zdobyć potrafił jako najczynniejszy współpracownik pisma ekonomicznego, cenionego wyżej nad inne w Angli, a więc w Europie. Nie z brzęczącym przybył tam kapitałem, ale z pojęciem czystym obowiązku pracy, z umysłem zdolnym, energią i wolą zdobycia stanowiska. I zdobył je walcząc z wytrwałością wśród tych, którzy sami jedni prawie przymiot ten posiadając, i w drugich znaleźć go i ocenić umięją. Ten sam poważny ekonomista o dyplomatycznym zawodzie marzący w szkołach a nie gardzący nigdy koźlistą piłką, podał w swoim czasie zasady organizacyi domów rolniczych w królestwie i praktycznego ich rozwinięcia, wyrobił projekt towarzystw kredytowych miejskich, dziś bez niego w wykonanie wprowadzony w Warszawie i Petersburgu.

Rzecz naturalna, że ci wszyscy godni uczniowie Krzemieńca nie od razu z ławek szkolnych na wyższe w społeczności przechodzili stanowiska, — ale każdy niewątpliwie wyszedł z pojęciem czystym obowiązków: cnoty, pracy i poświęcenia, i na nich oparty umiał iść naprzód.

Wspomniałem nazwisko Olizarowskiego, wielkich nadziei niespełnionych niestety! wielkich niewzyczajnie zdolności poetyckich — młodzieńca; on nie należał wprawdzie do pierwszorzędnych uczniów, lecz wczesnie objawioną węgą poetycką zwrócił uwagę szkoły i sympatyę obudził. Talent ten nagle, niespodzianie zakwitł: pomiędzy słabymi wierszykami a pełnymi fantazyi świeżej, myśli głębszej, formy udatnej — upłynęło zaledwie dni kilkanaście. Uznał go od razu i wsparł serdeczną zachętą J. Korzeniowski; za jego wstawieniem się z udzielonego mu stypendyum obywatelskiego,

z powodu wypadków trzydziestego pierwszego roku korzystać nie mógł.

I to fakt mówiący, jak w owym czasie w sercach i duszy jaśniej było i zdrowiej. Młodzieniec inny a tak wielkiego daru, byłby w późniejszym czasie, kiedy nowa era mniej świetna ale piękna zawsze zabłysła, samą powierzchownością starał się układać na niedoścignętego w myślach zbawcę ludzkości, zaniedbaném ubiorém różnił się od niższych śmiertelników, ponurą postawą zdumiewał, odosobnieniem zwiększał swoją wielkość i apostołską misję swoją. Olizarowski pozostał swawolnym młodzieńcem, pobożnym śpiewakiem na chórze licealnego kościoła, zawołanym graczem w palanta, jeźdźcem, — i dzielnym rębaczem, choć już napisał piękną prawdziwie *odę* do lutni, *hymn* do Boga, do *słońca* i dwa dramatyczne fragmenta rzeczywistej poetyckiej wartości.

Fedkowicz i Kleczyński Karol, uczniowie medalowi — a razem w piłce mistrze pierwszorzędni: — pierwszy wielki jeździec, drugi fechtmistrz, rębacz groźny. Mikulski, późniejszy nauczyciel angielskiego języka i literatury i bibliotekarz jednocześnie, za młodych lat swoich był w piłce niezrównanym graczem, w fechtunku na szpady i pałasze tak dalece biegłym, że głośni z wojskowych dawnych i młodszy rębacze przyjeżdżali po to tylko do Krzemieńca, aby się z Mikulskim spotkać... i być zawsze pobitymi. O tej młodzieży żywej, swawolnej i poważnej zarazem, jeszcze w końcu wspomnę — jako o obywatelach kraju, teraz... wróćmy jeszcze do zabaw.

Więc gry w piłkę — jak palant, meta, podbijanka, na szérokiem polu; *ścianka*, *kasza*, *żydek kręcony*, w domowych zagrodach, były codziennymi zabawami. Najwspaniał-

sza z nich wszystkich — *Bar*, — w wielkie tylko uroczystości szkolne, jak *majówki*, praktykowana, potrzebowała obszernego pola, wielkiej liczby dobranej młodzieży siłą i szybkością w biegu odznaczającej się. Był to rodzaj walki, gdzie dwie równe partye do boju stawały, ścigały się, brały jeńca i wyzwalały go: — obraz istotnie zajmujący, pełen ruchu i rozmaitości; coś na małą skalę z igrzysk olimpijskich pieszych skopijowanego.

Za lat dawniejszych, świetnych obecnością samego Czackiego, gry w piłkę i zabawy wszelkie odbywały się w środku gimnazjalnych gmachów na karuzelu, pod okiem prefekta, profesorów, czasem najpoważniejszych obywateli kraju. Gdzie tacy byli widzowie, czyliż zabawa mogła być czém inném, jak wesołą rozrywką w granicach największej przyzwoitości zamkniętą. Już ja niestety trafiłem na czasy, nie w naukę uboższe, bo zaprawdę świetne były, poznać, gdy wam wymienię w końcu nazwiska profesorów ostatniej epoki, — ale na czasy surowszą etykietą, rządowymi formami ściśniętą, owę patryarchalność pierwotną pozbawioną. Tam, niegdyś wszystko to powstawało i rozkwitało w całej świeżości uczucia, pod wpływem wielkiego założyciela, — teraz wykształcony organizm działał porządnie i systematycznie, obyczaj był już wyrobiony i trwały.

Ale nie sama Maćkowa dolina lub szczupłe granice karuzelu, były świadkami zabaw młodzieży: Krzemieniec w najpiękniejszym od natury położeniu, licznych i bardzo rozmaitych dostarczał źródeł i rodzajów rozrywki. Góry w około miasto otaczające, to miejsca przechadzek w lecie. Góra *Łysa* z szerokim i równym wierzchołkiem wyborna do palanta; Wołowica najbliższa miasta, więc jeszcze dogodniejsza; Czercza, do przechadzek i posiłku skromnego mléką, śmietaną i piérogami z sérem, które reputo-

wana wielce pani Mińczukowa tak gotowała, że smakosze wytrawni, sztukę przyrządzenia ich cenili; наконец Z a m k o w a, poważna i nad wszystkie wynioślejsza, do dziecinnych rozrywek niezdatna, ale do marzeń usposabiająca. Gdyby żyli wówczas archeologowie nasi, mogłaby zostać ich stolicą: te podziemia tajemnicze, Bóg wie jak daleko sięgające, te studnie niezgłębione, zamki zburzone, mosty wiszące na łańcuchach a już bez łańcuchów, to istne królestwo całe, bez królowej — w dni pewne tylko, wielkie, uroczyste, palącą się w beczkach smołą po królewsku rozjaśnione. Jeszcze nie koniec, — a most *królewski* z inną wspanialszą od Mińczukowej panią Raczkowską, nieśmiertelną prawie, — dokąd wyprawiały się społem całe karawany pieszych i konnych pielgrzymów, na... kurczęta, śmietaną i wiecznie wonne i smaczne pierogi. Już nie mówię o tak zwaną Drzewieczyźnię zawsze od studentów z palantami w ręku rojącej się, i innych wielu, a były cudnie piękne zielenością natury i młodością naszą.

Po wakacjach wdzięk tych wycieczek pomnażał się bardzo doskonałymi śliwkami, — doskonałymi dwójako: raz, że węgierki prawdziwe, drugi raz, że bajecznie tanie. Za grosz jeden zacna kupcowa odliczała rzetelnie sztuk pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt i błogosławiła panicza, że u niej kupił. Powiedźcież sumiennie moi kochani państwo, czy za kupnem śliwek dobrych i węgierek do tego... nie warto było do Krzemieńca pojechać? W tym stosunku płaciło się za gruszki, jabłka i orzechy, — jakie orzechy! tylko ząb młody i pragnący rychłego zepsucia zgryźć je i ocenić potrafił. Czujne na zarobek i uczciwe żydki wylegały i nęciły doskonałym towarem; bez ruiny więc uraczył się mło-

dy człowiek i zdrowy jego żołądek, gra zaś w piłkę i zmęczenie opłacały się po tak rokosznym pożywieniu.

Zimowe zabawy nie mogą w jednym miejscu łączyć tyle indywiduów jak letnie. Tu musi zająć podział na starszych i młodszych, na bogatszych i uboższych, na zdolnych mniej i więcej do przyjęcia w zabawach udziału. Jedna rzecz tylko dla wszystkich przystępna — ślizgawka, jeśli są miejsca po temu. Niestety! Krzemieniec nie miał ani stawu, ani jeziora, ani rzeczki, któreby się nadawały do ślizgawki. Potok u stóp góry zamkowej płynący, płytki, nierówno wijący się, wąski i co najgorsza, rzadko zamarzający, dostarczał tylko miastu dobrej wody do herbaty a często do picia, jeśli studni dom własnej nie miał, studni z owych wielkich kołowych, które raczej przedmiotem podziwu, jak źródłem dobrej wody bywały. Administracja miejska, jeśli to, co było, administracją można nazwać, nie dbała o wygodę tak troskliwie jak dzisiejsze nasze magistraty. Otóż mniejsza o studnie, o rzeki, dość że ślizgawek nie było na wielką skalę, ale były własne, podwórzowe często tak ślizkie i niebezpieczne, że podróż przez nie i po górzystych ulicach już charakteru wielkiej wyprawy nabięrała, a dla młodzieży ponętną, pożądaną nawet była. Ślizgawice na ulicach pomagały bardzo do przykładowego spędzania adwentu i postu w domu, i budziły szczere westchnienia ku wiosnie i latu.

Jednak był karnawał, karnawał wcale dla młodzieży nieobojętny, — przy licznie nader towarzystwie zjeżdżającym się dla zabawy do Krzemieńca, towarzystwie najdobrańszem, na które trzy obszerne składały się prowincje. Młodzież licealna miała wstęp wszędzie, bo wszystko co tu mieszkało, albo pokrewieństwem, albo stosunkami przyjaźni łączyło się z sobą: syn jednej rodziny był

synowcem, kuzynkiem drugiej i trzeciej; — ci wszyscy razem mieli kolegów zdolnością i obyczajami celujących; więc byle pozwolił prefekt, raczej własna pilność i obyczaje, które do tego pozwolenia torowały drogę, bez względu czy kuzyn, znajomy — ubogi czy bogaty, karnawału jak się godzi, mógł używać i używał. Sarkali na te bale puryści, a właściwie niechętni wszystkiemu, co nie z ich woli i popędu działo się. Sarkanie niczem nieusprawiedliwione. Chociaż sam dla wieku i dwudziestu czterech przyczyn w tańcach nieuczestniczyłem, ale widziałem i wiem, że z nieznaczącymi bardzo wyjątkami, tańce te nauce nieprzeszkadzały wcale. Porządny młodzieniec, wiedząc, że go zabawa czeka, myślał o niej wcześniej, co znaczy, że przygotował się do lekcji naprzód, podwoił gorliwość i pracę, a prefekt na te zasługi umiał być czułym.

Jak towarzystwo dobre kształci młodzież, niepotrzebujemy dowodzić; to też ogładę taką towarzyską znać było w każdej okazji na krzemieńczaninie, — na którą kto niezgrabny, gniewał się bardzo. Nie będę wam opowiadał przyjęcia w domach takich, jak Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Ożarowskich, Drzewieckich, Gadomskich i t. d., to już przechodzi sferę mojego opowiadania i potrzebę rzeczywistości; — wspominam tu o nich, aby wam pokazać, że wszędzie pamiętano o głównym celu wychowania, to jest — że dla zabawy niepoświęca się nauki i obyczajów: że tak było, rękojmię stanowiły domy obywatelskie, obecność profesorów i starszyny szkolnej, która raczyła często zabawy te zaszczycać swoją obecnością.

Obok tych wieczorów wspinałych i hucznych, świeciły mniejszym blaskiem, łagodne pikniki nauczycielskie. Składały się między sobą panie profesorowe i koleją w domach swoich ochocze urzą-

dzały pląsy. Towarzystwo zbierało się tam mniej wykwintne, ale dostatnie i wysoko ukształcone, ton zabawy zawsze taki nadany, że wesołość nie oziębiała się i formy lepsze zachowane były. Profesorowie młodzi nawet, nie tańczyli. Najmłodszy w 1828 roku przybyły po sławnym Jaroszewiczu, brat Adama, Aleksander Mickiewicz, taką odznaczał się powagą, choć 25 letni młodzieniec, że niktby nie ośmielił się zaproponować mu skocznego mazura lub walca; — drugi po nim co do wieku był Korzeniowski, któremu równie powaga i muza stały na zawadzie do mazura: jeden Uldyński choć starszy znacznie i łysy bardzo, niedbał o te względy, rzeczą samą nieusprawiedliwioną, i zawzięcie w takt należyty tańczył — będąc pewnym, że jutro powaga jego wielka i szacunek, jakim go młodzież otaczała, na żaden szwank narażone nie będą. Na takich piknikach tańczyli najmłodsi, tylko co z ręki Szlancowskiego i Piaseckiego wypuszczeni, — a znalazł się zawsze jeden i drugi bieglejszy, który rekrutów z natury skokliwych zręcznie poprowadzić umiał. Wieczorki takie do najmilszych należały i nieraz palmę wesołości prawdziwej wydzierały magnackim balom; wolne były od cenzury władzy, na nie prefekt pozwoleń nie wydawał, boć w domach profesorów i pod ich okiem się odbywały.

Na zakończenie historii rozrywek mógłbym coś dodać o wielkich piknikach raz na rok — w ostatki, w gmachu licealnym przez młodzież wydawanych dla tych domów, które ją gościnnie u siebie przyjmowały, — ale zawiele może w książeczce naszej byłoby balów i tańców, wolimy więc co prędzej pójść na prawdziwie studencką ucztę... — na majówkę.

Jak wszystko co się tu działo, choć obcem dla innych szkół nie było, tak i majówka krzemieniecka miała swój odrębny, większej świetności i porządku charakter. Pierwsze parę lat pobytu mojego w Krzemieńcu obchodziły się bez majówek dla względów politycznych. — Śmierć cesarza Aleksandra i wynikię po niej o następstwo tronu i wolności, których się szlachta rosyjska dopominała, rozruchy, — po rozruchach sądy, kary i ucisk, majówki szkolne wszędzie zawiesić kazało, aby się niegromadziły pod gołym niebem zastępy młodzieży, i pod wpływem jasnego i ciepłego słońca, wonnego lasu i ożywczego powietrza, wolniejsze i jaśniejsze myśli nieprzychodziły. Ustał wreszcie zakaz i odżyły majówki.

W piękne, leśne okolice obfitowało miasto nasze; — do tych więc okolic i do tych lasów, szli na majówkę uczniowie, przenosili się wszyscy niemal mieszkańcy na jeden dzień cały. Kupcy z łakociami podniebieniu studenckiemu miłemi zakładali w lesie namioty, — restauracye, cukiernie, i co najważniejsza, sprzedaż pilek, które w lesie łatwo ginęły, więc nowemi napędce zastąpione być musiały. W maju tedy istotnie wycieczka taka była nam dozwoloną. Od godziny czwartej rano gromadziły się zastępy majówkujących przy salach i w salach swoich. Każda klasa pod dozorem jednego nauczyciela w szyku bojowym, więc szeregami po czterech w jednym, szła ze swoją chorągwią — i wszyscy na miejscu właściwem stawić się musieli podług listy: ani lepszym ani delikatniejszym być u nas nie wolno było. Porządny więc batalion piechoty na kompanije ze sztandarami podzielony, maszerował ulicą Szeroką w stronę ku królewskiemu mostowi, — muzyka witała ten zastęp przy Maćkowej dolinie i razem z nim na przodzie posuwała się, graniem dodając ochoty. Za szczegól-

ném pozwoleniem, kilkudziesięciu starszych uczniów dośiadało koni, które im rodzice na ten dzień przysłać lub nająć pozwolili i uformowani w szyki towarzyszyło pieszym kolegom na miejsce. Jazda była wolna jak chód, aż do połowy drogi; dalej już przyspieszonym krokiem, klusem, galopem i znowu stępo, zawsze jednak pod komendą nauczyciela jazdy konnej Olszańskiego z funduszów licelnych płatnego. Nie był to zapewne człowiek wyższego naukowego wykształcenia, ale zacny, rozsądny, dobrze wychowany, w pospolitým znaczeniu oglady towarzyskiej, wychowanie rozumiejąc — i jeździec niepospolity. Jego opiece można było młodzież powierzyć i nie lękać się już o żaden wybryk i swawolę. Na miejscu w lesie zastawaliśmy nowe miasto jakby cudem zbudowane: — inne domki, lżejsze bo płócienne, ale ładne i strojne, a téż same miejskich przekupniów chrześcian i żydów twarze: czarodziejstwo to powtarzało się co rok, a było zawsze pewnym rodzajem miłej niespodzianki; byliśmy tedy wszyscy swoi i znowu między swójmi. Półgodziny i więcej odpoczynek — dalej posiłek gromadnie urządzony, bo mniejsze grupy szkolne pod wodzą swoich dozorców łączyły się tu w większe i wspólnie pożywały ranne śniadanie. Do południa gry i wyścigi piesze, także w pewien szyk ujęte pod okiem ciągle starszych nieustawały. Swoboda jednak większa jak w mieście: wolno było odpoczywać lub bawić się, do namiotu wstąpić na limonadę, pomarańcze, pierniki, ciastka, śmietanę i mléko; i tu nadużycia być nie mogło, i tu dozór i prawo sięgały. Starsi co parę godzin zmieniający się uczniowie, przestrzegali, aby w nicém miara nie była przebrana: kilku nauczycieli z łagodném zawsze ojcowskiém na ustach słowem czuwało i nieraz łatwo do zabawy zaprosić się dało, — a powiadam wam

szczerze, nie mieli powodu nigdy na niesforność i na nieuszanowanie narzekać. Po południu od 4ej ruch się wzmagał; powozy za powozami, bryki i koczobryki dostawiały ciągle nowych gości. Te same domy obywatelskie, ściśle z rodziną szkolną sprzyjażnione, wszyscy profesorowie, prefekt i dyrektor już przed 5tą byli w gronie naszym. Podzieleni najrozmaiciiej i już pomieszani zupełnie bez uwagi na klasy i kursa, najmłodszy z najstarszymi, wolni od wszelkiej nad sobą kontroli, przyjmowali traktament suty od nowo przybyłego towarzystwa. Dymy stu może samowarów szły prosto w górę, bo na majówkę pogoda być musiała, — tuziny szynek — cieleńskich pieczeń, kurcząt setki znikało — a drogi usłane były pomarańczowymi skórkami. Ta wielka uczta, przy której o najuboższym niezapomniano, bo często był gwiazdą klasy i tam należne sobie odbierał honory, trwała dłużej lub krócej, zawsze przeszło godzinę. Po uczcie wielkie gry: palant w stu walczących, w którym zawsze jeden z profesorów raczył mieć udział dla uświetnienia zabawy; bar olbrzymi, jak go opisałem ogólnie, bo szczegółów niestety — dziś nie pamiętam, — mety po mniejszych zakątkach, — na koniec wyścigi konne na ogromnej, równej jak morze przestrzeni. Zdarzały się tańce, bo muzyka pułkowa grała wszystko, co jej kazano — ale te tańce nigdy dłużej nad półgodziny nie trwały, aby nierozrywać towarzystwa i nieparaliżować oddzielnymi po namiotach zabawami, uczty wielkiej, jednej, ogólnej.

Śród wzmagającej się wrzawy i ogólniejszego zmieszania wszystkich bez wyjątku, co się tu znaleźli, występował jeden obyczaj dość dziwny, widać z tradycją ziemi tej, na której odbywała się zabawa, do dzisiejszej epoki przeniesiony, — dla młodzieży rokoszny,

bo z żywością i zręcznością popisać się mogła — a razem swoje sympatyje różne profesorom objawić; — dla profesorów nie zawsze wygodny.

Pod wieczór, gdy nabawiono się, nahałasowano i nabiegano do woli, — zbierały się w ukryciu, w zasadzce tak zręcznie przygotowanej, że nigdy największa czujność wysledzić jej nie mogła, gromady po kilkudziesięciu, otaczały z nienacka któregoś z nauczycieli, porywały i wyrzucały w górę, przy okrzykach wiwat! wiwat nasz Uldyński! wiwat pan Paweł (Jarkowski), Mickiewicz, Wyżewski, Jenc, Korzeniowski, Lefort, Zienowicz itp. — wiwat nawet nasz Bokszezanin! chociaż ten człowiek, jako za czasów Nowosilcowa do nas po Jarkowskim Antonim przysłany, nie mógł sobie wyrobić sympatyj ogólnej, pomimo rzeczywistych przymiotów na prefekta: sprawiedliwości, czujności i energii. Uciecha to była największa, gdy niespodzianie, nieprzygotowanego do tych owacyj potrafili pocziwi napastnicy uchwycić. Nagle wszczynął się w jakimś punkcie okrzyk największego ukontentowania, — na ten okrzyk biegła młodzież z wiwatem na kilkudziesięciu ustach gotowym, niewiedząc jeszcze komu, — i czapki podrzucała w górę. Zaledwie jedna owacya skończyła się — już w innym punkcie najmniej spodziewanym urządziła się druga, i tak aż do uczczenia każdego. Starano się zwykle zająć pierwszego, ulubieńca całej szkoły, Uldyńskiego; po nim kolejną w zasadzkę pomimo najmłodszego ukrycia wpadał drugi — a wreszcie jeszcze raz Uldyński — i na uwieńczenie, jeśli był obecnym, sam dyrektor. Najwspaniałej i najkomiczniej razem wyglądał ów Uldyński unoszący się w górę z kapeluszem w ręku, włosem długim od wielkiej łysiny oderwanym i samopas powiewającym. „Mości pano-

wie, odzywał się uroczyście, może już dosyć będzie, proszę — bardzo proszę“ — a moi państwo przepraszali serdecznie a podrzucali.

Hasło do powrotu dawał prefekt; — i we dwadzieścia minut już wszyscy do drogi byli gotowi. Szyk był inny z powrotem; już nie klasami i bez chorągwi, ale gromadkami zawsze razem pod opieką dozorców samych. Tyłów armii rozproszonej strzegł na wierzchońcu bułanym prefekt, a znowu w połowie drogi nowa spodziewana niespodzianka. Na górach okolicznych bliżej i dalej spotykały nas olbrzymie ognie z beczek smołą napelnionych i pochodnie dwoma rzędami po obu stronach drogi: nieśli je hajducy pańscy w liczbie kilkudziesięciu. Widok wspaniały zaprawdę, chociaż bez wielkich nakładów i przygotowań. Zdaje się, że te palące się beczki kosztem Liceum były przyrządzane. Skąd się te ognie brały, mało nas obchodziło, dość że były a my mieliśmy okazję krzyczeć wiwat przez parę minut znowu na cześć tego i owego, jak się komu podobalo, jak mu dyktowało serce.

Może to już zbyt wiele i niewłaściwe nawet będzie, gdy wam nadmienię moi łaskawi słuchacze, że w czasie takiej uczty zachowanie się profesorów było do tego stopnia wzorowe i budujące, żeśmy podziwiali wszyscy ich uprzejmość, spokojną powagę i słodycz — a nigdy nie dojrżeli przebranej miary... wesołości. Dziwnie doprawdy skład całego grona był dobrany: to istne towarzysztwo, po dzisiejszemu mówiąc, wstrzemięźliwości, z pośród którego szedł wzór i przykład wszelkiego umiarkowania i rozumu.

Na majówce nie było nigdy ani księdza Kulikowskiego ani kapucyna, — nie widziałem ich także w żadnym towarzystwie, tém bardziej przy zielonym stoliku z kar-

tami w ręku, choćby do wista — którego jednak państwo profesorowie wzgardliwie nieunikali, wyjąwszy kilku zaciętych wrogów zabawy wszelkiej, jak Jakubowicz, Jurkowski, Zienowicz, Jenc i Jarkowski Paweł.

Raz jeden pamiętam podniesionego w górę cichego Maksymilijana Jakubowicza, raz jeden niezdażył przed szóstą wyjechać z lasu i odbyć musiał tę nadpowietrzną podróż. Wiele go ta owacya kosztowała; — skarżył się, na starego Jurkowskiego (*greka*), że go zdradził, ale Jurkowski wyjechał przed nim, a oba zawsze spieszyli się bardzo do swego Homera, Horacego i Wirgilijusza, którymi nigdy nasycić się nie mogli. Na zakończenie o zabawach — opowiem wam wypadek prawdziwy, który jednak ma wszelki pozór anegdoty skomponowanej.

Co rok odbywały domy, czyli rodziny krzemienieckie pobożną pielgrzymkę do cudownego obrazu Matki Boskiej w Poczałowiu. — Miejsce to słynne od wieków ścierało wszelkiego obrządku ludność, chociaż Bazylijanie klasztor i kościół zajmowali. — Rodziny Jurkowskiego i Jakubowicza *) ściśle przyjaźnią z sobą połączone, bo jeden

*) Jakubowicz napisał gramatykę polską i łacińską, każda w 3ch częściach na 4 gimnazjalne klasy; — po wyjściu ze służby napisał dzieło o Filozofii Chrześcijańskiej w Wilnie wydane w r. 1856, nadto po rosyjsku o Starożytnościach greckich i rzymskich. Był profesorem naprzód w Swisłoczy, potem w Krzemieńcu; po zamknięciu liceum prof. zwyczajnym literatury łacińskiej w uniwersytecie kijowskim, w roku zaś 1839, gdy krzemienieckich profesorów po całej Rosji rozrzucono, dosłużywał w Moskwie emerytury. Prof. Jurkowski wykładał język i literaturę grecką do 1832 r., w którym umarł; — napisał antologią grecką w 2ch tomach i słownik grecko-polski.

Homerowi z resztą Greków, drugi Wirgiliuszowi z resztą Rzymian najwierniej służyli, — wybrało się w sekrecie przed Zeusem i Jowiszem do Poczajowa, — dwoma naturalnie koczobrykami. — Żony pobożnych filozofów pojechały naprzód, mężowie nieco spóźnwszy się za niemi. W pierwszym powozie oprócz pani Jakubowiczowej bezdzietnej i Jurkowskiej z jedną córeczką już dorastającą jechała służba, mieszcząca się jak można; do drugiego, dla panów złożono duży koszyk zapasów żywności i napoju w jednej butelce czerwonego wina reprezentowanego. Trzeba i to dodać, że przed Poczajowem jest laszek niewielki ale piaszczysty, tak że konie bardzo wolno postępować muszą, tém bardziej że profesorskie, więc niezbyt skore i nie bystre, choć dobrze wyglądające. Laszek ten bywał zawsze miejscem wypoczynku, z Krzemieńca bowiem do Poczajowa 20 wiorst w łagodnym bardzo rachunku liczyło się, a znalazłoby się i parę więcej przy większej ścisłości. Panie profesorowe spóźniły się trochę, bo panie, więc w lasku nawet wypoczywać nie mogły, inaczej niezdałyby na mszę: panowie spóźnili się jeszcze więcej, bo profesorowie starożytnej literatury i wszelkiej starożytności. W lasku konie zwolniły kroku, — aże filologowie w dobrém towarzystwie mają sobie zawsze jakieś odkrycie do udzielenia, mówił tedy Jakubowicz młodszy znacznie ale poważny *na lat sto*, o nowej edycji Homera z niezmiernie uczonym niemieckim komentarzem i cytował coś szczególnego. Jurkowski, którego o niezajomość wszelkich edycji Homera niktby posądzić nie miał odwagi, utrzymywał, że ta rzecz właśnie i tak jak Jakubowicz przytacza, znaną już jest z innego wydania, które posiada krzemieniecka biblioteka. Zrazu była to tylko rozmowa, dalej już spór i dość żywy; — a gdy w lasku konie szły wolniej a piasek szumiąc pod kołami

doskanale do rozpraw uczonych usposabiał, — więc się spór wzmagał bez przeszkody, bo bez trzęsienia i turkotu kół — a filologi choć przyjaciele, żaden żadnemu ustąpić nie chciał, pewnym będąc swego. Jakubowicz niecierpliwszy i gorętszy w sprawach tak ważnych, zapominając gdzie jadą i po co — a najbardziej *z czém*, proponował natychmiastowy zwrot do Krzemieńca, prosto do Biblioteki. Jak rzekli, tak zrobili i przed dwunastą byli już w sali bibliotecznnej. Panie tymczasem modliły się, a namodliwszy zapewne i o zdrowie mężów, wiecznie nie-domagających, wróciły do miejsca, na zasadzie umowy zawartej z drugą połową ważniejszą swojej całości. Panie Jakubowiczowa, Jurkowska z córką, dwie sługi przybyły rzetelnie do umówionego miejsca spragnione posiłku, ale koczobryka z mężami i szynkami niezastały. Czekanie do niczego doprowadzić nie mogło, bo panowie wiecie, że szynki stały przed biblioteką a profesorowie zaspokojeni, jeden zwycięzca drugi pobity, w samej bibliotece. W jakiej trwodze były pocziwe żony zapomniawszy już o głodzie, a myśląc tylko o straconych mężach, zrozumięcie. Wieczorem wszyscy siedzieli już przy jednym stole; — pani Jurkowska ostro jeszcze wymawiała mężowi niebaczność jego, pani Jakubowiczowa łagodna jak Bukoliki Wirgiliusza śmiała się serdecznie — i przeproszała męża. Wypadek nie wielkiej doniosłości — ale charakterystyczny: daje on wam miarę, jak ci ludzie kochali swój przedmiot, jak byli mu wyłącznie oddani. Któż kiedy potrafił zastać Zienowicza, Jarkowskiego? — w domu nigdy! — w laboratorium i bibliotece — zawsze. Jakże takim ludziom nie mieli wierzyć ślepo uczniowie, ufać ich nauce, szanować ich charakter, — a tém samém być powolnymi ich kierunkowi i z zamiłowaniem oddawać się pracy. Przykład silniej działa nad wszelkie

prawa rygoru i kary; — pod wpływem téż przykładów dobrych dorastała młodzież w nauce starannie i z zamiłowaniem wykładanej, w posłuszeństwie niewymuszoném, w moralności niemaskowanej, niezdobywanéj siłą. Same oryginalności i dziwactwa, właściwe ludziom w jednym kierunku wykształconym, jednemu oddanym wyłącznie przedmiotowi, rozśmieszając młodzież do obserwacji sposobną, wrażała jęj razem pokorę i cześć należną.

Pozwólcie na chwilę — że od uciech dozwolonych i obok nauki koniecznych dla odżywienia sił młodych, dam obrazek psot i swawoli.

Umieli się uczniowie krzemienieccy uczyć, umieli bawić, umieli szanować i kochać przewodników swoich, czcić dobroczyńcę swego, — mieliżby między nimi nieznać i tacy, którym natura odmówiła wszelkiego do psot i nieporządku geniuszu? Gdyby tak było, rzecz nasza w całości mogłaby uleść zarzutowi słusznemu, że jest nieprawdziwą, wyidealizowaną, a tém samém nieużyteczną. Na bujnej tedy niwie wołyńskiej rodzić się musieli psotnicy i nieprzyjawni wszelkiemu łaadowi, wszelkiej pracy i obyczajności nawet. Jednak dobre skłonności tak bardzo przeważały, duch karności i szlachetna ambicja tak górowały nad wszystkiém, co gorsze i niższe, że szczególne tylko, wyjątkowe okoliczności pomagały złemu, aby się ukazać mogło. Nieszczęśliwy stan moralny nauczyciela łaciny w klasach sprzyjał swawoli i nieporządkowi; niedołężniejszą starość i komiczną mowa polska francuza, najczcigodniejszego zresztą człowieka, i tradycyjne we wszystkich niemal szkołach lekceważenie rysunków i kaligrafii, — ośmielały niesforniejsze natury i bez wychowania lepszego z domów niższej kondycji, do wybryków, którym i lepsi i przyzwyczajeni wychowani ulegać niekiedy musieli.

A trzeba pamiętać i ostatecznie jako pewnik uznać, że jak na świecie tak i w szkole, do przodowania chwilowego naturalnie, do wszelkiej psotnej działalności najpochopniejsi są i najzdolniejsi patentowane nieuki. — Wychodzi próżniak najsłynniejszy w klasie i zaklina w imię koleżeństwa, przyjaźni, braterstwa, aby dziś nikt nie przyznał się, że lekcją umieć, lekcya bowiem tak jakoby trudna i wielka zadana, że się nikt przygotować nie mógł. Nie wyznaje malec, że się nienauczył dla tego, bo nie chciał, bo czas pracy zabawie lub pospolitej próżniacze poświęcił, więc nauczyć się mógł, ale używa argumentu łatwo do przekonania trafiającego, że lekcya była trudna, profesor niesprawiedliwy zbyt wiele zadał, wypełnienie więc obowiązku stało się niepodobnem; na rozgrzanie serc miękkich wzywa imion drogich koleżeństwa, przyjaźni — i często wygrywa sprawę. Potulne owieczki idą w imię braterstwa na wstyd, wyrzekają się swojej cnoty najważniejszej, że zrobili to, co starszy, co przewodnik w nauce kazał — i przyrzekają nieumieć choć umieją. Wrazie oporu pracowitych i obyczajnych — pracowici i obyczajni skazani są na wstyd i pośmiewisko, ogłoszeni za zdrajców całej klasy: — i skazuje biędaków kto? ten ze swoimi kolegami, który sam bezwstydnym jest, bo nie dopełnił tego, czego każdy uczeń wiernie codzień dopełniać winien.

Krzemieniec rzadko szczycić się mógł takimi bohaterami, — kiedy się znaleźli, to na lekcji Olędzkiego, gdzie bezkarność była prawie zapewnioną, bo nieszczęśliwy a zacny ten człowiek, jakby czuł, że on sam jest przyczyną niesforności, nigdy prawie nie skarżył się prefektowi, nigdy nie karał.

W innych szkołach królestwa kongresowego wyrabiało się więcej bohaterów; zarząd policyjny więc jak

ojcowski wywoływał te geniusze na widok publiczny — i narażał na srogości i znęcania się tych, którzy w mętnej wodzie ryby łowili.

Ale rzućmy na to zasłonę: jakież to tedy były psoty pospolitsze, swawole studenckie, od których Krzemieniec nie był wolnym. Oto w dni letnie i gorące przyniósł ktoś parę kóp chrząszczów, które ożywione świeżymi drzewami z za okien wyglądającymi, huczały i rozbijały się, a malcy śmieli się serdecznie. Innym razem przyniósł ktoś wywiórkę skoczną, której bał się Lefort; więc polowanie na wywiórkę zajęło czasem pół lekcji. W zimie znowu ubierano w płaszcz i czapkę także płaszcz jakiś — a Lefort widząc niewstającego bałwana na jego wejście, gniewał się i zrywał na nieobyczajnego kłopcę, który uszanowanie nie znał dla profesora, aże i w czasie modlitwy bałwan siedział, więc zrywał się jeszcze mocniej, że nawet Panu Bogu nie szanuje: pokładali się chłopcy ze śmiechu, że im się tak figiel udał. — Lefort szedł odgrazając się srodze, że niedaruje impertinentu, prosto do bałwana — a klasa umierała z rokoszy i śmiechu. Psoty takie często udawać się nie mogły, więc się niepowtarzały jak raz lub dwa na rok. To było dosyć dla humoru studenckiego, aby trwał w swój mocy.

Na kursach psot dziecinnych nie było, spisków przeciw lekcji nigdy, nieuszanowania dla profesora tém bardziej, — ale była tak zwana *tężyzna*, która zależała na tém, aby zamiast czapki studenckiej, wzięść idąc na bal, czy wieczór, kapelusz okrągły, wysoki, którego Jakubowicz wyjątkowo był wrogiem nieubłagany twierdząc śmiało, że tacy w kapeluszach są niebezpieczni dla społeczności, bo szerzą jawnie demoralizację. *Tężyzną* było — mieć fajeczkę na długim cybuchu, któ-

ra jednak prefekt umiał dosledzić i ośmnastoletniego młodzieńca za tak wielkie nadużycie, dotkliwie zawstydzic; *tężyzną* było nosić szerokie poły u munduru, kiedy ich przepis zakazywał, przywdziać jaskrawą chustkę na szyję, halstuch różno-barwny, wreszcie najwyższej dowodziło odwagi — przejechać się konno przed oknami prefekta, kiedy czas był lekcji literatury niemieckiej.

O wizytach po bilardach niesłyszeliśmy nigdy, nigdy w najściślejszym znaczeniu wyrazu tego.

W tym więc rodzaju wybryki, przyznacie panowie, że o pomstę do nieba nie wołały, a to były najpospolitsze. Kary za to mogły być ciężkie? W klasach zdarzała się różga, jak to już w inném miejscu wypowiedziałem, czasem koza dwugodzinna, najczęściej klęczenie, stanie w ławce czas jakiś, przeniesienie na parę godzin do klasy niższej. Na kursach reprimanda jedna i druga we cztery oczy, koza najdłużej 24 godzin — upomnienie publiczne: wydalenia nie było nigdy, chyba z rozkazu władzy policyjno-politycznej za wykroczenie pozoru politycznego; jednak to w czasach ostatnich, kiedy rząd już zamierzył zamknąć szkołę.

W czasach świetności funkcjonowały sądy studenckie na uczniów starszych, krótko wszakże, bo władze uniwersyteckie przeciwne tej instytucji były.

Reszty dziejów osobistych.

Od zabaw i swawoli przejdźmy jeszcze na krótko już do dziejów osobistych. — Widzieliście, że znowu znakomity odniosłem tryumf i zapłatę mojej stałej gorliwości w pracy, chociaż zdolnością miałem od siebie wyższych.

Rok się miał ku końcowi — nie wątpiłem, że nagrodę otrzymam, bo wszyscy nauczyciele przy każdej sposobności wystawiali mię za przykład innym. Nauczyciel niemieckiego języka, o którym nic jeszcze niewspomniałem, zbudowany był razu jednego postrzegłszy u mnie małą książeczkę, w której zapisywałem sobie każdą uwagę, każdy dodatek, jakich w gramatyce naszej brakowało. Używaliśmy wówczas bardzo lichej gramatyki Kamińskiego, gdzie co krok był jakiś niedostatek do dopełnienia i wyjaśnienia: profesor Michalski, Niemcem zwany, sumiennie uczył i wiele, kto go słuchał dobrze, mógł nauczyć. Często tedy powiedział coś takiego, czego w książce nie było, ale w mojej książeczce znalazło się zawsze. Przy każdej sposobności z moją bogatszą wiedzą występowałem i zawsze pochwałę otrzymałem; przypisywał to nauczyciel i wielkim zdolnościom i pamięci.. — tymczasem, był to skutek pracy i uwagi. Dojrawszy u mnie tego raptularzyka, z zadziwieniem i radością przeglądał, — a przejrzawszy ucałował mię w głowę znowu publicznie, znowu wśród zdumionej klasy.

Perłowski zastępca nauczyciela arytmetyki i geometrii (Planimetrii) z upodobaniem uczył nas arytmetyki podług metody Strzeleckiego. Nie tyle groźna jego surowość, ile postawa wyniosła i głos potężny — wy-

starczały do utrzymania w klasie spokojności i uwagi. Raz wyrwany (język miejscowy, techniczny) do tablicy, ułamki dziesiętne mnożyłem i dzieliłem żwawo i każdą regułę, prawo, wywiodłem jasno i zwięźle; — widocznie moją robotą a szczególnie tłumaczeniem się mistrz był uszczęśliwiony. Szybko, bez namysłu skinąwszy na cenzora, wyprawił go do czwartej klasy z prośbą do wykładającego tam nauczyciela, aby mu przysłał natychmiast dwóch uczniów lepszych. Po chwili weszli przyzwani dorośli panowie z dumą na twarzach malującą się, a tak wysokiej klasie właściwą. Proszę panów, rzekł, na chwilę usiąść tu przy tablicy; wezwany powtórnie, odpowiadałem i prowadziłem rachunek. Kiedym skończył, rzekł Perłowski: już panów nie potrzebuję, chciałem wam tylko pokazać jak u mnie tłumaczą się uczniowie pierwszej klasy — a mianowicie ten, którego tu macie przed sobą. Wymienił nazwisko moje, a ja byłem już nie w siódmym ale siedmdziesiątym siódmym niebie. Czy sądzicie panowie że mi to mało pomogło do wytrwania w pracy, do zagrzania, abym śmiało sięgnąć po najwyższe zaszczyty... w szkole.

Inaczéj zrządziły losy: — za wiele szczęścia za wiele sławy na młodą głowę; — trzeba to było odpokutować, opamiętanie stało się jakby koniecznym. Sława niepospolita już z moim imieniem tak się spoili, że je chyba równie wielka katastrofa jak degradacya do ławek osłów, mogła rozdzielić. Sława nie lada! — czwarta klasa poznała moję wymowę, głoszone w drugiej i trzeciej o nagłym moim wyniesieniu w łacinie; ksiądz Kulikowski raz w trzeciej klasie powiedział, że ma w pierwszej takiego, co jest w stanie powtórzyć bez podpowiadania kurs całoroczny. Czegóż więcéj trzeba do szczęścia ucznia? — oto nic więcéj, tylko trwałości

w szczęściu, błogosławieństwa Bożego. W ostatnim miesiącu dotkliwe cierpienie oczu niepozwoiliło mi przez dni kilkanaście bywać na lekcyach: to zbyt wielkie nieszczęście w samym końcu roku. Wprawdzie miałem dwóch pocziwych kolegów, którzy na przemian do mnie przychodzili, czytali mi lekcye, powtarzali... i tak się uczyłem; nie spotkała mię żadna porażka, — ale już samo cierpienie tamowało mi śmiałość i pewność siebie; — czytać i pisać w czasie lekcyi nie mogłem, wzorów kaligraficznych nieprzygotowałem, do tablicy wychodzić nie pozwolono mi, bo przy zawiązanem oku lub umbrelce żadne pisanie, tém bardziej krédą udać się nie mogło. Trudności wielkie, smutek téż mój był jeszcze większy. Siedział przy mnie chłopczyk śliczny jak aniołek, nie duży choć mało co młodszy odemnie, pilny niezmiernie, skromny i cichy — Franio było mu imię, imię, którego niewiem dla czego, nie lubiłem. Chłopczyk był pilny i uważny, nigdy go ani żadna większa nie spotkała klęska, ani rozgłośna sława nie uwieńczyła; był zawsze jednak bardzo dobrym uczniem i ani jedną w ciągu roku nie opuścił lekcyi. Fizyonomija sympatyczna w najwyższym stopniu, tak sympatyczna, że gdybym był na miejscu profesorów, za tę anielską fizyonomią dałbym mu nagrodę; możeby to nie było sprawiedliwie, aleby nieprzychylnych głosów nie znalazło. Miał on opinią najpilniejszego: — i tu fałszywe o mnie zdanie było przyczyną trosk moich, — przytém... wdzięków za wiele nie miałem; oczy czerwone zawsze jak u królika, twarz smutkiem wiecznym powleczone, bom za wiele z początku zawodu mojego wycierpiał, niedołęstwo ze ślepoty wynikające, pociągać do mnie nie mogły.

Nadeszły egzamina wewnętrzne w klasie, po nich publiczne, — wreszcie uroczystości kończące rok szkolny.

Egzamin w klasie zdałem najlepiej; — do poprawki zawsze gotów byłem, byle się nadarzyła okazja; — jednych to jak najprzychylniej dla mnie usposabiało, drudzy mniej chętnem patrzyli okiem na tę wieczną do popisu gotowość moję: jabym był za zdaniem drugich dzisiaj. Na egzaminie publicznym zwróciłem uwagę wizytatora wileńskiego pewnością i śmiałością odpowiedzi: — dwaj inni celujący uczniowie, tylko w matematyce i religii dorównać mi mogli, — Franio mały słabszy był od nas trzech, ale kochany za swą słodycz i skromność od wszystkich.

Cóż państwo powiecie!? — ja, który na egzaminach prywatnych i publicznych najwięcej pochwał otrzymałem, ja, który zadziwiałem czwartą klasę wymową, w trzeciej za wzór cytowany, ja, który pomimo najdotkliwszego bólu oczu, pomimo opuszczenia kilkudziesięciu godzin lekcyi, wszystko doskonale umiałem.... gdy przyszło do oznaczenia nagród, Franiowi pierwszeństwo przyznano! — on wziął książkę czerwoną ze złoconemi brzegami, na której wizytator był podpisany, — ja tylko pierwszą *Szczególną Pochwałę*, bez wizytatora podpisu. To już wyraźne nieszczęście i tak wielkie, że kiedy w czasie rozdawania nagród imię moje wywołano, — ze zgryzoty i boleści niewiedziałem, czy mam się zwrócić ku wielkiemu stołowi, gdzie sami dygnitarze od krzyżów i haftów świecący, siedzieli pod wielkim cesarza portretem, czy ku drzwiom i na korytarz. Zaćmiło mi się w oczach, — tak pycha moja i pewność siebie były upokorzone. — Straszny zawód, słaba pociecha — jedna.... że cała klasa takiego samego jak ja doznała zawodu, bo cała przekonanie *żywiła*, mówiąc poważnie, że ja książkę dostać muszę. Opiekun mój jednak wiedział zdaje się o tajemnych powodach, dla czego minęła mię nagroda, bo kiedy przyszedł do domu ze swoim

patentem ślicznie drukowanym a bardzo świetnie wyrażającym się o mnie, uściskawszy mię najczuliej, — powiedział, że moja szczególna pochwała tak dobra jak książka, że wszyscy nauczyciele chwalili mię najwięcej w czasie sesyi, a Franiowi, że mały i pracowity (niedodał, że śliczny jak aniołek) dla zachęty dano książkę. Pocieszyło mię to bardzo, bo w tym wieku smutek i pociecha — łatwe, chociaż pomyślałem sobie: — kiedy chwałą, czemu nagrody nie dają: ale mniejsza teraz o nią: postanowiłem, że już na drugi rok, kiedy przyjdą w arytmetyce potęgi i pierwiastki, wziąć góry nademną Franiowi się nie uda; wreszcie dodatek, jaki otrzymałem od opiekuna i dobrodzieja mojego, do *szczególnej pochwały*, wyrównał brak książki — a może i nadał cokolwiek: — przeszły bowiem na własność moję dwa drzewa śliwkowe młode, najpiękniejszym kwiatem okryte — a więc i obfity owoc obiecujące.

Egzamina i Popisy.

Przed examinami była spowiedź, — spowiedź zwykle cztery razy do roku odbywana. Najsolenniej urządzał ksiądz Kulikowski rekolekcyje wielkanocne, przez dni cztery trwające, oddzielnie dla klas, a oddzielnie dla trzech kursów; piérwszym przewodniczył X. Prokop, drugim sam, — czasem zmieniano się. Z jaką pracą, gorliwością i przygotowaniem sprawa ta była traktowaną, trudno wypowiedzieć. Ktoby po tych ćwiczeniach religijnych nieuczuł się lepszym, skruszonym zupełnie i gotowym stanąć z pokorą należytą przed konfe-

syonałem, ten chyba iskry uczucia i wiary w sobie nie miał; — ale dzięki Bogu, uczucie było szczére i gorące, wiara czysta, — przygotowanie więc do spowiedzi godne chrześcianina-katolika.

Odbyliśmy więc spowiedź piérwój, aby z sumieniem czystém i łaską Bożą do egzaminu przystąpić. Akt ten trwał zwykle kilka godzin rannych; bez względu na porę roku; od ósmój już msze wychodziły ciągle i gotowi do przyjęcia komunii, przystępowali do niej zaraz po przygotowawczych modlitwach. Poprawki, po studencku mówiąc, rzadko niezmiernie zdarzały się — bo aktu całego spowiedzi w jednym dniu uczeń dopełniał; trzy dni wystarczało dla wszystkich.

Na egzamina prywatne (w klasie) poświęcano dni dziesięć, na publiczne sześć. Egzamina prywatne poprzedzało ogólne powtórzenie kursu rocznego, dobrze przygotowane, ściśle z natury nauczania wypływające i konieczne, zaś egzamina publiczne były pewnym rodzajem wystawy dla szerszej publiczności. Do takich popisów stawali tylko celujący i dobrzy uczniowie, więc z postępu w nauce zdawali sprawę rzetelną, — na oszukanie ogółu wcale nieobliczoną. Dla klas czterech dość było dwa dni, dla 3ch dwuletnich kursów, czyli klas sześciu przeznaczano dni cztery. W sali fizycznej (nie fizykalnej) popisy te odbywały się codzień od 8 do 12 rano — i od 2 do 6 po południu. Dla wszystkich bez wyjątku wstęp był otwarty: niektóre przedmioty, jak polski język z łacińskim wspólnie, francuski, religija, historia i jeografia, w klasach niższych, ściągały mniej liczną publiczność: po kilkadziesiąt osób zwykle wyborowego towarzystwa, nie wyjmując dam poważnych i dziewic, które rade były widzieć swoich braci i cieszyć się ich popisami. Egzamina takie nie ograniczały się wcale na deklamacyach

w różnych językach wierszy, ale ogarniały całe przedmioty tak, jak w szkole były wykładane. Świetności dawała nie tylko publiczność strojna, ale i uczony areopag w galowe mundury, wizytatory w krzyże, wstęgi i hafty przybrane. Zjeżdżali zwykle na popisy biskup Łucki, marszałkowie wołyński, podolski i kijowski, wizytator Wileński, znakomitsi obywatele kraju. Miał uczeń słuchaczy przed sobą i obok siebie i sędziów zdolnych do ocenienia, jaki był wykład nauki, jaki w niej postęp i jaki ogólny kierunek, a byli to słuchacze nieobojętni. Profesor przedmiotu, który z kolei wypadał, siadał najbliżej uczniów przy wielkim stole, — obok niego dyrektor Liceum, dalej wizytator — aż ku środkowi, który biskup, jako najdostojniejszy zajmował. Egzamin klas i kursów rozpoczynała nauka religii uważana zawsze za niewzruszoną podstawę wszelkiego wykształcenia, jako przedstawicielka zasad moralności, na które w egzaminach i przyznawanych nagrodach i promocyach najściślejszą zwracano uwagę.

Jakkolwiek młodzież klasowa rada była tym popisom i tęskne zwracała oko na krzesła gości, gdzie słuchaczem mogła być matka, ojciec, najbliższe rodzeństwo, jednak popisy jej nie budziły takiego zajęcia jak popisy z nauk wyższych na kursach. Salę fizyczną zaledwie w jednej czwartej części zajmowała publiczność, resztę uczniowie klas i kursów do egzaminu nienależący.

Największe tedy oczekiwanie zachowano na egzamina kursowe. Nieraz ta wielka fizyczna sala nie mogła wygodnie objąć i wystarczyć słuchaczom. Początek egzaminów w ogóle otwierało stosowne w kościele nabożeństwo z kazaniem księdza Prokopa, który w pierwszym tym dniu i ostatnim mówił. Niktby nie uwierzył z państwa,

patrzac na dzisiejszą obojętność rodziców, publiczności w ogóle, w obec nauki szkolnej, jak całe towarzystwo goszczące na tych popisach, różne warstwy miasta całego, gorąco zajęte były uroczystościami egzaminowaniami. Nikt w domu i na ulicy o niczem innem nie mówił, tylko o świetnym mniej lub więcej odznaczeniu się uczniów, to z literatury polskiej, to z historii powszechniej, to z ekonomii politycznej — itd. Te sześć dni popisów obchodzono istotnie ze świątecznym usposobieniem, w świątecznych niemal ubiorach i humorach. O której godzinie miał być egzamin z historii (Uldyński) z literatury (Korzeniowski), wiedział każdy porządny człowiek i już w tych godzinach wszelkie czynności prywatne zawieszone być musiały. Na koniec sam dla uszczęśliwienia dam, które nieraz z poświęceniem godnym większej nagrody, siedziały na wyższej matematyce (rachunek różniczkowy i integralny), na algebrze, mechanice, geometrii wykreślnej, prawie Rzymskiem, odkładano fizykę, chemiją i mineralogiją. Szło tu już paniom nie o to, aby się przekonać, jaki postęp młodzież polska w naukach czyni, bo z tak poważnemi myślami nie każda zapewne przychodziła, ale o zaspokojenie jakiejś niedającej się jasno określić ciekawości, — a narreszcie, — o zabawę. Trzy przedmioty, któreśmy wymienili, w braku lepszej, mogły być prawdziwą rozrywką. Przy fizyce i chemii odbywały się doświadczenia przez samych uczniów wykonywane, na mineralogii odbywał się przegląd ciekawszych okazów ze wszystkich stron świata, — a co najmiłsze, drogich kamieni i ich świetnych imitacyi. Młodzież popisywała się z wiadomościami swemi pod okiem dam, niezawodnie więc dobrze przygotowaną była i sownie nagrodzoną, jeżeli wykład zwrócił uwagę słuchaczek i na wdzięczny ich ukłon zasłużył.

Bogaty niezmiernie gabinet fizyczny i to do tego stopnia, że zazdrość Uniwersytetu Wileńskiego obudzał, sam przez się już był ciekawością; — laboratorium chemiczne, jak w owym czasie stanu nauki być mogło, zasobne do zbytku może; gabinet mineralogiczny jeden z najkompletniejszych na całym obszarze ziem polskich, ściągaly oko, zaspokajały wszelkie istotne potrzeby. Profesorowie Jenc i Zienowicz mieli pomocników biegłych w samym mechanizmie doświadczeń, — na każdą więc lekcją przygotowali tak wszystko do wykładu, że profesor tylko o samej nauce myśleć potrzebował. Wspomniałem o tém teraz, żeby dać państwu wyobrażenie o bogactwie szkoły i o możliwie gruntownym wykładzie przedmiotów, kiedy takie miały pomocy i zasoby.

Popisy kończyły się 28 Czerwca — pomiędzy szóstą a siódmą godziną wieczorem. Popisy te bywały istotnie świetne, jednak przed laty świetniejsze być mogły, kiedy książę Adam Czartoryski zjeżdżał na nie jako kurator okręgu naukowego wileńskiego — a Tadeusz Czacki, jako wizytator szkół trzech gubernii, założyciel szkoły.

W dniu 29 na uroczystość Piotra i Pawła — uwieńczenie prawdziwe trudów nauczycieli i uczniów. O godzinie 9tej nabożeństwo, zwane obchodem za Czackiego. W czasie mszy muzyka amatorów, po ewangelii mowa księdza Prokopa zawsze tak świetnie, serdecznie wypowiedziana, że umysły i serca przybrać musiały nastrój uroczysty i rzewny. Co tylko nabożeństwu świetności dodać mogło, usposobić do godnego w niém uczestnictwa pobożnych, użyte było: — prócz licznej asysty najstarsi uczniowie kursów służyli do mszy; jeśli był obecnym biskup, biskup celebrował, jeśli nie, zawsze starszy któryś z prałatów diecezji Łuckiej. Cały skład

nauczycieli i zwierzchność szkolna w galowym stroju otaczali katafalk przybrany w wieńce i kwiaty, przed którym portret Czackiego przypominał wychowankom Krzemieńca szlachetne i łagodne rysy ich dobroczyńcy; — uczniowie z lat przeszłych medalami ozdobieni, bliżej katafalka, a cały kościół przepełniony publicznością miejską i zamiejską. — Kochani panowie moi, powiedzcież sami, czy ogół tych przyborów, wystawy i tak powszechny udział w uroczystości mógł inaczej, jak błogo i zbawiennie wpływać w dniu tym na umysły młode? czy podobna, aby nie przejmował ich serc wyższemi, szlachetniejszymi uczuciami, czy do uzacnienia ich natury nie przyczyniał się? Dziewięć lat w oczach moich powtarzała się ta uroczystość, i z każdym rokiem, im więcej czuć i pojmować umiałem dobrodziejstwa oświaty, wrażenie się wzmagalo, pamięć chwili utrwałała i pozostała żywą i wdzięczną do dzisiaj.

Po nabożeństwie, przechodziło się do sali fizycznej świetniej jeszcze przystrojonej jak w dzień otwarcia, bo w kwiaty i drzewa jakie miał najpiękniejszy ogród. Na stole wielkim, suto dywanami okrytym leżały przedmioty, na których widok młode serca uderzały mocniej: to dyplom z wielką pieczęcią, jeden na gimnazjum drugi na Liceum, złociste książki nagrodowe, medale srebrne i jeden złoty, accessita, szczególne pochwały — listy pochwalne i księga promocyi. — Otwarcie szkoły rozpoczynała mowa dyrektora, rozprawa nauczyciela jednego i znowu kilka słów błogosławieństwa na nadchodzący kurs pracy: na zamknięcie, naprzód rozprawa profesora w przedmiocie jego katedrze właściwym, przemówienie Biskupa lub wizytatora, stosownie do okoliczności i potrzeby. Po rozprawie koncert jednego z uczniów odegrany na forte-

pianie, innego na skrzypcach, innego znowu na flecie: po koncercie zabierał głos dyrektor, wartość nagród szkolnych objaśniający. Nagrodzony szedł środkiem licznnej publiczności do stołu, tam złożwszy ukłon temu, który nagrody wręczał i całemu gronu nauczycieli, przyjmował patent i kilka słów głośnień wyrzeczonych zachęty do dalszej pracy, oraz pochwałę — za przeszłą. Jeśli to był medal ową nagrodą, jedna z dam rodziny młodzieńca najbliższa, przypinała mu znak ten honorowy na niebieskiej wstążce do piersi, — a rzadko kiedy akt ów obszedł się bez cichéj łyzy radości i damy i dekorowanego. W czasach szczęśliwszych Czacki przemawiał, — Czacki serdeczném słowem witał młodzieńca, w ojcowskich objęciach swych ścisnął go, dekoracją zaś wręczała osoba przez niego wybrana.

Zachowała się pamięć jednego podobnego aktu, gdy w obec Tadeusza Czackiego wezwany do przyjęcia medalu złotego, Józef Czacki, syn założyciela najstarszy, z rąk ojca odbierał zasłużoną nagrodę a matka zalana łzami przypinała ją do piersi dziecka swego. Twierdzą, że pani Czacka przeciwną będąc tym uroczystościom, które mąż jej uważał za wielkiéj ceny momenta w życiu młodzieży, z uśmiechem ironii razu jednego przy wejściu do kościoła odezwała się do swéj towarzyszki księżnój Sanguszkowój, jak bardzo śmieszają ją i nudzą te ceremonie komedyanckie, do których Starosta tak wielką przywiązuje wagę. (Pierwotnie akt rozdania nagród odbywał się w kościele — ja widziałem go zawsze w sali.) Kiedy przy udzielaniu nagrody, ozwał się srebrny głos ojca z rozczuleniem błogosławiący synowi, gdy syn z nagrodą swoją zbliżył się do matki i przyklękawszy prosił, aby mu ją sama przypięła, z początku łyzy ukrywane — wreszcie rozrzewnienie głos jéj odjęło, całowała syna

a sił dosyć nie znalazła, aby dokończyć ceremonii. Siedząca obok niéj księżna niewzruszona bynajmniej tém upokorzeniem i łzami matki rzekła: „czy pani jeszcze znajduje te ceremonie śmiesznemi?”

Była instytucja sędziów z grona uczniów kursowych wybieranych, którzy przewinienia swoich kolegów oceniali i karę wymierzali. Na prezesa takiego sądu w pierwszym roku jego działania wybrała młodzież Józefa Czackiego, młodzieńca wielkich cnót, zdolności i pracowitości. Czacki ojciec zaprotestował uroczyscie przeciw temu wyborowi, nie chcąc aby zawistni mieli pozór do oszczerstwa, i w rozrzewniającéj mowie dziękował młodzieży za ten zaszczyt synowi okazany, ale przyjąć go nie pozwalał. Na ten protest uczniowie i profesorowie powstawszy jedną natchnieni myślą oświadczyli stanowczo, że godniejszego kolegi i ucznia na krzesło prezesa niema, i tylko Józef Czacki zając je powinien: rozplakał się Czacki i uleść musiał. Tego rodzaju scen i wspomnień najpiękniejszych w dziejach szkoły krzemienieckiej jest wiele a każda szlachetniejsze serce do łez poruszyć może, każda dowodzi, że zakład Czackiego dobrze odpowiadał celowi swemu, godnie i zaszczytnie zadanie spełniał i krajowi dobrych polaków i cnotliwych obywateli przysposabiał.

Po rozdaniu nagród i całej téj uroczystości jeszcze krótka modlitwa przy organach w kościele i *Te Deum*.

O godzinie 5ej, na galerji przed kościołem odbywały się popisy robienia pałaszem i szpadą, którą floret reprezentował i zawsze w obec najliczniej zgromadzonej publiczności. Nauczyciel fechtunków Russel, francuz do najdzielniejszych rębaczy w owym czasie należał, stary grenadyr gwardji Napoleona. Sam z nikim nigdy bić się nie raczył, wyzywających go śmiazków odsyłał

do młodszych pokoleń, aby to świadczyło jak się metr ich bić umie. Wspomniałem już raz w ciągu tego opowiadania o sławnym uczniu Russela, Mikulskim *Angliku*; byli podobno i inni sławni, ale jacy, już nie pamiętam. Popis trwał zwykle około trzech kwadransy; za moich czasów bił się najlepiej Fedkowicz, którego nazwisko jakoś dotąd z powodzi zdarzeń ludzkich nie wynurzyło się; — może dzielny młodzieniec zginął w 1831 r. jak wielu innych z krzemieńczan, którzy pod Rożyckim spełnili ten obowiązek synowski dla matki.

Po fechtunkach przechodziliśmy na Karuzel, gmachami licealnymi i zabudowaniami szkoły mechanicznej otoczony. Tam nowe turnieje pod wodzą uszczęśliwionego Olszańskiego, wyższa konna jazda, jak to sam nauczyciel nazywał; ścinanie tureckich głów, podejmowanie ich w czasie biegu, przesadzanie w galopie baryery i tym podobne figle zręczności ogromną zwykle publiczność ściągaly, która galerye w amfiteatr urządzoną zajmowała, przyklaskując młodym jeźdźcom. Nigdy do tego popisu nie stawało więcej jak 18 do 20 młodzieży, po większej części na własnych koniach, lub pana Olszańskiego, który obowiązany był bezpłatnie uczyć i dawać konie niezamożnym, tak zwanym, funduszowym uczniom.

Po jeździe, skokach i wyścigach następowały jeszcze trudniejsze popisy z koniem i na koniu, aż do wyczerpania programu ostatni dzień uroczystego Aktu zamknięcia kursów stanowiącego.

Roskoszny dla wielu, których rodzice w zamownych włościach oczekiwali, czas wakacyj, dla każdego w ogóle nie bez pewnego czarodziejskiego był uroku. Wszystkie drogi prowadzące do wnętrza kraju wypełnione wózkami, bryczkami, czasem dostatniejszym jakimś powo-

zikiem, twarze wesołe, uśmiechem okraszone, miny uroczyste. Pewien nieporządek w siedzeniu, jakaś oryginalna czapeczka zamiast studenckiej, kij duży, niby dla bezpieczeństwa, które nie groziło, — wszędzie raczej uprzejmość i serdeczność tamowała drogę. Usługowne po karczmach zajezdnych, po miasteczkach żydki witają swoich paniczów gorąco; — każdego prawie znają po imieniu — ojca marszałka, chorążego, podkomorzego, sędziego syna i wnuka jego: — ten niedawno pana deputata widział, inny panią marszałkową w swój izbie przyjmował. Wszędzie spojrzenia wesołe, przyjazne, nawet Hrycie i Fedki półuśmiechem raczą przejeżdżających skubentów. Jakie tam czeka powitanie w domu, jaki wymyślny podwieczorek i wieczerza! — jaki hałas psów faworytnych, od których panicz opędzić się nie może! Obrazek to znany powszechnie na Wołyniu, jaskrawy ale rzetelny — lepiej i szczęśliwiej, niż ja to potrafię, miejscowi poeci często malowali; bo jak Krzemieniec żył i oddychał szkołą, tak prowincja cała Krzemieńcem:

Pierwsze dni wakacji, to raj na ziemi prawdziwy; jeżeli raj nie w mieście, nie na rospalonym i poszarpanym bruku. I dla mnie te dni pierwsze nie były bez wdzięku, lubo na miejscu pozostać musiałem. Swoboda zupełna, granice działania najobszerniejsze: od ogrodu, w którym stał dom nasz, aż do wjazdowej bramy, kroków blisko dwieście. — A sam ogród, to obszar najrozmaitszy, bez granic prawie, — owszem miał granice, gdzie rosły moje dwa drzewa śliwkowe już nie rześystym kwiatem ale bogatym dojrzewającym owocem pokryte. Był w tym ogrodzie i kłębik pamiętny, w którym w kilka lat później pierwszy raz słyszałem czytanego Wallenroda, ukryty w cieniu drzewek i leśnej jerzyny, gdy wyborowe litera-

ckie towarzystwo szczereimi łzami zachwyty oblewało każdy ustęp, a szczególnie pieśń i powieść wajdeloty.

Ogród tedy wolny, rozmaity, wielki, był przyjemnością prawdziwą. Nie brakło z początku i innych: dzwonek chrapliwy do szkoły nie wzywał, do szkoły, gdzie ciągle obawy o tryumf i klęski trapiły do zgryzot nieprawioną jeszcze głowę, — słońce dawno zeszło wstawać nie kazało, widok prefekta nie trwożył, pedela — nie tamował głośniejszego śmiechu... a do tego piłka kozlista własnego wyrobu — własnego chowu: jednego, tylko brak, brak zupełny i dotkliwy — ludzi małych — w mundurach. Bawić się można, ale niema z kim tak, że po tygodniu wakacyi tęskno już było, a po dwóch położenie tak jednostajnie swobodne, bez obaw i bez nadziei, tak dalece nudném się stało, że rozpacz jużby zajrzeć do serca mogła, gdyby w tym wieku rozpacz rodzić się umiała — gdyby, za bramą dwie także sieroty, chociaż z daleka nie ożywiały téj samotności.

Samotność dojrzale umysły czasem rozumu uczy, hartuje ducha i wzrost jego przyspiesza — mnie niedojrzałego nauczyła tylko na raz jeden... kłamstwa.

Długośmy z sobą trzej samotnicy zdaleka wabili się nawzajem, długo patrzyli tylko i gestami, lub krótkimi słowy porozumiewali, aż struna karności, wyjść za bramę niepozwalająca, pękła, i nowy, ostatni wypadek na głowę ucznia klasy pierwszej skończonego, sprowadził nieszczęście.

Poszedłem na krótką chwilkę do kolegów, na krótką doprawdy, ale raz ujrzawszy się razem, tyle mieliśmy sobie do powiedzenia, tyle zajmujących zawróciło mi głowę przedmiotów; u jednego piłka gumowa dwa razy od jednego uderzenia sufitu dotykająca, forteca świeżo nary-

sowana z gotowymi do gry żołnierzami, warcaby z tektury misternie wykrojone, wróbel w klatce uwięziony, mały wyżełek przez kij skaczący, — że trudno było się oprzeć tylu pokusom, trudno obliczyć minuty dokładnie, gdzie tam minuty, godziny całe. Dwunastój bijącój na licealnym zegarze niedosłyszałem, — a to w domu naszym obiadowa godzina; i ten brak uwagi na zegar zgubił mię i do nędznego kłamstwa pokusił. Opamiętałem się wreszcie i pędem niezwykłym bieząc, stanąłem na miejscu, gdzie już przy stole siedzieli wszyscy.

Gdzieś był? zapytał opiekun, — w kościele, odpowiedziałem co prędzej, bo prędko pytanie było uczynione. Gdybym prawdę powiedział, spotkałaby mię bura, ale nie wielka, bo i wykroczenie drobne; ale złe małe ukryć chciałem i bez zastanowienia wyrzekłem kłamstwo, — i to, przynajmniej panowie, w najwyższym stopniu niezręczne a wielkie. Kazano usiąść i jeść; — usiadłem, ale jeść nie mogłem ze zmęczenia i trwogi. Po minach poważnych już poznałem, że źle będzie.

Po obiedzie otrzymałem rozkaz wyraźny, abym szedł prosto do mojego pokoiku z dziadkiem do spółki zajmowanego i tam czekał. Na co czekać, co mię tam spotkać mogło, gubiłem się w domysłach a domysły były najrozmaitsze. Godzina wielka w oczekiwaniu upłynęła, tak przynajmniej czas długim mi się wydał; dziadzio gdérał dowiedziawszy się prawdy, gdieranie wreszcie złowrogo zawiesił — i usnął snem poobiednim. Zostałem sam z oczami zwróconemi na górkę, gdzie mieszkali opiekunowie moi — aż ujrzałem w chwili, kiedy już i dziadzio mocno chrapał i trwoga moja ustępować zaczęła, pana profesora posuwającego się wielkim krokiem ku nam z jakimś papiérem w ręku. Wszedł, usiadł, oddał mi ów papier i czytać kazał. Naprzód trzeba

wam wiedzieć, że to był wypadek bardzo niezwykajny, mieć gościem w domku naszym pana profesora, który wiecznie siedział w swoim gabinecie i pisał — zapewne wiersze, dramata i tym podobne niedostępne dla dziatwy rzeczy; zjawiał się na krótko do śniadania, obiadu i kolacy, czasem przejechał się konno, czasem na jakąś półdniową, wiejską oddalał się wycieczkę; z dziadziem widywał się kilka razy na dzień okazując mu zawsze najczulsze przywiązanie i szacunek ojcu i starcowi należne; a jeżeli zdarzała się jaka ciekawa lektura, syn zapraszał dziadzię na górkę do swoich apartamentów. Dziś, w tej chwili był przy mnie, siedział i czytać kazał. Przeczytałem pierwszy wiersz: „Gdzieś był; — a po drugiej stronie kajeciku, to samo po francusku — *Où avez vous été!* drugi wiersz: „Byłem w kościele“ z tłumaczeniem francuskim jak pierwszy. Przeczytawszy — już miałem pełne łez oczy, — czytać jednak musiałem do końca, a było tego kilkanaście wierszy w pytaniach i odpowiedziach dobitnie malujących mój postęp, kłamstwo brzydkie i należne za to surowe, w słowach, upomnienie. Nie wiem, jak tam bolą tortury, wiem jak straszne badanie w komisji wojennej, nie wiem, co cierpi więzień pod pręgierz prowadzony, — ale zdaje mi się — że to, co ja wycierpiałem czytając w zręcznym dialogu, aż w dwóch językach, występki mój opisany — z tamtymi cierpieniami śmiało porównać się mogło.

Kazano mi się nauczyć dialoga przed wieczorem i wydać w czasie kolacy, kiedy wszyscy siedzieć sami będą i słuchać — a mógł bardzo łatwo i gość jaki zdarzyć się.

I to przeszło; — kłamstwo szlachetnie i skutecznie było ukarane; — i raczcie mi wierzyć, że nigdy nie kła-

mię, kłamstwem się brzydę i za najzgubniejszą wadę w młodym człowieku, czy dziecku, uważać zwykłem.

Jużbym właściwie na tém mógł skończyć moje opowiadanie. Józio pocziwy widzi z tego, com mu dotąd powiedział, a we wszystkim była najszczerza prawda, że można się dobrze uczyć i dobrze bawić przy nauce, jeżeli dziecko ma pocziwe serce, rodziców kocha i starszych bezwarunkowo słucha; że dla dobrego chłopca niema złego nauczyciela, niema zawistnego, złość i zemstę w sercu swoim przechowującego długo, że każdy z jakimkolwiek przystępuje do zawodu swego usposobieniem, byle był człowiek moralny i dobrze swój przedmiot znający, po pewnym czasie, dzieci, które uczy, kochać zaczyna, żyje z niemi jak z własną rodziną swoją i niesprawiedliwości umyślnie nie popełni.

Tu mógłbym skończyć, mówię, i niejednemu ze słuchaczów lub czytelników przynieść ulgę prawdziwą zwalniając go z moralnego niejako obowiązku słuchania rzeczy, która według niego przeciągnęła się może nad zakres i potrzebę; — mógłbym, bo pierwszą klasę skończyłem z nagrodą, niedoszlą rąk moich, ale zasłużoną w mojem przekonaniu; byłem czas jakiś znakomitym prymusem, znanym nawet w klasie czwartej w czasie kursów, a poznanym od wielkiej publiczności w czasie popisów i rozdawanych nagród. Ale jeszcze słów kilka i pożegnam panów — na zawsze.

Już szczegółów dalszej kariery szkolnej nie usłyszycie, ale to dodać muszę, bo zdaje mi się konieczne, że zawody moje nigdy nie miały końca. W drugiej klasie byłem tak jak w pierwszej na czele klasy; — w trzeciej, czwartej i dalszych nie miałem nigdy niebezpiecznego współzawodnika — a jednak nigdy najwyższa nagroda nie spotkała się ze mną. Poważne

względy polityczne z góry, czyli z Wilna nakazane, zawiesiły rozdawanie nagród w książkach, więc złościstej książki pomimo oczekiwania, prawa i pewności całej klasy, niedostałem. Nie rozumiałem owych wyższych względów, ale uczułem mocno zawód. Drugi raz miały być dawane premija w kształcie patentów, z nagrodą pieniężną połączone; nie nadeszło upoważnienie z Wilna; i znowu, nie według zasługi, ale podług alfabetycznego porządku, w których głoska mojego nazwiska prawie najostateczniejsze zajmuje miejsce, otrzymałem ostatni z listy, Szczególną pochwałę, jakbym był ostatnim z celujących — chociaż wszystkie stopnie celujące miałem i dwa przedmioty nadobowiązkowe, *angielski* i *grecki język*. Innym razem dopuściłem się choć mimowoli, wielkiego wykroczenia, bom nauczycielowi powiedział bez żadnej przyczyny, przez gadulstwo, brak zastanowienia nad tem, co mówię, impertynencyą. Ani on do mnie żadnej urazy nie miał, ani mi żadna od niego krzywda nie spotkała — więc głupstwo stało się *gratis*, ale się stało. Rywal mój wydał mi, rywal niecny bo tylko na jednym tym przedmiocie zaprzeczający mi pierwszeństwa — i otrzymałem karę, która podług ustaw Czackiego na rok jeden odejmowała prawo do medalu. Pomimo to prawo, pomimo nieprzychylne świadectwo medal został mi przyznany. Cały skład nauczycieli udał się po sesyi do dyrektora prosząc o uchylenie na ten raz jeden ostrego przepisu — prośbę poparł prefekt, i przyzwolenie nastąpiło. Jakkolwiek przygotowany byłem na to, że nic nie dostanę, bolało serce, bo mi się zdawał przepis taki niesprawiedliwością.

Uprowadził mnie opiekun o tej decyzji niespodziewanej, a więc tem radośniejszej, ale dodał, że mi zarzucano zuchwałość, zarozumiałość i brak uszanowania

dla jednego z nauczycieli: — wytłumaczyłem się z zarzutów śmiało i dość gruntownie, podług mojego przekonania.. i wyszedłem z gabinetu nie podziękowawszy, nieudawszy się w pokorę, jak przystało na młodzieńca, który pracowitość swoją i zdolności skaził wykroczeniem przeciw obyczajom. Istotnie, pobłażliwość nauczycieli okazała się wielką, zarozumiałość i pycha moja, większe: aby się złe nie wzmogło, poskromienie wad takich powinno było być należytem i natychmiastowem. To też nazajutrz, dowiedziałem się z ust tego samego opiekuna, że prócz zwykłej promocyi nic nie dostanę.

Na sesyi dnia tego najbliższy świadek postępowania mojego złożył oświadczenie, iż dla dobra zarozumiałego i zbyt pewnego siebie młodzieńca, należy mu odmówić wszelkiej nagrody, aby się starał lepiej na nią w przyszłości zasługiwać.

Przebieg tej sprawy wkrótce stał się głośnym, rozniosło to imię moje szeroko po świecie krzemienieckim, wiadomem się stało w kilka dni, gdy się uczniowie rozjechali, w trzech guberniach: — zaszczyt dla mnie wielki — ale ja więcej potrzebowałem. Nazywano mnie wbrew prawdzie, medalowym uczniem, byłem traktowany z należnemi względami celującemu, pracowałem znowu, jak dawniej — i znowu własna wina, zarozumiałość, zbytek pychy do ziszczenia marzeń moich, stanął na przeszkodzie; gmach mój, jak francuskiego cesarstwa, nie został nigdy uwięziony.

Wypadki ciągle tak mi przeciwne a rozliczne, które już opuszczam, szczególny wpływ wywarły na mój charakter. W początkach studenckiego mojego życia, łagodny, cierpliwy i potulny, każde niepowodzenie najdrobniejsze do głębi serca przyjmujący i oplakujący je rzewnemi łzami, — po pierwszym zawodzie, gdy mię

ładny Franio ubiegł w wyścigach do książki, zmę-
 zniałem jakby, stałem się zawziętym i upornym w do-
 sięganiu celów. Chciałem przekonać los i ludzi, prze-
 łamać ich dla mnie usposobienie i zadziwić pracą i zdol-
 nością, w którą ku końcowi zacząłem już wierzyć; —
 i walczę dotąd z moimi ekonomami, żeby ich słowem
 dobrém, przekonywającymi dowodami od nierzetelności od-
 zwyczać.. i jeszcze niedopiąłem celu; są wprawdzie lepsi,
 rzetelniejsi, ale im żony niepozwalają zostać świętymi.

W braku nagród i medalów potrafiłem w piłkę,
 ale tylko w grze jednej, *mecie*, dojść do doskonałości
 przyznawanej mi ogólnie. Byłem postrachem, gdy piłkę
 dzierżyłem w ręku; — nie uszedł ani stojący ani ucie-
 kający potężnego razu. Przyszedłem do takiej dosko-
 nałości w turniejach piłkowych, że będąc trzecioklasistą,
 do grona uczniów kursowych wzywany byłem, kiedy
 dzielnego ramienia mego i trafnego rzutu potrzebowali.

O początku i zasobach szkoły, zakończenie.

O zawiązkach szkoły krzemienieckiej, o cechach
 jej charakterystycznych, o wielkim założycielu, który
 całe życie wśród zawodów i zawiści drobnych poświęcił
 jednemu zadaniu i spełnił je, — i wreszcie o zaso-
 bach i funduszach, staraniem tylko Czackiego zdobytych,
 jeszcze parę ustępów na zakończenie.

Gmachy licealne zwały się pojezuickimi, bo rze-
 czywiście przed zniesieniem Jezuitów, ojcowie tego

zgromadzenia utrzymywali kosztem własnym szkołę na-
 przód trzy, potem czteroklasową; — po zniesieniu, została
 zamienioną na wydziałową o 4ch klasach, a po ostatnim
 zaborze, była już bez tytułu i znaczenia. Gnuśność kiero-
 wników młodzieży rozwinęła się do tego stopnia, że dni
 nauki w ciągu całego roku szkolnego liczono tylko 142,
 a w przeciągu lat 10 od 1793 r. do 1803, liczba uczą-
 cych się spadła z 240 na 50ciu i dopiero usiłowania
 komisji edukacyjnej podniosły i naprawiły niedbałość
 zagnieżdżoną po zaborze.

Kiedy kraj cały, we wszystkich społecznych war-
 stwach na działaniach politycznej natury zawiedziony,
 zwątpił o przyszłość swojej, o moralnej i narodowej sile,
 Czacki zrozumiał, że niemogąc uratować bytu poli-
 tycznego, można się jeszcze ratować, żyć i znaczyć
 w historii, bytem moralnym, — oświatą w duchu naro-
 dowym pokierowaną. Jako zamożny obywatel prowincyi
 pod zaborem rosyjskim zostających, prowincjom tym je-
 dynie mógł się poświęcić i rzeczywiście poświęcił, sko-
 rzystawszy ze szlachetnego usposobienia cesarza Aleksan-
 dra. Monarcha ten zapragnął panowanie swoje uświetnić
 podniesieniem oświaty w obszerném państwie swoim
 a nowych poddanych łagodnością i darem najwspaniał-
 szym, bo instytucjami naukowemi, przejednać i pocią-
 gnąć. Stąd powstał na Litwie uniwersytet Wileński,
 w prowincyach ruskich, gimnazjum wołyńskie, na uni-
 wersytet z czasem mające być przeobrażone, a tymcza-
 sowo uniwersytet zastępujące.

Nie mogę wam kreślić szczegółowej historii oświaty
 i szkół w Litwie i na Rusi, bo to rzecz za poważna
 na taką jak nasza, książeczkę; — nie mogę wam kreślić
 żywota Tadeusza Czackiego, bobym niepotrzebnie a mniej
 doskonale powtarzał to, co inni już zrobili. Ciekawi

uczniowie, gdy umysł ich dojrzeje, zajrzeć mogą do dzieła „O życiu i Pismach Tadeusza Czackiego starosty nowogrodzkiego, Radcy tajnego, wizytatora szkół trzech gubernii,“ przez Aloizego Osieńskiego, kanonika katedralnego Łuckiego, nauczyciela literatury Łacińskiej i Polskiej w gimnazjum wołyńskim. Rzeczą czytana na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie dnia 30 Lipca 1813 r. Tam dowiedzą się, czém był Czacki, nim wskrzesicielem oświaty i dobroczyńcą prowincyi swojej został, jakim był polakiem, jak ogromną wiedzę mężem, jak wielkimi talentami i cnotami obywatelskimi słynął; — dowiedzą się także, że tenże sam Czacki był duszą komisji edukacyjnej, kiedy Ignacy Potocki najistotniejszym jej twórcą. Tam i wszędzie, gdzie tylko jest mowa o sławie uniwersytetu wileńskiego i wielkim jego wpływie na oświatę Polski, na utrzymanie przy narodowej tradycyi i miłości ojczyzny, dowiedzą się i nauczą czcić tak Czackiego za pracę jego około podniesienia szkół na Rusi, jak czci każdy, co czcić umie dobrodziejstwa nauki, organizatorów uniwersytetu Wileńskiego: Księdza Rektora Strojnowskiego, księdza Poczobuta i Sniadecznego. Ci mężowie pracowali nad przerobieniem zakładu zgodnie z wymaganiami czasu, mając materiały i środki gotowe, Czacki wszystko stworzył, — i środki i zakład, walcząc nieustannie przeciw zazdrości, nawet mężów wileńskich.

Wymienię wam tylko pamiętniejsze daty do szkoły krzemienieckiej odnoszące się: Naprzód reskrypt najwyższy cesarza Aleksandra Pierwszego z dnia 19 Grudnia 1803 r., ustanawia Gimnazjum i upoważnia do działań przygotowujących jego wykonanie.

Dzień 1szy Października 1805 r. jest momentem

najuroczystszy w życiu szkoły, bo ją urzędownie i istotnie otwiera.

Patentem z dnia 16 Stycznia 1819 r. gimnazjum podniesione zostaje do stopnia Liceum. Nakoniec ukaz cesarza Mikołaja w roku 1832 wydany, znosi Liceum, i fundusze, oraz wszystkie zbiory i bogactwa naukowe na założenie uniwersytetu kijowskiego obraca: — niespełna tedy lat trzydzieści istniało dzieło Czackiego, ale w pamięci i sercach młodzieży polskiej istnieć powinno na zawsze.

Urzędowy ceremoniał przez Czackiego ułożony i przez władzę najwyższą zatwierdzony, otwarcia gimnazjum w dniu 1 Października 1805 r. brzmi jak następuje: „Dnia tego o godzinie 6ej zrana stokrotny wystrzał z dział i dzwony wszystkich kościołów ogłaszają uroczystość dnia przez całą godzinę.

Kościół zamknięty będzie do godziny 8½; o godzinie 8½ stanie warta honorowa przy drzwiach kościoła, kolegium i gimnazjum, wszędzie po dwóch sztyldwach: następnie kościół otwarty zostanie i przy tronie Imperatorskim stanie dwóch sztyldwach.

O godzinie 9ej uda się do kościoła ksiądz arcybiskup Łucki metropolita wyznań katolickich w Rosyi, Kasper Kolumna Cieciszowski, biskup Palemoński.

O godzinio 9½ uda się do kościoła Wizytator Czacki z obecnymi gośćmi i członkami stanu nauczycielskiego, a to w tym porządku: naprzód członkowie uniwersytetu wileńskiego, dalej członkowie gimnazjum, nakoniec delegowani od szkół powiatowych wszystkich trzech gubernii.

O godzinie 9¾ rozpocznie się wotywa o duchu Śłym — po *Credo* biskup mieć będzie kazanie; po kazaniu, już muzyka grać nie będzie.

Po skończoném nabożeństwie Jmśc ksiądz Kaczowski Sufragan Łucki uda się do zakrystyi, skąd przybrany w aparat biskupi z liczną duchowną asystencją pójdzie przez kościół do szkół, gdzie sale poświęci, po czém wizytator z obecnymi gośćmi uda się do Kollegium.“

Obecnymi byli w czasie téj uroczystości: arcyb. metropolita Cieciszewski, — Gubernator, książę Wołokoński, — Hrabia z wielkich Kończyc Michał Wandalin Mniszech, prawnuk założyciela gmachów dziś gimnazjalnych, niegdyś Jezuickich; Hr. Aleksander Chodkiewicz, Jan Wyleżyński, Jan Lernet reprezentowali obywateli, Uniwersytet Wil. i Towarzystwo Nauk. Warszawskie.

Oprócz arcybiskupa przemawiał z całą świetnością wymowy i uczucia sam Czacki.

Z okazałości jaka otaczała uroczyste otwarcie gimnazjum wnosić możemy, ile wagi, nie tylko sam Czacki, ale wszyscy znakomitsi obywatele i dostojnicy krajowi przykładali do tego faktu, którym miała się podnieść oświata i wyrobić duch obywatelski trzech najpiękniejszych niegdyś w koronie polskiej prowincyi.

Oprócz składek i zapisów, które zaraz w ogólnych wyrazach oznaczone podamy, oprócz starostwa Krzemienieckiego, ukazem z d. 13 Paźd. 1806 r. do rządzącego Senatu, nadanego ze wszystkiemi przynależnościami i użytkami leśnemi, na wieczne czasy szkole téj, fundusze przez komisją edukacyjną wykryte a na wychowanie publiczne przeznaczone, wynosiły już w parę lat później 2,350,000, procent sześć od sta rocznie przynoszące.

Nie wymieniam składek wszystkich i osób wszystkich, bo to szereg zbyt długi a nazwiska zbyt znane z ofiarności na dobro oświaty: ogólniejszego tylko zna-

czenia i charakteru zacytuję: Wszystkie dyecezye rzymsko-katolickie trzech gubernij, które miały z oświaty korzystać, na szczególnych zebraniach swoich postanowiły dziesiąty grosz dochodów plebanii ofiarować na szkoły.

Po śmierci każdego prałata Łuckiego, wstępujący na tę godność, — ofiarował ósmą część jednorocznego dochodu.

Wszystkie klasztory zapisały się na stałą składkę coroczną odpowiednią dochodom swoim. Opat mielecki zapisał, 2000 złp. rocznie na szkołę w Kowlu — miasto 500 rubli.

Senator Iliński 20,000 zł., — tyleż Alexander Leśnicki, tysiąc rubli Klara Łopacińska, i tak całe powiaty bez wyjątku prawie obywatele od 10,000 do 500 zł. składały, — miasto Krzemieniec 10,000 zł. rocznie na gimnazjum, póki to istnieć będzie, kahał żydowski 500 rs. rocznie.

Wreszcie wspomniały zapis Lerneta 250,000 zł. na utrzymanie z procentu czterech uczniów przez czas pobytu ich na Uniwersytecie, oraz po dwuletniej za granicą podróży od 18,000 do 22,000 złotych.

Przy liceum był nadto konwikt na pięćdziesięciu ubogich uczniów, rozporządzający summa ogólną roczną 50,000 złp.

Szkoła Jeometrów na 30 uczniów.

Szkoła mechaników pod zarządem oddzielnego dyrektora i profesora zarazem w gimnazjum, mechaniki i jeometrii wykreślnéj, — w osobnym gmachu nader obszernym dostatnio wyposażona.

Przy gimnazjum dwóch nauczycieli muzyki, (skrzypce i fortepian) obowiązani uczyć bezpłatnie uboższych, zdolnościami prawdziwemi udarowanych — jeden nau-

czyciel tańca i jeden fechtunku, jeden konnej jazdy, każdy z pensją 600 rubli rocznie.

Nauka cała w gimnazyum zupełnie bezpłatna.

Wszystkie ofiary na ręce Czackiego oddane i użyte na wystawienie i uposażenie 82 szkół parafialnych na Wołyniu, 26 na Podolu i 15 w Gubernii kijowskiej.

Wszystkie w ogóle szkoły w guberniach tych i na całej Litwie były bezpłatne; jednak szkoły winnicka i żytomińska nie we wszystkiem funduszami przez Czackiego zgromadzonemi posiłkować się mogły: punkt ciężkości oświaty całej i środków jej prowadzenia był wyłącznie w Krzemieńcu.

Biblioteka krzemieniecka w przepysznój sali jednej całą obszerność gmachu zajmującej i kilku na piętrze, miała w ostatnich czasach gdy ją do Kijowa przewieźć miano, przeszło 50,000 exemplarzy — zaś w pierwszej chwili otwarcia gimnazyum, 32,000. Powstała z darów prywatnych i wielkich szacownych zbiorów w kraju, za uzbierane fundusze zakupionych.

Weszła naprzód w skład jej najznacniejsza część zbiorów Czackiego, zbiorów klasztornych, które Czacki umiał tu ściągnąć wymową i prośbą — ze zbiorów po śmierci króla Stanisława Augusta, 15080 książek za 7,500 dukatów nabytych, — daru Teofily księżnej Sapieżyny 2980 książek niezmiernie ważnych i rzadkich, z daru Hr. Jana Potockiego szacownemi nader dziełami słynnego, — z zakupu pięknego zbioru po Szejdzie, ofiary Mikoszewskich i wielu częściowych darów nieustannie wpływających do tego ogólnego skarbu. Nakoniec jeden z najszacowniejszych zbiorów ogromnej wartości, materiały do historii polskiej zawierających, z których Naruszewicz czerpać miał, w archiwach Szwecyi, Watykanu, Wersalu zdobytych, od króla Stanisława prze-

szedł za staraniem Czackiego naprzód na własność Porocka, następnie do gimnazyum w Krzemieńcu.

Gabinet fizyczny najbogatszy ze wszystkich, jakie do użytku szkół wyższych i Uniwersytetów przeznaczono, ze składek jedynie obywatelskich powstał. Do zakupionych narzędzi i aparatów najświetniejszego wynalazku odpowiednio stopniowi nauki, na jakim ona w epoce owiej znajdowała się, przybył bogaty zbiór Stanisława Ordynata Zamojskiego i Michała Czackiego. Przeciwnie bogactwu temu szemrali uczeni innych zakładów; Czacki tłumaczył im, że odległe od reszty ziem polskich prowincje wymagały, aby gabinet ten i każdy inny był zupełnym, bo uczący się tu a nie gdzieindziej szukać powinni zaspokojenia swęj żądzy nauki. — Prócz aparatów fizycznych był oddzielny zbiór przyrządów astronomicznych.

Gabinet mineralogiczny za szczególnem staraniem Czackiego stanął od razu przy założeniu gimnazyum, na stopniu nauce tak pod względem układu jak rzadkości odpowiednim. Zbiory minerałów podług układu uczonych Kronstedta i Borna złożył w ofierze książę Józef Poniatowski, powiększył je gabinet Edwarda Sosnowskiego, możnego obywatela, oraz hojne dary w drogich kamieniach, konchach, marmurach, krystalizacyach, fluspatach i wzorach najrzadszych kamieni, Fryderyka hr. Moszyńskiego, Walickiego i Kołłątaja. Zakupiono nadto zbiór od Szymonowicza profesora mineralogii w Uniwersytecie wileńskim, podług układu Wenera.

Numismatyka tak ściśle łącząca się z nauką historii krajów, miast — i wszelkiej zresztą miejscowości, stanowiła także jeden z najbogatszych zbiorów do użytku szkoły oddanych. Gabinet ten powstały ze skarbów Albertrandego i Stanisława Augusta za 7500 czerwonych złotych nabytych, i licznych, staraniem Czackiego, otrzyma-

nych darów — zawierał przeszło 20,000 sztuk monet, medalów itd., Franciszek Rudzki współczesny Czackiemu, mąż obszernej nauki, wyłącznie numismatyce oddany, — zbiór cały ułożył i nim zawiadował.

Laboratorium chemiczne urządzone dogodnie i dostatnio uposażone, miało nadto wieczysty zapis do niektórych aptek przywiązany, na mocy którego, dostarczano mu materyałów do doświadczeń, nieodłącznych od katedry chemii, którą Aleksander Chodkiewicz ufundował.

Nakoniec ogród Botaniczny, założyli i urządzili tuż przy gmachach szkolnych w najwdzięczniejszej pod względem widoków i rozmaitości okolicy, znany bardzo powszechnie Szejdt — przedtém prof. botaniki i chemii w Uniwersytecie Jagiellońskim, i Mickler anglik, wykonawca jego planów. W pierwszych latach istnienia ogród miał już 5000 najrzadszych roślin; — w dniu, gdy skarb ten przenoszono do Kijowa, do 15000 okazów doszedł. Profesor zoologii i botaniki, Willibald Besser, znakomity w swoim czasie uczony i członek wszystkich zagranicznych Towarzystw, — rozległe swe z niemi stosunki naukowe, na wzbogacenie botanicznego ogrodu w Krzemieńcu spożytkować umiał. Świat naukowy zna dzieło jego, *Flora Wołyńska i Podolska* i do najzupełniejszych je liczy. Katedra ta równie jak fizyki i chemii miała pomocnika, czyli adjunkta w osobie Andrzejewskiego, znanego posiadacza najbogatszych botanicznych zielników — autora wspomnień o Krzemieńcu.

Przy Liceum i szkole mechaników z niém połączonęj, urządzony był nadto bardzo bogaty skład modeli i machin z zagranicy sprowadzonych, lub w samej już szkole podług wzorów wykonanych; — przeważny dział w składzie tym stanowiły narzędzia rolnicze.

Tyle wymieniał skarbów krzemienieckich, że gotowicie posądzić mię o przesadę, o chęć wystawienia rzeczy w zbyt świetnych barwach, a przecież nie powiedziałem wszystkiego, wiercie mi — jeszcze mam prawo dodać, że w gimnazyum była katedra agronomii, do której wykładu praktycznego, przeznaczono osobny folwark z dóbr licealnych, jako wzorowy; — mieliśmy w niedzielę przez czas pewien — od 12 do 1 wykładaną higienę przez znakomitego lekarza Karola Kaczkowskiego, którego w 1829 r. powołano na dyrektora kliniki do Uniwersytetu warszawskiego; mieliśmy wykłady wacyzny, zwykle puste, przez doktora licealnego prowadzone, — słowem: mieliśmy wszystko, co wyborową wyższą szkołę znamionuje, a zastępować może choć w części Uniwersytet.

Utrzymanie Liceum kosztowało w ogóle z dodatkowemi instytucjami, rocznie około 400,000 złp., z początku blisko trzechkroć, gdy etat uniwersytetu wynosił przeszło 500,000.

Dla dokładności tego szkicu dodać wypada, jakie było utrzymanie profesorów, i jakie ceny produktów, abyście stąd wnieść potrafili, do jakiego stopnia uposażenie rodzin nauczycielskich wystarczało na zupełnie wygodne i niezależne życie i pozwalało swobodnie, bez najmniejszej troski oddać się nauce i szczeremu pielęgowaniu młodzieży opiece ich poruczonęj.

Nauczyciel w czterech pierwszych klasach pobierał rocznie 500 rubli — a miał od 20—24 godzin zajęcia: praca duża ale i wynagrodzenie dobre, jak was następnie przekonam.

Nauczyciel na kursach za 6 godzin tygodniowo brał 700 rubli i za każdą godzinę nad zasadniczą liczbę sześć, po sto rubli; — byli więc tacy, którzy brali 800,

900, 1000 i 1200, jeśli wykładali ośm, dziewięć, dziesięć lub dwanaście godzin.

Gdybyśmy mierzyli te płace z dzisiejszemi cenami produktów, byłoby to za mało, ale jeśli weźmiem na uwagę, że funt mięsa np. kosztował trzy lub cztery grosze pol. ($2\frac{1}{2}$ centa), że chleba cena była więcej jak sześć razy niższą od obecnej, że kurczęta w czasach drożyzny płacono po pięć groszy, że pszenicę w roku głodowym po 12 złp. — a zwyczajnie po 6 i 7, żyto po dwa złote, owies po złotemu lub po czterdzieści groszy za korzec, że cały dom na mieszkanie z 6 do 8 pokoi złożony ze stosownemi gospodarskiemi zabudowaniami czterysta złotych rocznie, że owoce nie miały prawie żadnej ceny, skoro 60 śliwek za grosz, a przy hurtownej sprzedaży dwa razy więcej, — i że w tym stosunku robota wszelkiego odzienia cztery razy była tańszą jak dzisiaj, — a za uczniów, których nauczyciele raczyli utrzymywać na stancyi, płacono od tysiąca do trzech tysięcy złotych, — pojmiecie łatwo, że nauczyciele po większej części za ludzi bogatych uchodzić mogli — i jako bogaci trzymali powozy i konie i we własnych domach mieszkali.

Jak jest dzisiaj, tak bywało i dawniej, że za dobrem mieniem siedł u ludzi wszelki szacunek i poważanie — średnia więc klasa korzyła się przed panami profesorami, arystokracja szlachecka ceniła ich wysoko za ich naukę prawdziwą i prawość charakteru.

Kronikarze szkoły krzemienieckiej zwykle na zaszczyt jej wymieniają liczny poczet znakomitych ludzi, jakich przez czas swego istnienia wydała.

Z jakichbądź wychodząc zasad, chciałby kto twierdzić, że szkoła ta lub inna takich mężów wydała, — tytu poetów, tytu pisarzy znakomitych, mnie zdaje się rzeczą dowodów niepotrzebującą, że żadna talentów nie tworzy. Może wpływ towarzystwa, natury, pewien szczególny nastrój czasu, okoliczności wyjątkowych, przyczynić się do wzbudzenia daru, którym Bóg wybrańców swoich naznacza, — ale szkoła w istocie swój i przeznaczeniu, mężów wyjątkowej organizacyi wydać niemoże. Jeżeli Krzemieniec chlubi się, że z ławek gimnazjum i liceum jego wyszli: Malczewski autor *Maryi*, Słowacki Juliusz, Józef Korzeniowski, Padura, pieśniarz ukraiński, Karol Sienkiewicz, tłumacz *Pani Jeziora* (Walter Skot), Tymon Zaborowski, zbieracz i wydawca pieśni ludowych, Tytus Szczeniowski, Karol Drzewiecki, Aleksander Przezdziecki, A. T. Olizarowski, Oskar Sosnowski, rzeźbiarz słynny w Rzymie samym, Piotr Chlebowski, jeden z najświetlejszych wyższych urzędników administracyi Królestwa Polskiego, a niegdyś jedyny przewodnik w wychowaniu Zygmunta Krasińskiego, od lat jego dziecinnych aż do opuszczenia Uniwersytetu warszawskiego, wreszcie Sierociński *gramatyk* — itd. to za zasługę szkole uważać niepodobna. Szkoła może i powinna przygotowywać prawych, poświęconych obowiązkom obywatelskim ludzi. Zasady w szkole powzięte, dobrze ugruntowane i w właściwym uprawiane i rozwijane kierunku, mogą i powinny przetrwać wszelkie przeciwnie im siły i jawném świadectwem obywatelskiego życia się stwierdzać. Takich właśnie ludzi, obywateli takich szkoła krzemieniecka wydała najwięcej i takimi ma prawo szczycić się, że są jej wychowañcami, że z niej zaczerpnęli tę moc, która im w trudniejszych chwilach bytu ojczyzny wytrwać na stanowisku i godnie obowiązek spełnić pozwoliła,

ze w niej rozwinęli i do wzniosłości posunęli to uczucie, które czyni człowieka drogim i pamiętnym dla synów i wnuków. Takich imion zacnych służbie krajowej lub służbie jednej tylko prowincyi poświęconych — czy zakres ich działania szerokim był, czy zamkniętym ściśle i obowiązkiem mniej doniosłego znaczenia, ograniczonym, wyliczę wam kilkanaście, a nie powiecie, wysłuchawszy, że szkoła krzemieniecka krótko jaśniała i bez owoców zeszła ze sceny oświaty i cywilizacyi narodowej.

Któryż z was nie zna, nie zasłyszał, jakim hartem duszy, jakim poświęceniem i nieskazitelnością a mocą charakteru odznaczył się w epoce 1826 r. Piotr Mozyński; jakim był więźniem i wygnańcem Sybiru ów w dwudziestym czwartym roku życia, marszałek gubernii wołyńskiej: nie wyliczę wszystkich imion, bo ich niepodobna spamiętać, ale ziomkowie i współobywatele ocenić raczcie, jak rzetelną jest moja lista: Eligi Piotrowski prezes sądu głównego Wołyn., Erazm Michałowski, marszałek ptu, kurator szkół kijowskich, Gustaw Olizar marsz. Gub. Kijowskiej, Skibicki Franciszek współczesny Czackiemu, Narcyz Olizar kasztelan, poseł na sejm 1831 r. — Michał Czacki marsz. Gb. woł., Izidor, Aleksander i Gotard Sobańscy, ostatni — więzień Syberyi, Feliks Czacki, Prezes komisyi Edukacyjnój woł.; Izidor Zakaszewski deputow. sądu gł., Stępkowski Ignacy, marsz. ptu., X. Ożarówski Wiktor wielkiej światobliwości mąż i światła, Grocholski Józef Prezes sądu sumiennego w Gub. Podol., Kosielski Ludwik marszałek Latycz., Rutkowski Teofil marszałek przez dwa trienja, najzdolniejszy niegdyś uczeń Chońskiego, Ekonomii pol. profesora, Romuald Ledochowski marsz. gub. Romuald Stecki Prez. Sądu gł., Marcelli Krasicki

marsz. Łucki, — Antoni Bieńkiewicz Prezes Izby cywilnej podolskiej, Włodzimierz Świejkowski marsz. gub. Wołyn., Łukasz Czarnowski, Mikulicz, Knoll, Pruszyński Bronisław, Jaroszyński, Sadowski marszałkowie; a iluż takich jeszcze mógłbym wymienić jak Lubomirscy, Jełowiccy, Nowowiejscy Janusz i Mikołaj, Orłowscy, którzy w obywatelstwie nabyli pracą sumienną i poświęceniem nieraz mienia i spokoju, prawa do szacunku powszechnego i zaufania, a iluż takich jak Leon Borowski i Beaupré — ofiary straszego 1838 roku!

Wzajemna miłość i braterstwo, te cechy główne, przetrwały u krzemieńczan w trzech prawie generacyach: jednak ku końcowi złe wpływy zmienionego zarządu, któremu już nie przewodniczył z góry Czartoryski Adam odbiły się dość wyraźnie na Krzemieńcu. Dwa bardzo znaczące wypadki w domowym życiu szkoły téj zasługują, świadczą o zwichnionym kierunku władzy licealnej i karności młodzieży. W jednym i drugim obok wyraźnego zwrotu ku upadkowi zasad, bezstronności i sprawiedliwości, które nikomu i niczemu schlebiać nie pozwalały dotąd, przebijają się jeszcze dawne cnoty z nawyknięcia, z tradycyi wyrosłe.

W roku 1828 czy 29 — w czasie zwykłego obchodu uroczystości zamknięcia roku szkolnego, byliśmy świadkami publicznego zgorszenia, któremu początek dała władza, zakończenie smutne, młodzież kursu drugiego. Już na kilka dni przed aktem chodziły głuche wieści między uczniami, przenikały do warstw miejskich i szmery niezadowolenia rodziły, że medale przyznane będą samym paniczom, że drobna szlachta pominięta zostanie dla braku pokory i posłuszeństwa. Widzieliśmy istotnie w czasie publicznych egzaminów szczególnie łaskawe usposobienie dyrektora dla dwóch książąt i jednego

hrabiego; do nich zwracał częściej zapytania, ich wzywał do popisu w chwilach, kiedy największy był natłok arystokratycznej publiczności, nimi nieustannie chciał zainteresować wszystkich. Wprawdzie ci młodzi ludzie znani byli jako najlepsi uczniowie i najpocześni koledzy, łaska dyrektora, chcąc ich podnieść, niepotrzebnie ich zasługę rzeczywistą na wątpliwość narażała, pomagając, gdy pomoc była zbyt dużą. Pomiedzy współzawodnikami znalazł się jeden, syn także obywatelski, ale nie hrabia i nie książę, który zdolnością niezwykłą zwracał wszystkich uwagę, bystrością umysłu i wymową zadziwiał nieraz profesorów, ale przy zdolnościach — i niepomierną zarozumiałością, która prawie z uporem graniczyła. Mówiono o jakichś wielkich darach, które dyrektor i prefekt mieli nie wzgardzić, mówiono o odgrózkach z jednej, przykładnej karze za niesforność z drugiej strony. Rzeczywiście, były to tylko gawędy, dowodami niepoparte — a później nawet, przy szczerych poszukiwaniach, za bez — podstawy uznane. Wogóle, owe zakulisowe tajemnice, jeśli były jakie, nie zostały wykryte: dyrektor Lewicki w pół roku umarł a cierpiał od lat wielu na nieuleczoną chorobę, Bokszezanin cieszył się najlepszym zdrowiem aż do zniesienia liceum, chociaż w rodzinie swój w czasie cholery 1831 r. panującej, ciężką poniósł stratę. Jedna i druga, o parę lat odległe od siebie śmierci, nie miały naturalnie żadnego związku z medalami książąt, chociaż ludzie miejscowi łączyli je z sobą.

Po zwyczajnych przemówieniach rozpoczęło się rozdawanie nagród i medali. Dyrektor Lewicki wzywając do odebrania medalów Władysława i Kazimierza Lubomirskich, wymienił ich tytuły: na wyrazy: *książę* Władysław, — powstał szmer w głębi sali pomiędzy starszymi uczniami, których dotąd nieodróżniano tytułami,

dla słabych, zachwiały tę najpiękniejszą harmoniją pomiędzy kierownikami i kierowanymi, — na ojcowskiej czułości z jednej, a synowskiem poszanowaniu woli ojca, z drugiej strony zalegającą.

Drugi wypadek z tych samych czasów, prawie z tego samego roku miał źródło także w owym rozdziale na możliwych i niemożliwych. Dyrektor podzielił uczniów na książąt i szlachtę, dla czegożby młodzież podziału tego przyjąć nie miała? Wrażliwa młodzieńcza natura wsiąka w siebie wszystko złe i dobre z otaczającej ją atmosfery. Nieulega wątpliwości, że po awanturze w czasie rozdawania nagród przez starszą wywołaną, nieukontentowanie możniejszych rodzin do najdalszych kuzynków i przyjaciół rozszerzyło się; stąd skargi i oburzenia na zuchwałą szlachtę, stąd niechęć owę jakoby zuchwałę szlachty do arystokracji. Powstały stronnictwa w jednej najserdeczniej kochającej się rodzinie, w jednej szkole.

W czasie karnawału, młodzież bez względu na majątek, pilniejsza, bywała w domach rodzin zamożnych zamieszkałych w Krzemieńcu, nie w innym stroju jak w mundurze. Tak się w tym roku ułożyło, że biedniejsi najlepszymi byli tancerzami, i stąd większą mieli wziętość. Domy zamożne dawały wieczory, z których jednak własni ich synowie i krewni mniej korzystali. W innym usposobieniu umysłów, arystokratyczna młodzież byłaby, co najwięcej, przedmiotem lekkich, nieobrażających żartów, któreby znieść potrafiła, teraz panieze obrażali się, że się docisnąć do mazurów nie mogli, — i jeden z nich poważał się w rozmowie ze swoim tej samej kategorii, nazwać szczęśliwych w tańcu, drobną szlachtą którą, jako zawadającą, usunąćby należało. Dosłyszał zdania tego, czy z umowy drobny szlachcie, stypendysta na funduszu Lerneta, jeden z najzdolniejszych i powszech-

nie lubionych uczniów, powiedział swoim kolegom i wojna gotowa. Drobną szlachta przestała bywać na wieczorach usuwając się dobrowolnie, ale przytém postanowiła usunąć arystokratów z ławek szkolnych. Odwet straszny. Walka trwała dwa tygodnie, w czasie których trzej młodzieńcy jeden z drugiego kursu, dwóch z pierwszego, na lekcji żadnej pokazać się nie mogli, bo albo wytrącano ich z ławki siłą, albo opróżniano ławkę, aby sami bez towarzyszy siedzieli. Wszelkie środki surowsze przez prefekta przedsiębrane nie pomagały, biedacy znosić musieli najrozmaitszego rodzaju upokorzenia. Wdał się nakoniec w tę sprawę Uldyński, biorąc stronę prześladowanych, bo tak zasada karności szkolnej wymagała, a tym czasem wzywał rodziców poufnie, aby się starali nakłonić swe dzieci do pokory, do przeproszenia kolegów, których poniżyć nie mieli prawa. Drobną szlachta zgody i przeprosin nieprzyjmowała, aż zjawił się dokument urzędowy, jakoby przez jedną z dam, matkę młodego arystokraty napisany, w wyrazach najuprzejmniejszych do kursu pierwszego i drugiego z prośbą o przebaczenie słów nierozważnych. Poprzestała drobna szlachta na tém przeproszeniu, — młodzi paniczowie przyjęci zostali do braterstwa i do ławek wspólnych, i postępowaniem najprzyzwoitszym zdołali przejednać obrażonych i zyskać nawet ich szczerą życzliwość.

W całej tej sprawie dość oryginalnej, ale w przebiegu swym łamiącej zasady porządku i karności, a więc złej, młodzież znowu odniosła zwycięstwo, smutne zaprawdę, bo upokorzyła władzę rodzicielską, która się zniżyć musiała do prośby w obec niedorostków, upokorzyła powagę kierowników szkoły, że ich rozkazu nie posłuchała. W czasach rządów Nowosilcowa, lepiej było przyjąć kompromis, ugodę z pewnemi warunkami, jak

pozwaląc policji wdziierać się do spraw szkolnych i karać po swojemu; lepiej więc, powiadam, że oszczędzono prześladowań, i tak zakończono sprawę, któraby łatwo pod zakres polityki mogła być podciągnięta — ale złe się stało. Szczęściem charakter młodzieży szlachetny, dobry wziął górę nad namiętnością i wkrótce szło wszystko znowu w najlepszym porządku i karności.

Nadeszły wypadki 1830 r. — W 1832 r. Liceum zamknięto dając za powód, że duch rewolucyjny w szkole panuje i niebezpieczeństwem państwu całemu grozi, i nie było czasu naprawić całkowicie złego, które się wkładać zaczęło i powrócić do pierwotnego stanu wzajemnej ufności, poszanowania i miłości, a jednak dobrych materyałów niebrakło w nauczycielach i uczniach.

Ostatnie grono profesorów było ciałem uczoném w ścisłem znaczeniu pojmowanej nauki. Każdy niemal odznaczył się w przedmiocie, który wykładał. Profesor literatury polskiej J. Korzeniowski napisał dzieło p. t. Kurs poezji, za elementarne przez okrąg naukowy wileński uznane, i przez lat kilkanaście później jeszcze jako podręcznik używane na Litwie i w Kongresówce, póki stanowisko nauki z postępem wiedzy zmieniające się, za wystarczające je uważało.

Hreczyna napisał algebrę, która zastąpiła dzieło Sniadeckiego, wyborym językiem wykładowym, ścisłością i metodą odznaczającą się. Dotąd równego oryginalnego dzieła elementarnego w języku polskim nie mamy, jakkolwiek dzieło Libelta dalszy rozwój nauki przedstawia. Miechowicz napisał mechanikę, pierwsze w języku polskim dzieło w tym przedmiocie. Uldyński,

jeografią starożytną dokładniejszą o wiele od późniejszych dzieł w tym przedmiocie; widać że późniejsi w innych dzielnicach polski wychowani obeznali się z pracą Uldyńskiego nie mieli sposobności. Jakubowicz gramatykę zupełną polską i łacińską, za elementarną w okręgu wileńskim uznane. Jurkowski Michał, słownik grecki podług najlepszych źródeł do 1830 r. znanych, opracowany i wypisy greckie z objaśnieniami bardzo obszernymi wyjątków przytoczonych. Liedl Albert nauczyciel literatury niemieckiej, gramatykę niemiecką dokładniejszą od Liedera w Kongresówce używaną i niezawodnie w ową epokę najzupełniejszą. Jenc fizykę po Drzewieckim. Nie wydali kursów swoich: Choński Michał, ekonomii politycznej, Aleksander Mickiewicz, prawa rzymskiego po łacinie, po polsku i po rosyjsku napisanego; podług zdania profesorów uniwersytetu kijowskiego, kurs to był jeden z najumiejętniej opracowanych. Uldyński, historią powszechną do rewolucyi francuskiej doprowadzoną. Czas na wydawnictwo dzieł poważnych po r. 1830 był tak niestosowny, że wszystko, co wydanem własnym nakładem być nie mogło, spoczęło w tekach. Wyżewski, kurs matematyki wyższej, później w uniwersytecie wykładany. Jarkowski Paweł, bibliotekarz licealny, kurs bibliografii i gramatyki powszechniej, raz na tydzień w niedzielę wykładany. Zienowicz, kurs obszerny chemii, także w Uniwersytecie kijowskim wykładany, następnie X. kanonik katedr. Łucki Jan Kulikowski, *Katechizm* i wykład codziennego paciera, dla dwóch pierwszych klas z taką jasnością i prostotą napisany, że dziś więcej jak kiedykolwiek wart byłby powtórnego wydania i w szkołach zastosowania. Prócz tego elementarnego dziełka, posiadał szanowny kapelan Kurs na wyższe klasy i kursa, który w rękopiśmie pozostał — a w li-



258681

P13238